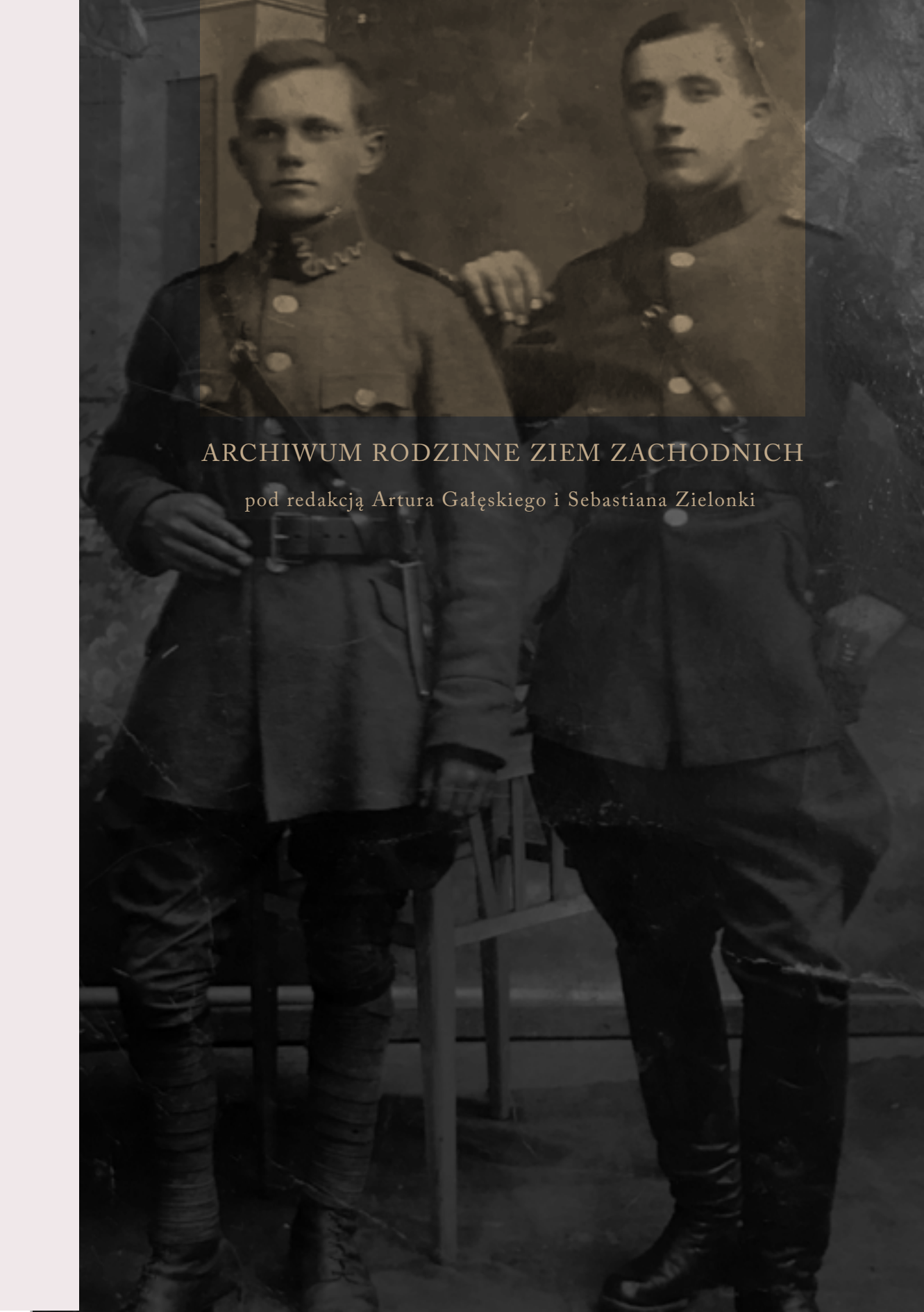




ARCHIWUM RODZINNE ZIEM ZACHODNICH

pod redakcją Artura Gałęskiego i Sebastiana Zielonki

ARCHIWUM RODZINNE ZIEM ZACHODNICH

pod redakcją Artura Gałęskiego i Sebastiana Zielonki

ARCHIWUM RODZINNE ZIEM ZACHODNICH

pod redakcją

Sebastian Zielonka, Artur Gałęski

Korekta merytoryczna

Anita Kaczmarek Renata Chomińska Grażyna Motylińska

Projekt okładki, łamanie i przygotowanie do druku

Aleks Rydzkowska
rydzkowska.eu

Druk i oprawa

Dom Judy

ISBN ??????

Stowarzyszenie **Solidarni Razem**
al. Wojska Polskiego 113
70-483 Szczecin

SPIS TREŚCI

WSTĘP 3

DOBRA ?

Zuzanna Soroka, *Czy Soroka to brzmi dumnie?* ??

Antonina i Błażej Żywalewscy, *Historia babci Jadzi* ??

Joanna Jarząbek, *Historia mojej rodziny, czyli zDamaszna na Zachód* ??

Michał i Zuzanna Kondratiuk, *Historia mojej rodziny*

Konrad Cieślak, *Ks. Marek – człowiek z pasją*

Amelia Góralczyk, *Moja mama...*

Zuzanna Świderska, *Moje miejsce na ziemi...*

Martyna Trościanko, *Śladami moich przodków...*

Natalia Uchwał, *Opowiedziana historia*

Natalia Chodań, *Znad Dniestru do Polski*

Oliwia Dwórzyńska, *Życie naznaczone cierpieniem*

NOWOGARD

Mieszko Szymański, *Mój prapradziadek Mieczysław Frej*

WITNICA

Jakub Kopydłowski, Tomasz Gugąła, Dawid Podufalski, *Ksiądz Józef Bielak...*

Jakub Sikorski, Maksymilian Stieler, Wiktoria Rzemieniecka, *Wywiad z Krystyną Sikorską*

Jakub Kasperek, Jakub Kopydłowski, Kornelia Sajewicz, *Rozmowa z Piotrem Lemieszkiem...*

KRUSZYN

Uczniowie ze szkoły w Kruszyńcu, *Zbigniew Junkiewicz – Świadek historii*

ŻELISZÓW 3

Amelia Tobiasz, *Historia mojego dziadka* ?

Natalia Kura, *“Moja, mała perelka” = oczami architekta* ??

KRAŚNIK ??

Bartosz Szulc, *Historia rodziny Gryszczyszyn* ??

Pałac w Kraśniku Dolnym

Paulina Danielewska, *Historia mojego pradziadka*

NOWOGRODZIEC

Karolina Mudrak, *Historia mojego pradziadka Michała*

Łukasz Mius, *Z Letniej na Syberię i do Karszowa*

Agnieszka Drąg, *Mój pradziadek*

Nikoła Kuduk, *Dom z niezwykle bogatą historią*

Dariusz Czajkowski, *Z Jugosławii do Milikowa – historia mojego pradziadka Piotra*

Patrycja Chwaszcz, *Historia emigracji moich pradziadków*

Maja Stupiec, *Życie codzienne moich przodków*

Justyna Maksymowicz, *Historia Szkoły Podstawowej w Nowogrodźcu...*

Katarzyna Klimek, Kamil Skrzypacz, Gracjan Brem, *Dzieje Szkoły...*

Oliwia Szczepańska, *Współczesna historia szkoły – rok szkolny 2017/2018*

ZAKOŃCZENIE

WSTĘP

Sebastian Zielonka

WSTĘP

Zdjęcia: Archiwum Sebastian Zielonka

Archiwum Rodzinne Ziemi Zachodnich to projekt zrealizowany przez Stowarzyszenie „Solidarni Razem” w 2018 r. pod opieką merytoryczną Instytutu Kształcenia Ustawicznego w Szczecinie, współfinansowany przez Fundację KGHM Polska Miedź, Fundację PGE, Fundację Lotos i Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” Pomorza Zachodniego. Jest on odpowiedzią na potrzebę dogłębnej analizy zachowanych na ziemiach zachodnich materiałów archiwalnych, pamiątek rodzinnych i źródeł historycznych. Uczestnicy projektu mieli na celu utrwalenie i ocalenie powoli zacierających się śladów historii bliskiej na tych terenach oraz zgłębienie tej części historii, która w tak wielkim stopniu wpłynęła na to, jak wygląda nasze życie dzisiaj.

Uczestnicy projektu to uczniowie polskich szkół z trzech województw: dolnośląskiego, lubuskiego i zachodniopomorskiego o wybitnych uzdolnieniach humanistycznych, historycznych i w dziedzinie nowoczesnych technologii, którzy podczas działań projektowych pod opieką ekspertów opracowali publikację dokumentującą historię ziem zachodnich.

Poprzez udział w projekcie, młodzi ambasadorzy historii bliskiej mieli jedyną w swoim rodzaju okazję i możliwość zgłębienia wiedzy, która, chociaż odległa w czasie, jest nieodłącznym elementem ich własnej tożsamości i dotyczy życia ich najbliższych.

Charakter pracy nad publikacją poza walorami naukowo-poznawczymi, pozwolił uczestnikom również rozwinąć kompetencje miękkie, takie jak kreatywność, umiejętność prezentacji i komunikacji interpersonalnej.

W trakcie trwania projektu, odbyły się warsztaty stacjonarne i webinaryjne przygotowujące uczestników do spotkań ze świadkami historii, pracy na materiale archiwalnym i warsztaty pisanie prac naukowych z zastosowaniem aparatu naukowego.

Poszczególne teksty zaprezentowane w niniejszej publikacji to ciężka praca młodych ludzi zafascynowanych historią regionu, poruszająca w sposób nowatorski trudną, ale piękną historię ziem zachodnich przy zachowaniu standardów procesu badawczego.



DOBRA

Zuzanna Soroka

CZY SOROKA TO BRZMI DUMNIE?

Zdjęcia: Archiwum Zuzanna Stella Soroka

Nazywam się Zuzanna Stella Soroka. Mam 11 lat. Mieszkam w Dobrej, w województwie zachodniopomorskim razem z siostrą Wiktorią Katarzyną, mamą Anią i tatą Wiesławem. Chciałabym opowiedzieć o swoim pochodzeniu, nazwisku i rodzinie. Historia mojego nazwiska to nie tylko postacie, ale zdarzenia, miejscowości, osoby oraz legendy.

Teksty źródłowe informują, że nazwisko Soroka, w obecnej formie pojawiło się w 1535 roku. SOROKA to nazwisko oznaczające „DLA LUDU”. Moi przodkowie mieli nadany herb szlachecki LELIWA, którym mogli się posługiwać i pieczętować.

Herb Leliwa przedstawia na tarczy w polu błękitnym nad półksiężycem złotym rogami do góry - sześciopromienną gwiazdę złotą. W klejnocie, nad hełmem w koronie, na pawim ogonie taki sam półksiężyc z gwiazdą. Labry błękitne, podbite złotem. Herbem tym pieczętowali się Sorokowie z Sorokiszek w powiecie oszmiańskim na Litwie, gdzie już w początku XVI wieku notowani, później w 1529 roku wylegitymowani ze szlachestwa w guberni wileńskiej. Tak potwierdza moje prawo do herbu Biuro Heraldyczne.

Miejscowość Sorokiszki znajduje się na Litwie w województwie wileńskim, w powiecie oszmiańskim. Na Litwę Tatarów sprowadził



Ryc. 1. Herb szlachecki rodu Leliwa

książę Witold. Ich pierwotną osadą były Soroki. Są różne wersje powstania tej nazwy. Pierwsza wersja głosiła, że najliczniejszy był tu ród tatarski - Soroków, stąd ta nazwa. Druga wersja głosi, że nazwa pochodzi od 40 rodzin tatarskich, które Witold tu osadził (sorok - czterdzieści). Trzecia jeszcze ciekawsza, że od czterech rotmistrzów tatarskich, których żony urodziły w sumie 40 synów. Tatarzy zamieszkujący w toczeniu chrześcijan tworzyli z biegiem lat mieszane rodziny. Stąd większość ich nazwisk brzmi w wersji słowiańskiej, spolszczonej.

Jedną z bardziej znanych postaci historycznych był Jerzy Soroka herbu Leliwa, dworzanin księcia Adama Czartoryskiego i uczestnik powstania listopadowego. W 781 roku był chorążym Kawalerii Narodowej Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Jesienią 1781 roku Czartoryski wysłał go do Konstantynopola z poleceniem zakupienia tam ogierów do stadniny książęcej. Prawdopodobnie przyczyną powierzenia Sorokę tej odległej misji była obawa przed zemstą, jaka mogła czekać Sorokę za zabicie w pojedynku faworyta księżnej Izabeli Czartoryskiej. Gdy Soroka zakupił 25 koni i planował powrót do kraju, władze tureckie na wiadomość o zajęciu Krymu przez Rosję, nie zezwoliły mu na wyjazd. Dopiero po interwencji Czartoryskiego mógł opuścić Turcję z 5 końmi. Po wielu perypetiach także zdrowotnych, zachorował na febrę i po obowiązkowej

kwarantannie, zakupione konie dostarczył Czartoryskiemu.

Z koniuszego, Soroka stał się jednym z pierwszych urzędników dworu książęcego. O zaufaniu, jakim darzył go Czartoryski, świadczy fakt, że objął w zarząd administrację dóbr litewskich, gdzie zajmował się głównie sprawami sądowymi. Po III rozbiorze Polski wyemigrował, ale na wieść o śmierci ojca i o możliwej konfiskacie majątków emigrantów wrócił na Litwę. Zamieszkał w majątku w powiecie oszmiańskim, gdzie został sędzią ziemskim. W 1818 r. był inicjatorem zbiórki pieniędzy na budowę Kopca Kościuszki w Krakowie.

Mimo podeszłego wieku Soroka czynnie zaangażował się w powstanie listopadowe. Podczas ataku wojsk kozackich i rzezi ludności cywilnej w powiecie oszmiańskim, Soroka został aresztowany i poddany długim przesłuchaniom. Komisja śledcza skazała go na śmierć, lecz z uwagi na podeszły wiek złagodziła wyrok, orzekając pozbawienie praw cywilnych, zesłanie na Sybir i konfiskatę majątku z pozostawieniem jednej jego części na utrzymanie rodziny. W 1831r. zmarł w więzieniu w Wilnie i został pochowany w mogile zbiorowej na cmentarzu więziennym.

Zaraz po śmierci nadszedł spóźniony dokument carski o ułaskawieniu. Soroka Jerzy należał do lubianych i szanowanych obywateli w oszmiańskim. Jego sąsiad Antoni Edward Odyniec wspominał, że był „atletycznej i wspaniałej postawy, nosił się strojno po polsku, zawsze przy karabeli i z łową podgoloną wysoko”...



Ryc. 2. Archiwum Zuzanna Stella Sroka

Po konfiskacie majątku zaczęła się długa wędrówka Soroków w poszukiwaniu swojego miejsca i nowego domu. Mój pradziadek Kazimierz Soroka urodził się w 1898 roku w starym dworcu w Międzyrzeczu Podlaskim. W tamtych latach Podlasie było pod zaborem rosyjskim, a więc mój pradziadek był poddanym cara Rosji. W 1914 roku wybuchła I wojna światowa. Mojego dziadka powołano do wojska, gdzie służył w kawalerii jako saper. Pradziadek opowiadał swoje historie mojemu tacie, a swojemu wnukowi Wiesławowi. Wspominał często o jednej historii, która miała ważny wpływ na jego życie.

Będąc na froncie podczas walki z Niemcami, siedział schowany z innymi żołnierzami rosyjskimi i polskimi w okopie. Nie mogli się nawet ruszyć, tak silnie byli ostrzeliwani. Wokół słychać było tylko huk wybuchów i gwizd pocisków, ziemia się zsypywała i ciągle drżała. Nagle nastąpiła cisza, podejrzana i złowroga. Gdy pradziadek wychylił



Ryc. 3. Archiwum Zuzanna Stella Sroka

się z okopu zobaczyć co się dzieje wokół, zmarł ze strachu. Na ich okopy powoli szło niemieckie wojsko, ale nie to zwykłe, ale takie, które miało na hełmach trupie czaszki, w maskach przeciwigazowych. Szli bardzo wolno bez dźwięku, to były Szwadrony Śmierci. Pradziadek zaczął się modlić razem z kolegami, bo już wiedzieli że za chwilę zostaną zabici. Nagle jeden z kolegów dziadka krzyknął „Poddajemy się.”

Na dźwięk polskiego

języka Niemcy stanęli zaskoczeni, po czym dowódca szwadronu zdjął maskę i krzyknął „Nie strzelajcie My jesteśmy Polacy ze Śląska.” Po tym zdarzeniu pradziadek Kazimierz, jak mówił, czuł się tak, jakby narodził się na nowo. Często też powtarzał, że z każdej sytuacji jest wyjście, bo cuda się zdarzają.

W okresie międzywojennym pradziadek zarządzał, a potem dzierżawił majątek Toporów. Toporów założył na początku XVI wieku Jan Jurjewicz herbu Leliwa, właściciel Białej Podlaskiej i Międzyrzecza Podlaskiego (tam urodził się mój pradziadek). Pradziadek Kazimierz starał się zarządzać majątkiem w sposób nowoczesny. Do transportu, pracy w polu oraz w rolnictwie używano koni oraz bydła domowego. Pradziadek postanowił kupić do majątku coś, co w tamtych czasach było nowością i rzeczą niespotykaną w okolicznych majątkach, czyli traktor.

Aby kupić traktor należało jechać do fabryki w Warszawie, gdzie przez kilka tygodni uczono przyszłego właściciela, mechaniki działania oraz obsługi traktora. Kiedy pradziadek wreszcie uzyskał certyfikat umiejętności, ruszył traktorem do Toporowa. Trasa liczyła ponad 100 km a traktor jechał 5 km/h. Oczywiście na trasie traktor robił niespodzianki, to stanął, a to nie chciał zapalić. Pradziadek sam musiał naprawiać usterki. W ten oto sposób podróż mojego pradziadka do domu trwała 2 dni.

Nadszedł okres wojny i okupacji. Pradziadek oprócz codziennych prac, aby utrzymać rodzinę, był jednocześnie żołnierzem oddziału partyzanckiego „ZENONA” 34 pp 9 Dywizji Podlaskiej AK.

W czerwcu 1944 roku nastąpiło poświęcenie i wręczenie sztandaru w pobliżu wsi Jeziory. W uroczystości uczestniczyło kilku dowódców AK. Był też tam pradziadek z innymi partyzantami. O tej uroczystości dowiedzieli się Niemcy i następnego dnia wieczorem oddział Zenona został zaatakowany przez żołnierzy Wehrmachtu, żandarmerii i policji, zaopatrzonych w samochody pancerne i samoloty.

Oddziały niemieckich żołnierzy zbliżały się od Toporowa i od Chotycz. Oddział majora Zenona z moim pradziadkiem w porę wycofał się z pola walki, a w zamieszaniu doszło do walki obu oddziałów niemieckich ze sobą. Wściekli hitlerowcy postanowili zemścić się za poniesione straty, dlatego pradziad wziął swoją rodzinę i ukrył się w tajnym przejściu obok kapliczki w pobliżu majątku Toporów. Tam też ukrył broń i inne elementy uzbrojenia.

Po tym wydarzeniu w Toporowie Niemcy urządzili szpital polowy, co zmusiło pradziadka do przeprowadzki i wybudowania domu w sąsiednich Chotyczach. Po wkroczeniu Armii Czerwonej, majątek Toporów został skonfiskowany przez państwo.

Po wyzwoleniu Kazimierz został wybrany przez mieszkańców na Komendanta Milicji Obywatelskiej Rejonu Łosice. Jednak długo nie został na tym stanowisku, ze względu na swoje przekonania polityczne i przeszłość, jako partyzanta AK. Przed prześladowaniem ze strony władz uratował go fakt, że znał się dobrze na rolnictwie, zwłaszcza na jej mechanizacji. W powstających PGR-ach i spółdzielniach rolniczych brak było ludzi, którzy mieli takie umiejętności. Zatrudniono go jako instruktora i koordynatora oraz kierownika ruchu do spraw mechanizacji i sprzętu rolniczego. W Chotyczach do dzisiaj mieszkają moi dziadkowie Marianna i Tadeusz Soroka. Mój tata wyprowadził się z rodzinnego domu i zamieszkał w Dobrej. Jednak z sentymentem wraca z nami w swoje rodzinne strony. Kiedy my odwiedzamy dom rodzinny taty, to teraz mój dziadek opowiada mi historie rodzinne, tak jak kiedyś pradziadek mojemu tacie. Są to niesamowite chwile. W głosie każdego Soroki słychać dumę i wzruszenie, kiedy opowiada o swoim pochodzeniu.

Nazwisko Soroka ma bogata historię. Towarzyszy mojej rodzinie od wieków i było świadkiem wielu niezwykłych zdarzeń. Mogę wymawiać je z dumą.



Ryc. 4. Zuzanna Stella Soroka

Antonina i Błażej Żywalewscy
NASZA BABCIA - JADZIA...

Zdjęcia: Archiwum Antonina i Błażej Żywalewscy

Mam na imię Błażej i mam 13 lat. Chodzę do siódmej klasy Szkoły Podstawowej im. Polskich Olimpijczyków w Dobrej. Razem z moją o 3 lata młodszą siostrą chcemy opisać historię naszej babci - Jadzi. Niestety babcia zmarła siedem lat temu i zarówno ja, jak i moja siostra, pamiętamy ją bardzo słabo. Wszystko co napiszemy, znamy z relacji naszych bliskich.

Babcia urodziła się 11 kwietnia 1943 roku w Pyszkowcach koło Buczacza. Są to tereny dzisiejszej Ukrainy, w czasach gdy na świat przyszła babcia była to Galicja Wschodnia. Trwała druga wojna światowa, ziemie te znalazły się pod okupacją najpierw radziecką, a potem niemiecką. Niestety największym problem na tych terenach były bandy UPA, czyli organizacji ukraińskich nacjonalistów. To przez nich właśnie nasi pradiadkowie uciekli z Ukrainy. Była to bardzo trudna decyzja - malutkie dziecko, konieczność pozostawienia całego dobytku, rodziny, przyjaciół. Pradiadek był kolejarem i to właśnie dzięki tej pracy dostał możliwość wyjazdu w bezpieczniejsze tereny. Opuszczając Pyszkowce, pradiadkowie zostawili kawałek ziemi i materiał na budowę domu. Jeszcze wiele lat po wojnie pradiadek liczył, że tam wróci i wybuduje swój wymarzony dom.

Prababcia opowiadała, że przed wojną w jednej wiosce żyli Polacy, Ukraińcy, Żydzi. Nikt nikomu nie przeszkadzał, wspólnie pracowano

i świętowano. Mama mówi, że bardzo trudno było jej uwierzyć, że odprawiano tam rezurekcję w Wielką Sobotę wieczorem, kiedy w Polsce tradycyjnie była odprawiana o 6:00 rano w Niedzielę Wielkanocną. Teraz w naszej parafii rezurekcja jest odprawiana właśnie w nocy. Mama mówi, że zawsze wtedy wspominała swoją babcię. W Niedzielę Palmową ja i moja siostra zawsze dostajemy „łanie palmą”, a mama mówi „Palma bije nie zabije, za siedem dni i siedem nocy doczekamy Wielkanocy”. Mówi też, że tak witała ją babcia, kiedy wracała z kościoła w ten szczególny dzień. Dla mnie to trochę śmieszne, ale rodzinne tradycje mają swoją moc, trzeba się im podporządkować. Ze wschodu przywędrowały do nas też inne tradycje. Ja szczególnie lubię te kulinarne - kutię i pierniki na Boże Narodzenie.

Wracając jednak do babci, kiedy miała roczek pradiadkowie uciekli w góry, w okolice Nowego Sącza. Nie był to jednak koniec wędrówki, która stała się udziałem wielu Polaków zamieszkujących wschodnie tereny przedwojennej Polski. Po zakończeniu wojny pradiadek wyruszył na zachód. Znalazł niewielką wioskę, mały dom, skromne gospodarstwo. Nie potrzebował więcej, przecież już niedługo miał wrócić do siebie. Miał parcelę, materiał na budowę domu - własne miejsce na ziemi. Powrót był jednak niemożliwy. Nie zgadzała się też na to prababcia. Strach przed banderowcami był zbyt wielki, pozostał już na zawsze. Nawet kiedy w latach siedemdziesiątych babcia jechała na Ukrainę, aby odwiedzić rodzinę ze strony dziadka, wymusiła obietnicę, że nie pojedzie w okolice Buczacza. Nie mogła też odwiedzić Jazłowca, to taka ukraińska Częstochowa. Obraz Matki Boskiej Jazłowieckiej przywędrował za Polakami ze wschodu i znajduje się w katedrze św. Jana Chrzciciela w Kamieniu Pomorskim.

Ta nieduża wioska, w której pradiadek się osiedlił to Nastazin. Sprowadził żonę i dziecko - czyli moją babcię. Do tej małej wioski przybyły też siostry prababci Maria i Katarzyna

i ich mama, czyli moja praprababcia. Życie powoli zaczęło się stabilizować. Niewielki kawałek ziemi zapewniał utrzymanie. Wojsko zostawiło też pięknego żrebaka, z którego wyrosła dorodna klacz. Pradziadek wykarmił ją mlekiem i żółtkami. Często pojawiał się we wspomnieniach babci. Niestety tych smutnych.

Komunizm stawał się coraz cięższy. Rolnikom zaczęto odbierać, to co wcześniej otrzymali. Baśka musiała trafić do stadniny w Nowielicach, inny koń do kołchozu, czyli spółdzielni rolniczej. Na szczęście dziadek pozostał na gospodarstwie, został rolnikiem indywidualnym, ale Baśka nie wróciła już nigdy. Babcia długo pozostawała jedynaczką, jej młodszy brat, - wujek Janek urodził się dopiero w 1950 roku. Babcia była jednak pogodną i radosną dziewczynką, miała we wsi wiele koleżanek, z którymi się bawiła. Zawsze ze śmiechem opowiadała jak jej było „źle”, a koleżankom „dobrze”. Ona dostawała jajecznicę na masełku, a koleżanki jajka rozrobione z mąką i mlekiem, aby porcje były większe i nikt nie był głodny. Na babcię czekały domowe ciasteczka, a koleżanki mogły kupić herbatniki w sklepie. Zazdrościła też tenisówek, które miały koleżanki, podczas gdy ona chodziła w skórzanych sandałkach, chciała mieć takie same buty jak inne dzieci. To ostatnie marzenie babci zostało spełnione, kiedy dostała wymarzone tenisówki, pobiegła w nich do dzieci, szybko odparzyła sobie nogi, po czym stwierdziła, że zostawi te buty na zimę.

Babcia była dobrą uczennicą, kiedy skończyła siódmą klasę, bo w tamtych czasach szkoła podstawowa była siedmioletnia, postanowiła uczyć się dalej. Wybrała Liceum Pedagogiczne w Szczecinie. Egzaminy nie były łatwe, mała wiejska szkółka z jednym nauczycielem do wszystkich przedmiotów nie dawała dobrego wykształcenia. Babcię uratował fakt, że bardzo lubiła słuchać radia, słuchała namiętnie powieści czytanych w radiu (choć to niewiarygodne, nie było wtedy Internetu, komputerów ani nawet telewizji). Zimowymi wieczorami głośno czytała powieści

historyczne swoim rodzicom i babci (mojej praprababci). Dzięki temu mówiła piękną polszczyznę i miała bogate słownictwo. W tamtych czasach, tu na zachodzie, nie była to powszechna umiejętność.

Powieść, która najbardziej utkwiała babci w pamięci to „Ania z Zielonego Wzgórza”. Przeczytała ją później sama, a także wszystkie kolejne tomy. Kiedy mama i ciocia były w szkole podstawowej dostały od babci cały komplet. Kiedy ciocia się wyprowadziła i zabrała ze sobą książki, babcia kupiła kolejny komplet dla mojej mamy. Mama mówi, że babcia zaraziła ją miłością do Ani Shirley. Obiecała, że jeżeli wujek Krzysь będzie miał córkę też jej kupi taki zestaw. I tak się stało. W prezencie komunijnym kuzynka Basia dostała komplet książek o Ani z Zielonego Wzgórza, już nie od babci ale od swojej chrzestnej – mojej mamy. To bardzo miło i ciekawie wiedzieć, że wiele rzeczy, które dzieją się w rodzinie dziś mają swoje korzenie i nie są przypadkowe. Jestem też bardzo ciekaw kiedy Tosia przeczyta tę powieść. Babcia kupowała nie tylko książki L.M. Montgomery, miała mnóstwo książek i zawsze bardzo lubiła czytać.

Czasy liceum były dla babci ciężkie. Dziadek zaczął chorować. Brakowało pieniędzy. Babcia mieszkała w internacie, przyjeżdżała do domu raz na miesiąc. Dostawała pieniądze, ale dostawała też masło i jajka, suszone owoce, które zabierała ze sobą i sprzedawała u handlarki na rynku. W ten sposób zyskiwała dodatkowe środki na przeżycie w Szczecinie. Opowiadała, że przechodząc obok cukierni, patrząc na wystawę z ciastkami, obiecywała sobie, że kiedyś kupi sobie tyle ciasteczek, ile będzie mogła zjeść. Nie wiem czy zrobiła te ciasteczkowe zakupy, ale chyba nie musiała, bo sama nauczyła się piec świetne ciasta. Kończąc liceum, babcia zdobyła zawód, który stał się jej życiową pasją, czymś bardzo ważnym, czymś co ją określało. Dość powiedzieć, że obie córki poszły jej śladem i też zostały nauczycielkami.

W liceum zyskała też przyjaźnie, które przetrwały do końca życia. Pewnego razu bardzo się zdziwiłem, że ciocia Irenka, którą znałem od zawsze, nie jest naszą prawdziwą ciocią tylko koleżanką babci z czasów liceum. Przyjeżdżała do nas każdego lata, również po śmierci babci, aby odwiedzić jej grób. My odwiedzaliśmy ją w Poznaniu, zwiedzając przy tym to piękne miasto. Wujek Krzysiu w poznańskim „nowym zoo” był chyba z dziesięć razy. Niestety ciocia Irenka też już nie żyje, ale nasza mama i ciocia Ania podtrzymują rodzinną tradycję i utrzymują kontakt z córkami cioci Irenki – Olą i Marleną. Babcia zawsze była lojalna wobec swoich przyjaciół.

Po skończeniu liceum w 1962r. babcia dostała przydział do pracy w Szkole Podstawowej w Wojtaszycach. Poznała przystojnego kawalera – mojego dziadka i 21 lipca 1963r. wyszła za mąż. Zmieniła miejsce pracy- rozpoczęła pracę w Szkole Podstawowej w Dobrej, której pozostała wierna do emerytury. Dziadek dostał mieszkanie w tzw. „agronomówce” w Dobrej. Własne cztery kąty dla młodego małżeństwa, to szczyt marzeń nawet w dzisiejszych czasach, zaś w latach sześćdziesiątych, kiedy na mieszkanie czekało się po kilkanaście lat, to wyjątkowe szczęście. Po dwóch latach przysłała na świat pierwsza córka babci, czyli ciocia Ania, po kolejnych trzech nasza mama Agnieszka. Po kilkunastu następnych, kiedy dziadkowie mieszkali już w nowym, większym mieszkaniu, urodził się Krzysiu.

Oba mieszkania połączyła potrzeba zagospodarowania przestrzeni wokół nich, czyli po prostu założenia ogrodu. Ale to nie był problem dla babci. Z wczesnego dzieciństwa wywodziła się jej kolejna pasja – ogrodnictwo. Babcia opowiadała, że w Nastazinie przy każdym domu był piękny ogródek. Kwiaty kwitły od wczesnej wiosny do późnej jesieni.

Było tam też mnóstwo krzewów ozdobnych. Jako małe dziecko nie potrafiła ich nazwać, ale całe późniejsze życie poszukiwała tych roślin i kolekcjonowała je w swoich ogrodach. Najpierw w tym przy

Reymonta później przy Wojska Polskiego. Babcia miała piękny ogródek, kochała wszystkie kwiaty - malutkie stokrotki, bratki, fiołki, przepiękne piwonie, hortensje, różaneczniki, nie wyobrażała sobie ogrodu bez róż. Znała upodobania roślin wiedziała, która z nich potrzebuje cienia, która słońca, a która dużo wody. Starła się każdej roślince dogodzić. Jej ogród nigdy nie był skończony. Zawsze trzeba było coś przesadzić, dosadzić lub wykopać. Choć tego ostatniego bardzo nie lubiła. Dla nas dzieci to jednak nie kwiatki były najważniejsze. W ogrodzie mieliśmy miejsce na piaskownicę, zjeżdżalnię, latem basen i ognisko. Babcia nie tylko roślinom dogadzała – dzieciom też. Cieszyły nas potężne drzewa czereśni, na które mogliśmy się wspinać. Zamiłowanie do roślin również odziedziczyły jej córki - ciocia ogród jest bardzo kolorowy, a mama mimo, że ma mało czasu lubi chodzić do dziadka „grzebać” w kwiatkach. Niestety ten ogród bardzo się zmienił, jest mu brak naszej babci tak samo jak nam.

Babcia całe życie przepracowała w szkole, najpierw w Wojtaszycach później w Dobrej. Jako absolwentka liceum pedagogicznego mgła uczyć wszystkich przedmiotów. Pracując podjęła jednak dalszą naukę i ukończyła studium, które wzbogaciły jej wiedzę z dziedzin biologii z chemią i geografii, których to przedmiotów uczyła najczęściej. Pisaliśmy już o ogrodach - botanicznej fascynacji babci.

Z geografią łączy się jej kolejna pasja - podróżowanie. Babcia lubiła zwiedzać i poznawać nowe miejsca. Sama jeździła na wycieczki, chętnie też organizowała wyjazdy swoim uczniom, zarażała ich pasją poznawania, zwiedzania nowego. Chciała, aby każde dziecko zobaczyło Kraków, Warszawę, było nad morzem i w górach. W rodzinnym albumie jest dużo zdjęć babci ze szkolnych wypraw. Myślę, że tę pasję odziedziczyły już nie tylko dzieci, ale też wnuki babci czyli my.

Nasza praca może się wydawać trochę chaotyczna. Brak

w niej chronologicznego porządku, ale trudno jest ująć w sztywnych ramach opowieści o tak ciekawej osobie, jaką była nasza babcia. Czy, to że: urodziła się 11 kwietnia 1943r.; wychowała na niewielkiej wsi; w 1962r. ukończyła liceum Pedagogiczne w Szczecinie; została nauczycielką w szkole podstawowej; w wieku dwudziestu lat wyszła za mąż; urodziła troje dzieci - Annę, Agnieszkę i Krzysztofa; przeszła na emeryturę po 30 latach pracy; zmarła po długiej i wyczerpującej chorobie 24 listopada 2011 roku; może oddać historię człowieka?

Kochanej babci – Tosia i Błażej.



Ryc. 5. Archiwum Antonina i Błażej Żywalewscy



Ryc. 6. Archiwum Antonina i Błażej Żywalewscy



Ryc. 7. Archiwum Antonina i Błażej Żywalewscy

Joanna Jarząbek

HISTORIA MOJEJ RODZINY,
CZYLI Z DOMASZNA NA ZACHÓD

Zdjęcia: Archiwum Joanna Jarząbek

Nazywam się Joanna Jarząbek, mam 16 lat i mieszkam w Dobropolu koło Dobrej. Jestem najmłodsza z trojga rodzeństwa. Jako jedyna urodziłam się na Pomorzu. Moja mama Anna z domu Abramczyk, a tata Jerzy Jarząbek. Moi rodzice przyjechali w te rejony w 1988 roku, kiedy moje siostry miały dwa i trzy latka. Rodzice przenieśli się, ponieważ mieli tu lepszą możliwość pracy oraz warunków mieszkalnych. Przez wiele lat mój tata pracował w już nieistniejącym gospodarstwie rolnym i browarze w Chociwlu. Moja mama również pracowała w gospodarstwie rolnym, a obecnie w zakładzie, który produkuje świece.

Moja najstarsza siostra to Agnieszka. Mieszka ona wraz ze swoim mężem Mateuszem w Czaplinku. Obydwoje pracują jako wychowawcy i nauczyciele w ośrodkach wychowawczych dla nieletnich. Mój szwagier Mateusz od wielu lat kontynuuje karierę w niższych ligach piłki nożnej, a nawet jest trenerem.

Moja druga siostra - Magdalena mieszka w Stargardzie wraz z swoim mężem Jackiem. Mają małą córkę Amelię. Magdalena jest instruktorem rekreacji ruchowej, natomiast Jacek prowadzi jednoosobową działalność gospodarczą.

Zarówno rodzina mojej mamy jak i taty zamieszkuje rejony Drzewicy w województwie łódzkim. Miejscowość Drzewica słynie



Ryc. 8. Moi rodzice - Anna i Jerzy

z zakładu Gerlach, który ma swoją siedzibę od 1886 roku. Zakład do dziś produkuje wysokiej klasy zastawę stołową. Duża część mojej rodziny pracowała w tym zakładzie, od kilku pokoleń.

Mój dziadek od strony taty miał na imię Jan, a babcia ma na imię Marianna. Dziadek Jan oraz babcia Marianna przez całe swoje życie zawodowe pracowali w Gerlachu oraz prowadzili niewielkie gospodarstwo rolne. Dziadkowie cały czas mieszkali w Domasznie obok Drzewicy. Oprócz mojego taty mieli córkę Annę. Ciocia Anna jest 4 lata młodsza od mojego taty i wraz ze swoim mężem Piotrem prowadzi hodowlę krów mlecznych, których mają około 40. Mieszkają oraz posiadają hodowlę w miejscowości Brzustowiec. Ciocia Anna i wujek Piotr mają czwórkę dzieci, najstarszy z nich ma na imię Mateusz, a córki to: Dominika, Paulina i Natalia. Oprócz tego że się uczą, pomagają rodzicom w gospodarstwie.



Ryc. 9. I Komunia Święta mojej mamy



Ryc. 10. Moje siostry wraz z mamą



Ryc. 11. I Komunia święta Agnieszki i Magdy



Ryc. 12. Rodzinny dom w Domasznie

Babcia Marianna ze swojego domu rodzinnego nosiła nazwisko Gapys. Miała dwójkę młodszego rodzeństwa: siostrę Teresę i brata Józka. Rodzice mojej babci mieli na imię: Antonia i Stanisław. Pradziadkowie również wywodzą się i całe życie mieszkali w Domasznie. Pradziadek Stanisław podobnie jak moi dziadkowie pracował w zakładzie Gerlach, natomiast w czasach wojennych działał w oddziałach Armii Krajowej. Prababcia Antonia oprócz prowadzenia gospodarstwa zajmowała się opieką i wychowywaniem wnuków, a doczekała się ich siedmiorga.

Dziadek Janek miał czworo rodzeństwa, troje starszych braci oraz jedną młodszą siostrę. Mieli oni na imię: Stanisław, Stefan, Józef i Stanisława. Rodzice mojego dziadka Jana to Anna i Józef. Pradziadkowie mieszkali przez całe życie w Kłonnej w województwie mazowieckim.

Pradziadek Józef z zawodu był rzeźnikiem, a prababcia Anna zajmowała się gospodarstwem. Józef brał udział w wojnie



Ryc. 13. Babcia Antosia z wnukami

polsko-bolszewickiej, w trakcie której był ordynansem generała Władysława Sikorskiego.

Pradziadek opowiadał swoim dzieciom i w wnukom, że generał miał zwyczaj co niedziela jadać obiad ze wszystkimi swoimi pomocnikami. Za zasługi wojenne otrzymał nawet majątek ziemski.

Rodzice mojej mamy to: nieżyjący dziadek Franciszek oraz babcia Teresa. Mieszkali w Jelni. Dziadek Franciszek oprócz pracy w zakładzie Gerlach, zajmował się sprzedażą samochodów, co nie było tak popularnym zajęciem w tamtych czasach jak dziś. Babcia Teresa oprócz pracy w zakładzie Gerlach, pracowała jako sprzedawczyni w sklepie. Dziadkowie Franciszek i Teresa mieli trójkę dzieci. Oprócz mojej mamy Anny była starsza siostra Jolanta oraz młodszy brat Jarosław. Ciocia Jolanta wraz ze swoim mężem Krzysztofem prowadzą do dziś dzień zakład handlowy w Drzewicy. Mają trójkę dzieci: Macieja, Karolinę i Katarzynę. Wszystkie ich

dzieci opuściły już dom rodziny. Studiują i pracują w innych miastach Polski. Wujek Jarosław wraz ze swoją żoną Agnieszką mieszkają w miejscowości Jelnia, która praktycznie graniczy z Drzewicą. Mają oni trójkę dzieci: Łukasza, Aleksandrę i Magdalenę. Dzieci ze względu na wiek szkolny nadal mieszkają w domu rodzinnym. Wujek podobnie jak dziadek Franciszek zajmuje się sprzedażą



Ryc. 14. Ciocia Jolanta i wujek Krzysiek podczas ślubu

samochodów, a ciocia oprócz opieki nad dziećmi prowadzi mały sklepik.

Babcia Teresa z domu rodzinnego nosiła nazwisko Karkowska. Pochodziła i wychowała się w miejscowości Werówka. Jej rodzice czyli moi pradziadkowie mieli na imię: Rozalia i Łukasz. Babcia miała troje rodzeństwa, dwie starsze siostry Janinę i Stanisławę oraz młodszego brata Stefana. Pradziadek Łukasz całe życie



Ryc. 15. Babcia Teresa z moją mamą



Ryc. 16. Rodzina Abramczyków

pracował w zakładzie Gerlach, a prababcia Rozalia zajmowała się wychowaniem dzieci oraz małym gospodarstwem rolnym.

Rodzice dziadka Franciszka mieli na imię Weronika i Filip. Dziadek wraz z rodzicami i czwórką rodzeństwa całe życie mieszkali w Jelni. Dziadek miał starszego brata Stanisława oraz trzech młodszych braci: Mieczysława, Stefana i Jana. Pradziadek Filip przez wiele lat był sołtysem we wsi Jelnia oraz jak znaczna część rodziny pracował w zakładzie Gerlach. Jako ciekawostkę można wspomnieć, że chcąc uzyskać awans w pracy uzupełniał edukację szkolną w wieku 54 lat, a w wieku 58 lat zdawał egzamin maturalny wraz ze swoją wnuczką. Prababcia Weronika prowadziła gospodarstwo rolne i zajmowała się wychowaniem dzieci.

Losy prawie całej mojej rodziny toczyły się w okolicy lub samym mieście Drzewica. Miasto Drzewica oprócz fabryki nakryć stołowych Gerlach znana jest również chociażby z ruin zamku zbudowanego w XVI wieku przez arcybiskupa gnieźnieńskiego

Macieja Drzewickiego. Zamek wybudowany został nad rzeką Drzewiczką, która jest dopływem Pilicy. Zamek spłonął w 1814 roku, a po dziś dzień jest dobrze zachowaną ruiną. Drzewica znana jest również z tego, że posiada tor kajakowy, który był pierwszym sztucznym torem slalomowym w Polsce i trzecim co do trudności w Europie. W mieście funkcjonuje Ludowy Klub Kajakowy Drzewica, którego wychowankowie uczestniczyli w Igrzyskach Olimpijskich, zdobywając tam nawet medale (Krzysztof Kołomański i Michał Staniszewski). W klubie tym trenuje również moja kuzynka – Aleksandra, córka wujka Jarosława. Opowieści również głoszą, że w tych regionach zginął pierwszy niemiecki generał w trakcie II wojny światowej, a w odwecie Niemcy podpalili wsie Żardki i Domaszno, z której to pochodzi mój tata.



Ryc. 17. *Ja na ruinach zamku w Drzewicy*



Ryc. 18. *Zamek w Drzewicy*



Ryc. 19. *Zakład Gerlach*



Ryc. 20. *Tor Kajakowy w Drzewicy*

Michał i Zuzanna Kondratiuk
RODZINA BABCI EWY PIETRZAK
- MAMY NASZEJ MAMY -
OCZAMI WNUKÓW ZUZANNY I MICHAŁA

Zdjęcia: Archiwum Michał i Zuzanna Kondratiuk

Babcia Ewa urodziła się 11 grudnia 1961 roku w Czarnej Dąbrówce koło Słupska, jest to region kaszubski. Nasi pradziadkowie i rodzice babci Ewy to Karolina Stereńczak i Piotr Pietrzak.

Rodzice Karoliny Stereńczak to Rozalia Oleszczuk i Jan Stereńczak. Mieszkali w Lesku w województwie rzeszowskim, w naszych polskich Bieszczadach.

W czasie II wojny światowej zostali wywiezieni do przymusowej pracy w III Rzeszy razem ze swoimi najstarszymi dziećmi (troje dzieci), a najmłodsza (prababcia Karolina) została pod opieką dalszej rodziny. Po wojnie wrócili do Polski i zostali osiedleni w województwie słupskim, w miejscowości Podkomorzyce.

Prapradziadek Jan Stereńczak był cieślą i po powrocie z miejsca przymusowej pracy w III Rzeszy zajmował się budowaniem domów z drewna. Żona Jana – Rozalia zajmowała się wychowywaniem dzieci i gospodarstwem domowym. W domu był piec do pieczenia chleba, sami robili masło, twaróg, ser. Prawie w każdym domu był taki piec. Gdy ktoś go nie miał, prosił sąsiadów o jego wypiek. Ludzie sobie pomagali, wymieniając się różnymi produktami oraz usługami. Czasy się zmieniły, dla Jana nie było już pracy jako cieśli. Podjął pracę w Państwowym Gospodarstwie Rolnym (PGR) w Podkomorzycach i pracował tam aż do emerytury.

Rodzice Piotra Pietrzaka to Kazimierz Pietrzak i Helena Piasecka. Mieszkali w miejscowości Marianki w województwie kieleckim. Kazimierz był młynarzem. Ludzie przywozili zboże do zmielenia na mąkę, śrutę. Następnie Kazimierz i Helena przeprowadzili się do miejscowości Łupawy, wsi w województwie słupskim. Helena zajmowała się wychowywaniem pięciorga dzieci i gospodarstwem domowym. Hodowali kury, kaczki, świnie, gęsi. Kazimierz, jako młynarz w porównaniu z innymi mieszkańcami swojej miejscowości, był zamożnym człowiekiem.

W 1962 roku Kazimierz umiera, żona Helena wyjeżdża do swojej dalszej rodziny do Złocieńca w województwie zachodniopomorskim.

Nasi pradziadkowie (Karolina i Piotr) poznali się w Podkomorzycach. W 1963 roku zamieszkali w Mielenku koło Gryfina. Zamieszkali w budynku, który pełnił również funkcję młyna



Ryc. 21. Podkomorzyce 1967 r. Rząd pierwszy: druga z prawej – Ewa Pietrzak; pierwszy z lewej – Jan Stereńczak; trzecia z lewej – Rozalia Stereńczak. Rząd drugi: druga z lewej – Karolina Pietrzak



Ryc. 22. Karolina i Piotr Pietrzakowie z dziećmi. W jasnym płaszczyku babcia Ewa W ciemnym płaszczyku siostra babci Kazimiera

wodnego. Młyn należał do spółdzielni „Gromada”. W budynku były pomieszczenia mieszkalne, podwórko było duże z pomieszczeniami gospodarczymi. Gospodarstwem domowym zajmowała się prababcia Karolina, pradziadek Piotr, był wykształconym młynarzem (skończył Technikum Młynarskie w Krajence koło Wałcza).

Prababcia Karolina nie ukończyła szkoły ponadpodstawowej. W budynku mieszkalnym nie było bieżącej wody, wodę trzeba było pompować ze studni. W pomieszczeniach gospodarczych można było hodować zwierzęta: krowy, świnie, kury, kaczki, gęsi na własne potrzeby.

Pradziadkowie posiadali również ziemię uprawną pod warzywa, owoce, zboża. Był również sad, a naokoło lasy. Do młyna rolnicy przywozili zboża, które ciągnęły konie.

Tak samo jak prapradziadkowie sami robili z mleka twaróg, ze śmietany masło, z gęsi – pierze. Z gospodarstwa babcia Ewa zawoziła jajka do sklepu, sprzedawała je i za zarobione pieniądze



Ryc. 23. Babcia Ewa w czasie wielkanocnego święcenia pokarmów



Ryc. 24. Życzenia z okazji Dnia Kobiet od dziadka Lecha dla babci Ewy. 1977r.

robiła zakupy.

W Mielenku Piotr i Karolina mieszkali do 1973 roku. Przeprowadzili się do miejscowości Wojtaszyce (województwo zachodniopomorskie), gdzie znajdował się młyn elektryczny.

Młyn należał do spółdzielni „Społem”. Piotr pracował w młynie do końca swojego życia.

W roku 1980 babcia Ewa, córka Karoliny i Piotra wyszła za mąż za Lecha Beśkę.

Kilka lat mieszkali w Wojtaszycach. W 1979 roku urodziła się nasza mama Sylwia, w 1982 roku brat mamy Arkadiusz. Przeprowadzili się do miejscowości Krzemienna, a w 1989 roku zamieszkali w Dobrej, gdzie mieszkają do dziś.

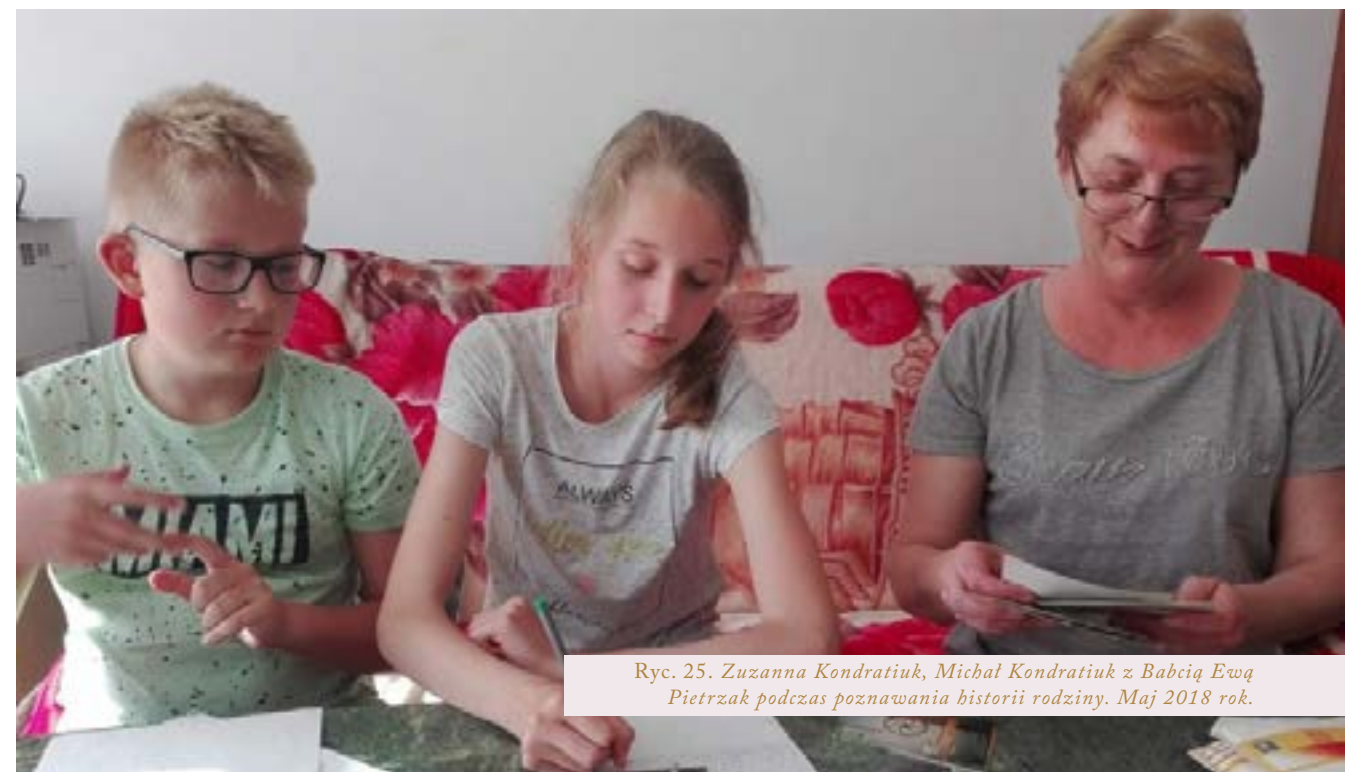
Ewa i Lech pracowali w Państwowych Gospodarstwach Rolnych, które zostały zlikwidowane w 1991 roku. Babcia i dziadek pamiętają „Zimę Stulecia” w roku 1978. Był to czas kiedy w naszym kraju wprowadzony był „stan wojenny”, obowiązywała godzina policyjna od godziny 22.00 do 06.00 – nie wolno było

wychodzić z domu bez przepustki i pozwolenia. Wszystkie produkty były na kartki, wszędzie stało się w długich kolejkach, czekając na jakikolwiek towar. W roku 1986 nastąpił wybuch elektrowni atomowej w Czarnobylu. Dziadkowie byli poinformowani, że trzeba się udać z dziećmi do punktu, w którym dostaną do wypicia płyn „Lugola”. Była to spóźniona reakcja na pojawienie się nad Polską radioaktywnych chmur z powodu wybuchu.

Z biegiem czasu zaczęły pojawiać się kolorowe telewizory, pralki automatyczne, samochody. Wraz z likwidacją PGR-ów, bardzo dużo osób straciło pracę. Bezrobocie było bardzo wysokie i dużo osób nie radziło sobie. Część, zwłaszcza młodszych osób zaczęła wyjeżdżać za granicę.

Obecnie babcia pracuje w Spółdzielni Mieszkaniowej „Dobra” w Dobrej, dziadek nie pracuje. Nasi rodzice (Sylwia Beśka i Piotr Kondratiuk) poznali się w Dobrej w 1995 roku.

Moja siostra - Zuzanna Kondratiuk - urodziła się w roku 2005, a ja - Michał Kondratiuk - w 2007 roku.



Ryc. 25. Zuzanna Kondratiuk, Michał Kondratiuk z Babcią Ewą Pietrzak podczas poznawania historii rodziny. Maj 2018 rok.

Konrad Cieślak
KSIĄDZ MAREK - CZŁOWIEK Z PASJĄ

Zdjęcia: Archiwum Konrad Cieślak

Ksiądz Marek Prusiewicz proboszcz parafii św. Klary w Dobrej przyjął święcenia kapłańskie 23.12.1984r. Prymicja odbyła się w kościele pw. Św. Jana Chrzciciela niedługo po święceniach. Dnia 22 listopada dekretem Je. Abp. Andrzeja Dzięgi, Ks. Marek Prusiewicz został przyjęty do Kapituły Kanonickiej w Kamieniu Pomorskim. Było argumentowane to w ten sposób: Za sumienne piastowanie urzędów, za troski o inne kościoły, za wielki wkład siły i środków o utrzymanie ich walorów architektonicznych i oczywiście za wychowywanie młodych pokoleń organistów. Ks. Marek był również wikariuszem w 2 parafiach w Szczecinie: Niepokalanego Serca NMP i Św. Stanisława Kostki, w 2 parafiach w Policach: Niepokalanego Poczęcia NMP. i Św. Kazimierza oraz proboszczem w 2 innych parafiach w Starej Dąbrowie św. Józefa Dziwnowie i św. Józefa. A aktualnie jest proboszczem w Dobrej w kościele św. Klary.

W latach szkoły średniej uczył grać się na gitarze klasycznej i teorii muzyki u współzałożyciela Szczecińskich Słowików p. Mariana Foksy, o którym znalazłem informację na stronie Słowiki Jana Szyrockiego http://www.slowiki60.pl/chapter_95031.asp

Marian Foksa urodził się 2 lutego 1924 roku we Lwowie. Naukę gry na skrzypcach rozpoczął w wieku 7 lat w szkole im. Re-
isówny we Lwowie. Następnie uczęszczał do Państwowej Średniej



Ryc. 26. Archiwum Konrad Cieślak

Szkoły Muzycznej, gdzie gry na skrzypcach uczył się między innymi u cenionego pedagoga prof. Józefa Cetnera.

Od 1944 roku kontynuował naukę gry na skrzypcach w Państwowym Lwowskim Konserwatorium Muzycznym w klasie prof. Józefa Bauera. Tam również studiował dyrygenturę u prof. Adama Sołtysa.

Od 1946 roku mieszkał w Szczecinie. Pracował w Teatrze Komedia Muzyczna. Od samego początku związany był również z działalnością ówczesnej Orkiestry Symfonicznej RTM, którą to przemianowano następnie w Państwową Orkiestrę Symfoniczną, Później Państwową Filharmonię im. Mieczysława Karłowicza.

Był inicjatorem i współzałożycielem a potem dyrygentem Szczecińskiego Chóru Chłopięcego "Słowiki". Był założycielem Młodzieżowej Orkiestry Symfonicznej, która powstała w 1965 roku

przy "Słowikach". Po rozstaniu się z tymi zespołami na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych kontynuował pracę pedagogiczną w ogniskach muzycznych.

Zmarł nagle 7 lipca 1992 roku. Pochowany jest na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie.

Spuścizna po nim została przekazana przez panią Stanisławę Foksa, żonę do Książnicy Pomorskiej, jak również przekazana instytucjom muzycznym działającym we Lwowie. Archiwum fotografii i wycinków prasowych -

Historia powstania "Słowików" związana jest nierozdzielnie z osobą Mariana Foksy. Pomysł założenia zespołu śpiewaczego krążył po głowie Mariana Foksy przez wiele lat. Najlepiej udokumentują to chyba jego własne słowa.



Ryc. 27. Archiwum Konrad Cieślak

Marek Pusiiewicz
La b. dobre wyniki w
nauce muzyki w roku 1945/46.
Marian Foksa
Szczecin, dnia 19. VII. 1946.



Ryc. 29. Archiwum Konrad Cieślak

Uczył się w ognisku muzycznym przy zakładzie pracy jego mamy. Na koniec roku szkolnego nie otrzymywał świadectw tylko nagrody książkowe z wpisem, z których jedną prezentuję z podpisem jego nauczyciela Mariana Foksy. Jest wdzięczny p. Marianowi za przekazaną wiedzę.

Po latach będąc wikariuszem w Policach spotkali się w dniu pielgrzymki Jana Pawła II do Szczecina, gdy p. Marian wraz z muzykami Filharmonii Szczecińskiej szykował się do gry w czasie tego spotkania, o czym także wspominał Kurier Szczeciński z dnia 9.03.2001. Oto fragment strony Kuriera i nieautoryzowany podpis pod zdjęciem.

Będąc wikariuszem w parafiach w Policach i w Szczecinie, wykorzystywał swoje umiejętności gry na gitarze w duszpasterstwie dzieci i młodzieży. Organizował także duszpasterstwo podwórkowe i ciągle, będąc w towarzystwie dzieci i młodzieży, doświadczał ich obecności w sali parafialnej na lekcjach religii (była to blisko 100 procentowa frekwencja) i w kościele na liturgiach, gdzie często pomocnym elementem była gitara. Prowadził też dziecięcy chórek, który nie tylko śpiewał w parafialnym kościele, ale wymyślił sposób prowadzenia rekolekcji dziecięcych, w czasie których dzieci głosiły naukę dzieciom przez śpiew i przygotowane recytowane teksty. Świadczą o tym nagrania filmowe z tamtego okresu.

Kiedy został proboszczem w parafii św. Józefa w Starej Dąbrowie i nie było tam organisty, wymyślił formułę dla małych parafii, których nie stać na zatrudnienie organisty oraz dla dzieci i młodzieży, których rodziców nie stać na posłanie dziecka do odległej szkoły muzycznej. Pomysł połączył z duszpasterstwem dzieci i młodzieży.

Mając wiedzę teoretyczną i umiejętność gry na gitarze, sam zaczął uczyć się gry na organach i równocześnie dzielił się swoją wiedzą z dziećmi. Celem był prosty akompaniament do śpiewanych

1987. Pamiętna wizyta Jana Pawła II w Szczecinie. Wielkie spotkanie papieża Polaka ze szczecinianami na Jasnych Błoniach. Marian Foksa wśród organizatorów koncertu na cześć dostojnego gościa.



Ryc. 30. Archiwum Konrad Cieślak

pieśni.

Podobną działalność prowadził w parafii św. Józefa w Dziwnowie i od roku 2000 w parafii św. Klary w Dobrej.

W Dobrej cel był taki sam, jak w poprzednich parafiach, ale znalazła się grupa młodych ludzi, którzy nie tylko ten cel osiągnęli, ale zaczęli grać utwory literatury organowej. Pojawiła się nowa rzecz, mianowicie koncerty organowe grane w naszej i w innych parafiach dla wiernych, a także koncerty i prezentacje dla szkół w różnych parafiach. Młodzi byli często zapraszani do gry w innych parafiach na ślubach, Pierwszych Komuniach, pogrzebach.

Nawiązał stały kontakt z księdzem proboszczem z parafii Niechorze, gdzie ma możliwość organizowania wakacji dla młodych organistów i ich rodzin, a oni mają tam swoje warsztaty, obsługują muzycznie liturgię i koncertują dla turystów.

W Niedzieli (39/2003) ukazał się artykuł następującej treści: *Parafialna szkoła dla młodych organistów w parafii św. Klary w Dobrej istnieje już od trzech lat. Od tego czasu kilku*

adeptów sztuki organistowskiej zgłębia tajemnice grania na tym instrumencie. Są wśród nich tacy, którzy nie tylko grają w czasie Liturgii niedzielnej czy codziennej, lecz mają zaproszenia do grania na ślubach, pogrzebach czy odpustach w obcych parafiach. Są także wśród nich organiści koncertujący, grający utwory J. S. Bacha i innych wielkich kompozytorów. Dla młodzieży uczącej się grać bardzo istotne jest zdobywanie doświadczenia w różnych miejscach. Dlatego Ksiądz Proboszcz już drugi rok organizuje warsztaty dla młodych w nadmorskim Niechorzu i Pogorzeli. Tam grają na Mszach św. przy licznie zgromadzonych wiernych wypoczywających nad Bałtykiem. W tym roku grały: Ela Adamczuk, Ania Szkup, Anita Ptasznik, Kasia Wilczek i Julita Cieślak. Pierwsza z nich chodzi do szkoły średniej, trzy kolejne są absolwentkami gimnazjum, a ostatnia, najmłodsza, w tym roku pójdzie do czwartej klasy szkoły podstawowej. Dwie ostatnie dziewczynki miały swoje koncerty organowe przy licznie zgromadzonych słuchaczach i przy gromkich brawach w kościele w Niechorzu i Pogorzeli. Koncerty prowadził proboszcz z Niechorza ks. Józef Czujko. A o wielkim zainteresowaniu wczasowiczów świadczą zdjęcia i nagrania z koncertów. Ksiądz Proboszcz z rodzimej parafii w Dobrej służył posługą w konfesjonale, odprawiał Msze św. i głosił homilię we wszystkie niedziele sierpnia, a młodzi organiści, dojeżdżając z Dobrej, grali na Mszach św. W ostatnich tygodniach wakacji niektórzy organiści i ich rodzice oraz klerycy pochodzący z parafii w Dobrej mogli skorzystać z gościny na plebani w Pogorzeli. Tam także dojeżdżali miejscowi młodzi organiści na muzyczne konsultacje. Na zakończenie nasuwa się prosty wniosek: warto inwestować w dobrą, zdolną i pracowitą młodzież. (źródło: <http://niedziela.pl/artukul/20125/nd/Nadmorskie-wakacje-młodych-organistow-z>)

Wraz z powstaniem przy parafii św. Kazimierza Studium Organistowskiego w Szczecinie posłał tam niektórych uczniów z parafii, aby swoje umiejętności potwierdzili odpowiednim dokumentem i zakończyli Studium z tytułem organisty Archidiecezji Szczecińsko-Kamieńskiej. Swoich młodych uczniów ma na tym

Studium do dziś.

Niektórzy z nich pokierowali swoje ścieżki do Akademii Sztuki w Szczecinie na Wydziale Edukacji Muzycznej. Do największych sukcesów należy szóstka z licencjatu na organach Julity Cieślak pod kierunkiem dr hab. Bogdana Narlocha.

W tej chwili wielu umie grać na organach, choć posługują niektórzy. Ważniejszą jednak sprawą od samej nauki gry na organach jest odbywający się proces kształtowania osobowości młodego człowieka, który jest wierzącym i umiejącym znaleźć swoje miejsce we wspólnocie kościoła, zna liturgię kościoła, ale równocześnie sam ją dobrze przeżywa i służy innym.

Dziś na zajęcia przybywa wielu młodych nawet z odległych parafii. Lekcje mają zawsze charakter darmowy, z zasadą, kto się nauczy grać, niech pomaga księdzu w liturgii w swojej parafii. Działalność edukacyjna miała bardziej charakter duszpasterski niż szkolny. Jednocześnie jest udokumentowana filmowo na stronie kanału Youtube: [parafiawdobrej](#). Aktualnie parafię w Dobrej obsługuje 9 młodych organistów.

Amelia Góralczyk

MOJA MAMA...

Zdjęcia: Archiwum Amelia Góralczyk

Mama swoje dzieciństwo spędziła we wsi Grzęzno. Mieszkała z rodzicami, siostrą i dziadkami. Dziadek miał gospodarkę, więc mama często pomagała mu przy pracy nad zwierzętami. Bardzo lubiła życie na wsi, miała tam swoje ulubione drzewa: jabłoń, na której wisiała huśtawka oraz orzecha włoskiego, na którego gałęzi spędzała wiele wolnego czasu. Blisko domu była piękna łąka, na którą razem z rówieśnikami chodzili na piknik. Moi dziadkowie pomagali swoim rodzicom w gospodarce, moja mama również im pomagała w miarę swoich możliwości.

Podczas gdy na wsi zaczynały się żniwa, to zbierało się bardzo dużo ludzi, którzy pomagali przy młóceniu zboża. W tym czasie babcia wraz z mamą szykowały obiad i przekąski. Jesienną porą zaczynały się wykopki. Moja mama lubiła biegać po polu i zbierać ziemniaki. Na każdą niedzielę robiła sernik na zimno albo babkę. Nie było wtedy supermarketów, a na obiad przygotowywało się swój drób swoje ziemniaki. Robiło się również wyroby z wieprzowiny. Różnego rodzaju słodczyce, pomarańcze czy mandarynki nie były dostępne na co dzień. W domu nie było także sprzętów elektrycznych np. pralki. Pranie robiło się wtedy 2-3 razy w tygodniu. W domach nie było też wody. Trzeba było ją nosić wiadrami ze studni, która znajdowała się koło domu.



Ryc. 31. *Archiwum Amelia Góralczyk*



Ryc. 32. *Archiwum Amelia Góralczyk*

Moja mama uczęszczała do szkoły w Dobrej. W tych czasach nie było autobusów, więc aby dostać się do szkoły dzieci jeździły tzw. budą, która była przyczepiona do ciągnika. Zimą było w niej bardzo zimno. Kiedy mama chodziła do szkoły obowiązywał w niej język rosyjski. Dzieci nosiły do szkoły fartuszki. Według mojej mamy, dzieci w tamtych czasach miały większy szacunek wobec rodziców, nauczycieli i bardzo cieszyły się z tego, co miały.

Dzieci nie spędzały czasu przed komputerem czy telefonem, lecz razem ze swoją rodziną i rówieśnikami. Bardzo często wychodziło się na dwór lub bawiło się z koleżankami. Grało się wtedy w różne zabawy np. bawiło się w podchody, chowanego, grało się w klasy, skakało na skakance. Kiedy moja mama ukończyła ósmą klasę, wraz z rodzicami przeprowadziła się do Dobrej. Po ukończeniu szkoły podstawowej, mama wybrała się do szkoły zawodowej. Codziennie



Ryc. 33. *Archiwum Amelia Góralczyk*



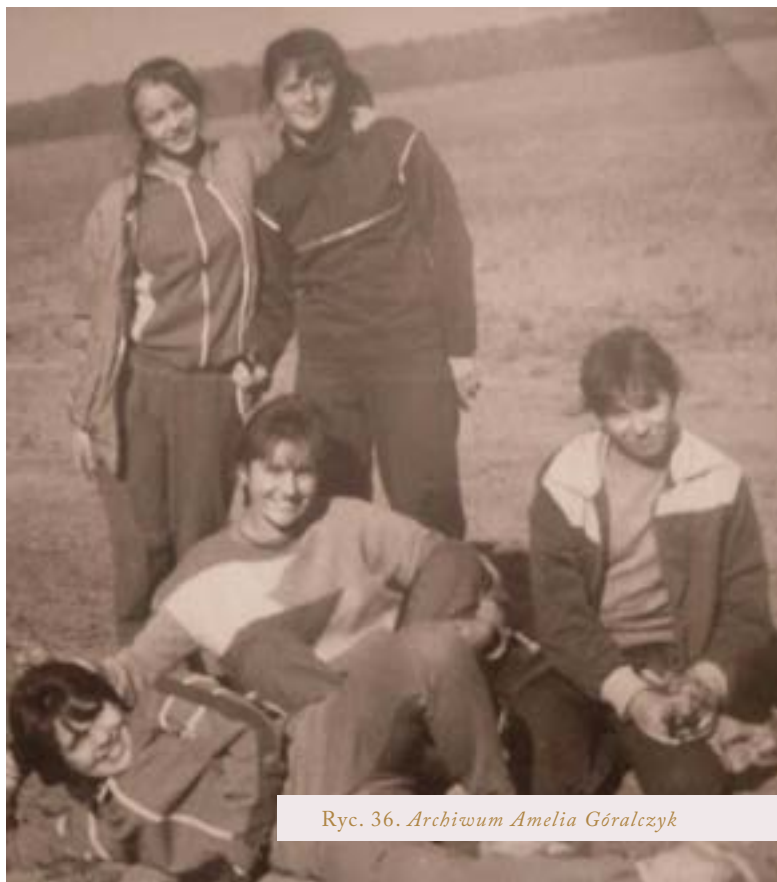
Ryc. 34. *Archiwum Amelia Góralczyk*



Ryc. 35. *Archiwum Amelia Góralczyk*

dojeżdżała z Dobrej do Nowogardu. Lekcje zaczynały się po południu, ponieważ w tej szkole znajdowało się również liceum, zatem było dużo dzieci, więc lekcje musiały odbywać się na dwie zmiany.

Zanim moja mama zaczynała lekcje, to posprzątała dom i podszykowała obiad, aby odciążyć swoją mamę, która pracowała. Dojazdy do szkoły były dość męczące, w domu było się o godzinie dwudziestej. Gdy mama kończyła szkołę, poznała mojego tatę. Nie było wtedy komórek, więc wysyłali do siebie listy. Według mojej mamy życie w tamtych czasach było ciekawsze, zdrowsze, pełne doświadczeń oraz miło spędzonych chwil.



Ryc. 36. *Archiwum Amelia Góralczyk*



Ryc. 37. *Archiwum Amelia Góralczyk*

Zuzanna Świderska
MOJE MIEJSCE NA ZIEMI

Zdjęcia: Archiwum Zuzanna Świderska

Stanisław i Maria – moi pradziadkowie żyli w latach: Maria 1895-1974, Stanisław 1894-1977. Mieszkali w Koropcu koło Terespoła, obecnie obszary Ukrainy. Prababcia uczyła w szkole, pradziadek był obszarnikiem ziemskim. Pracował w gospodarstwie, które odziedziczył po swoich rodzicach. Mieli czwórkę dzieci, najstarszego syna Ludwika, córkę Katarzynę, Władysława i Józefa. Przeżyli dużo zmian politycznych.

Maria uczyła w szkole języka polskiego, lecz po agresji Sowieców na Polskę zlikwidowano klasy i nauczano tylko w języku ukraińskim. Czasy były bardzo ciężkie i niebezpieczne. Bandy ukraińskie napadały na wsie, mordowali w nocy i w dzień całe rodziny, ludzie bardzo się bali.

W 1944 r. Armia Krajowa zaczęła ewakuację Polaków ze względu na ich bezpieczeństwo. Pradziadkowie, żyjący w stałym stresie i obawie o życie swoje i dzieci, zostawiają dorobek swojego życia i przodków, i wyjeżdżają. Udaje się im wyemigrować do Francji. Tam zamieszkują we wsi Porte Saint-Jean niedaleko Paryża. Jest im bardzo ciężko odnaleźć się w nowym miejscu, bo nie znają obcego dla nich języka. Maria jednak szybko uczy się i podejmuje pracę jako opiekunka dzieci obszarnika ziemskiego, dziedzica zwanego Baorem. Pradziadek zaś pracuje u niego na roli. Cyt. Maria mówiła ze spokojem: „Stasiu nie unoś się honorem, lepsze to niż mielibyśmy

umrzeć z głodu”.

Pomału przyzwyczajają się do nowego trybu życia. Posyłają swoje dzieci do szkoły, żeby i one mogły przysposobić się tam do życia. Syn ich, a mój dziadek – Władysław, ukończył siedem klas. Zaprzyjaźnił się w szkole z Francuzem o imieniu Paskal. Często przychodziły im różne pomysły do głowy, a to ciągnięcie dziewczynek za warkocze, a to udział w przedstawieniach (musiał udawać rannego). W wolnych chwilach chodzili nad rzekę łowić ryby i strzelali z procy do dzikich kaczek. Znał dużo piosenek, które później śpiewał swoim wnukom. Dziadek opowiadał, jak wycinano migdałki wszystkim dzieciom, gdy pokazano mu wycięte u brata dwie małe fasolki, ze strachu schował się z kolegą i nikt nie mógł ich znaleźć, i tak uratował swoje migdałki. Opowiadał również, że za kradzież u Baora obojętnie czego, zakładali duży



Ryc. 38. Archiwum Zuzanna Świderska



Ryc. 39. Archiwum Zuzanna Świdarska

napis z tyłu i drugi z przodu “Jestem złodziejem, nie będę więcej kradł” i tak chodzili przez cały dzień po wsi. Było to bardzo upokarzające. Dziadek nigdy nie kradł, ale bardzo utkwilo mu to w pamięci i zawsze powtarzał, że lepiej biedniej żyć niż łaszczyc się na czyjeś i być pośmiewiskiem. Opowiadał również, że rodzice jego bardzo ciężko pracowali, dzieci też miały swoje obowiązki. Dziadek np. musiał pilnować swojego młodszego brata. Starszy brat i siostra pracowali, ułożyli sobie życie i zostali we Francji.

Pradziadkowie jednak ciągle myśleli o powrocie do swojej ojczyzny czyli do Polski. Fakt, który zaistniał przyczynił się do podjęcia odpowiedniej decyzji. Pewnego popołudnia po powrocie syna Ludwka z pracy, gdy cała rodzina spożywała posiłek, dech

w piersi się zatrzymał. Do ich domu wszedł pijany oficer niemiecki z bronią i mierząc do syna, mówił, że jest agresorem. Pradziadkom przeleciało całe życie przed oczyma, serce mocno zabiło. Maria, broniąc syna, zaczęła całować buty oficerowi, żeby tego nie robił, że się myli, że nie jest żadnym agresorem. Za namową swojej przyjaciółki oficer pomału wycofał się i opuścił dom. Po tym incydencie nie było odwrotu. Maria i Stanisław, zabierając synów Władysława i Józefa, postanowili wracać. Stanisław powtarzał cyt. “Jeśli mam umrzeć to tylko na Polskiej ziemi, wracamy”.

Usłyszeli, że dla wracających są wysiedlone ziemie zachodnie i kto chce, to może się tu osiedlać. Nie byli przekonani, że będzie im tu dobrze i że Niemcy nie wrócą, bo różne chodziły pogłoski. Lecz gdzie mieli wracać na Ukrainę tam, gdzie zabijano bestialsko, nie. Maria z niepokojem mówiła cyt. „Znowu jedziemy w nieznane”, ale pradziadek był jednak stanowczy “Ale będziemy u siebie, osiedlimy się i zaczniemy wszystko od nowa”.

Mijając zamieszkałe wioski, jechali dalej. Ludzie na wieść, że jadą Francuzi pytali się prababci czy ich widziała i jak wyglądają, gdyż mieli inne wyobrażenia na temat obcokrajowców. Prababcia w duchu się uśmiechała, bardzo ją to rozbawiło i odpowiadała, że jadą tam daleko za nimi i mają duże głowy. Przyjechali do Tucze i tu dostali ziemię, tu zaczęli odbudowywać swoje życie.

Dziadek uczęszczał do polskiej szkoły, znał dwa języki, co wpłynęło na jego pracę, jako tłumacza w Szczecinie. Lecz długo to nie trwało, gdyż był powołany do wojska. Po powrocie do rodziców poznał swoją babcię, a swoją żonę. Ożenił się z nią i pozostał w Tucze. Mieli piątkę dzieci w tym swojego tatę - Romana. Pracował w związanej przez rolników Spółdzielni, a po kilku latach odłączył się i został rolnikiem. Dziadek należał do ochotniczej straży pożarnej w Tucze. W 2000 r. dostał odznaczenie za wysługę 30 lat.

Dziadek nie mógł wyjeżdżać do Francji, ponieważ i u nas były



Ryc. 40. Zuzanna Świdarska

różne nakazy i zakazy. Tęśnił za swoim rodzeństwem. Kontaktowali się jedynie listownie, aż do roku 1988, kiedy dziadek pojechał w odwiedziny. O jego przyjeździe do rodziny dowiedział się Paskal, który bardzo się chciał z nim zobaczyć. Spotkali się, ugościł dziadka powspominali wspólne czasy oraz odwiedzili szkołę, do której chodzili, lecz była to już szkoła sióstr zakonnych. Dziadek bardzo mile wspominał swoje dzieciństwo, często śpiewał piosenki i mówił wiersze po francusku swoim wnukom, co im bardzo się podobało. Dziadkowie wykształcili swoje dzieci.

Po ukończeniu szkoły i odbyciu służby wojskowej tata mój wrócił, aby pomagać rodzicom w gospodarstwie. Mama chodziła do szkoły w Szczecinie i mieszkała z ciocią Jolą czyli siostrą taty w internacie. Podczas jednych odwiedzin taty u cioci zapoznał mamę. Po pewnym założyli rodzinę i kontynuują pracę w gospodarstwie. Mieszkają w Tucze, mają czwórkę dzieci, ja - Zuzia jestem najmłodsza z rodzeństwa i z dumą spisuję historię moich najbliższych.

Natalia Uchwał OPOWIEDZIANA HISTORIA... BEZCENNA

Zdjęcia: Archiwum Natalia Uchwał

Trudno mi uwierzyć, w to, iż dzieci w moim wieku mogły kiedyś żyć inaczej. Ich życie nie było takie bez troski jak nasze teraz. O historii naszego kraju wiem wiele, ze szkoły, z telewizji, czy też z Internetu, ale historia ta opowiedziana przez moich najbliższych jest dla mnie tą bezcenną. Czy kiedykolwiek zastanawiałam się nad pochodzeniem moich przodków? Przyznam szczerze, że nie. Dzisiaj trochę żałuję, że nie spędziłam więcej czasu z moją prababcią, gdyż dzieje jej rodziny okazały się być bardzo interesujące.

Historię, którą chciałabym przekazać, usłyszałam od wielu członków mojej rodziny - część od mojej prababci Ludwiki, kiedy jeszcze żyła, część od jej rodzeństwa i dzieci. Losy rodzin, które przeżyły II wojnę światową nie były łatwe, a często tragiczne. I raczej do tych drugich zaliczyłabym dzieje związane z moimi przodkami. Rok 1940 nigdy nie będzie miło wspomniany przez moich bliskich. Zgodnie z polityką ZSRR polskie ziemie, zajęte podczas zbrojnej agresji w 1939 roku miały zostać opuszczone przez ludność pochodzenia między innymi polskiego. Od 1939 do 1941 trwały masowe deportacje ludności polskiej z Kresów Wschodnich. W 1940 r. podczas pierwszej "wywózki" została wysiedlona cała rodzina mojej prababci, która wówczas mieszkała w Stadnicy w gminie Podhajce. Z literatury historycznej, wynika, iż wysiedlony kontyngent określono mianem „spieczpieriesieliency-osadniki”.



Ryc. 41. Natalia Uchwał z babcią

Moja prababcia wspominała, że w dniu wysiedlenia wszyscy musieli opuścić ich gospodarstwo - jej jeszcze żyjący 85 letni dziadek Jan, ojciec Józef z zawodu kowal, matka Bronisława, brat Kazimierz, siostra Józefa i ona, wtedy 12 letnia dziewczynka. Wsadzeni w drewniane wagony pociągu nie wiedzieli, gdzie się zakończy ich podróż. Z domu mogli zabrać tylko tak zwany bagaż podręczny, gdyż pomimo zapewnień władz, że każda rodzina może wziąć ok 500 kg dobytku, nie było to respektowane. Musieli pozostawić swoje domy oraz cały inwentarz - dorobek ich życia. Warunki podczas podróży były tragiczne. Mróz, brak żywności i choroby - to najbardziej zapadło w pamięci mojej prababci. Zgodnie z dekretem wydanym w 1939 r. przez władze stalinowskie, w jednym wagonie powinno jechać nie więcej niż 25-30 osób, a z każdym transportem powinien też jechać felczer i dwie pielęgniarki. Jeżeli chodzi o wyżywienie każdy deportowany codziennie miał otrzymywać jeden gorący posiłek i 800g chleba. Jednak w praktyce okazało się być całkiem inaczej - w wagonie panowała ciasnota, gdyż lokowano w nim nawet kilkaset osób, a wojsko radzieckie nie przestrzegało zarządzeń związanych z wyżywieniem. Często zdarzały się dni, gdy

deportowanym nie dano nic do jedzenia i picia. Brak wody, a za tym idzie brak możliwości utrzymania higieny osobistej, powodowały, iż w wagonach panował niesamowity "smród". W wagonie znajdował się otwór, przez który wysiedleńcy mieli załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne, do którego niestety przez przeludnienie nie można było się dostać. Można więc sobie tylko wyobrazić jak to w rzeczywistości wyglądało.

Po kilkudziesięciu dniach jazdy w takich warunkach, przemarznięci, wycieńczeni z głodu i chorzy trafili do docelowego miejsca ich podróży- miasta Jenisejsk w Kraju Krasnojarskim na Syberii. Cieszyli się, że żyją, gdyż niestety nie wszyscy tą podróż przeżyli. Część osób umarła z przemarznięcia i głodu, a ich ciała często mieszały się z żyjącymi. Dla dziecka był to na pewno traumatyczny obraz.

Jenisejsk- nowy dom. Nie wiem, czy mogę to tak nazwać. Prababcia wspominała, iż panowały tam bardzo złe warunki atmosferyczne - silne mrozy, na które nie byli przygotowani. Osiedleni zostali w barakach, tworzących osady, a mężczyźni i kobiety powoływani byli do pracy ponad siły przy wyrębie lasów. Panował głód - dzienny przydział chleba na rodzinę wynosił 200 gram. Prababcia opowiadała, iż jako najstarsze dziecko, wysyłana była po chleb, lecz często nie donosiła go do domu, gdyż w drodze powrotnej go zjadała. Głód wtedy był silniejszy od niej. O ile lato na tajdze nie było tragiczne, gdyż można było zebrać jagody, zioła i grzyby, o tyle zimy były nie do zniesienia. Jeszcze kilka lat temu prababcia z siostrą próbowały odtworzyć zupę z pokrzyw, którą robiła im mama na Syberii - ale jednak jej smak był wyjątkowy tylko tam.

Ciężka praca w lesie oraz głód i mróz doprowadzały do śmierci wielu osób, w tym dziadka mojej prababci. Podobny los spotkał jej ojca - zginął podczas prac w lesie w kwietniu 1942 r. przygnieciony wozem pełnym drzewa. Pozostawił żonę oraz

czwórkę dzieci, gdyż już na Syberii przyszła na świat najmłodsza siostra prababci - Bronia.

Prababcia jako najstarsza z rodzeństwa, musiała wspomóc mamę, dlatego podjęła pracę jako pomoc domowa u zamożnej, bezdzietnej rodziny. Udało jej się trafić do dobrych ludzi, którzy traktowali ją jak córkę. Wspominała, że praca nie była ciężka, ale tęskniła za bliskimi, z którymi nie mogła być. Co wieczór pod dom, w którym pracowała przychodził jej o 4 lata młodszy brat Kazik, a ona po kryjomu przekazywała mu żywność, którą udało się jej zgromadzić. Gdy u państwa, u którego pracowała pojawiło się dziecko, wszyscy bardzo się cieszyli. Po wieloletnich staraniach, dziecko było dla nich cenniejsze niż złoto. Pani, u której pracowała prababcia bardzo się bała, kiedy jej doniesiono, że w barakach panuje szkarlatyna. Zakazała prababci jakichkolwiek kontaktów z rodziną, jednak ona nie mogła dotrzymać tego nakazu. Jak mogłaby zostawić swoją rodzinę bez żywności, wiedząc o chorobie, która tam panuje. Dalej przekazywała jedzenie bratu. Niestety niemowlę jej pracodawców zachorowało i zmarło. Podobnie na szkarlatynę zmarła jej najmłodsza siostra Bronia. Musiała wrócić do mamy i rodzeństwa, gdyż państwo, u których pracowała opuścili swój dom. Był to na szczęście już czas, kiedy zaczęły się powroty Polaków z Syberii do Polski.

W 1944 r. przewóz do Polski zorganizowała pani W. Wasilewska i tym samym pomogła mojej prababci powrócić do kraju. Tym razem transport w wagonach nie był już tak traumatyczny, gdyż panowała atmosfera nadziei na lepsze jutro. Nikt nie wiedział, dokąd jedzie, ale to było nie ważne, liczyło się tylko to, że wrócą do kraju. Pociąg zatrzymał się na stacji Chociwel i tu kazano im wysiąść. Ziemię zachodnie Polski - ich nowe życie. Tu się osiedlili, otrzymali dom. I tu moja prababcia zaznała szczęścia - poznała przyszłego męża, założyła rodzinę.

Chociaż na Syberii spędziła niewiele bo prawie 5 lat,

zawsze wracała do tych czasów. Wraz z rodzeństwem i z innymi deportowanymi dbała o pamięć Sybiraków zakładając w Chociwlu Koło Sybiraków. W 2002 r. dla upamiętnienia powrotu do Ojczyzny członkowie koła uczcili pamięć o poległych Sybirakach fundując obelisk. Od 2003 r. w Chociwlu obchodzony jest "Dzień Sybiraka" natomiast w 2005 r. postanowieniem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej moja prababcia odznaczona została Krzyżem Zesłańców Sybiru.

Kilka lat życia mojej prababci, okazały się być dla niej i jej rodziny "szkołą życia". Jako kilkunastoletnia dziewczynka musiała szybko dorosnąć. Chociaż czasy Sybiru były dla niej bardzo ciężkie i straciła podczas nich dziadka, tatę i siostrę, to często wracała do nich z sentymentem. W końcu to jej dzieciństwo i pewnie w trudnych chwilach życia bywały także radosne akcenty.

Martyna Trościanko
ŚLADAMI MOICH PRZODKÓW...

Zdjęcia: Archiwum Martyna Trościanko

Mam na imię Martyna. Chciałabym opowiedzieć historię mojego dziadka i babci, którzy przyjechali z Kresów Wschodnich na Zachód. Dziadek zamieszkiwał tereny dzisiejszej Białorusi. Babcia zaś przyjechała ze wsi leżącej w województwie lubelskim.

Ignacy Trościanko urodził się 24 kwietnia 1924 roku w Kulszycach, których tereny znajdują się na obecnej Białorusi.

W dzieciństwie wraz z kolegami lubił grać w piłkę nożną. Po ukończeniu szkoły, Ignacy wraz z rodzicami pracował na roli i pomagał w gospodarstwie. W wieku osiągnięcia dorosłości został powołany do odbycia służby wojskowej, służąc ojczyźnie jako Polak i patriota.

Ignacy był w II Armii Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Zygmunta Berlinga. W czasie wojny udał się z Armią do Berlina. Po demobilizacji ze stolicy Niemiec, wrócił na ziemie odzyskane do Szczecina, w którym otrzymał mieszkanie za pozostawione mienie na wschodzie Polski.

W tym czasie poznał Helenę i... pobraли się.

Po skończonej służbie w wojsku, pracował w milicji oraz w straży przemysłowej. Po pewnym czasie Ignacy podjął się pracy w Stoczni Szczecińskiej, w której był m.in. bosmanem nadbrzeża.





Ryc. 43. Ignacy i Helena Trościanko

w miejscowości Stary Chwalim. Zajmowała się domem oraz gospodarstwem. Pomagała mamie w czynnościach domowych.

Po niedługim czasie od sprowadzenia się na kresy zachodnie, poznała Ignacego, który przyjeżdżał na wieś w odwiedziny do kuzynki.

W roku 1949, pobrali się oraz razem wyjechali do Szczecina. Mieli szóstkę dzieci.

Zmarła w 2012 roku, mając 81 lat.

Czasami żałuję, że nie rozmawiałam za często z moimi dziadkami na temat ich dzieciństwa, młodości i trudnych lat dorosłości. Teraz jest już za późno...

Wy pływał w próbne rejsy. Pracował tam przez 35 lat.

Pod koniec lat 70 przeszedł na wcześniejszą emeryturę. W celu zarobkowym wraz z żoną pracował na roli. Pomagał w domu i w wychowywaniu dzieci. Posiadał gospodarstwo domowe, w którym miał m.in. gołębie, kaczki, kury, gęsi.

Zmarł z powodu niewydolności krążenia w 1990 roku, mając 66 lat.

Helena Głaz urodziła się 2 kwietnia 1931 roku w Gardzienicach w województwie lubelskim. Tam wychowywała się i dorastała. Miała dwie siostry i brata.

Jako nastolatka lubiła pleść wianki oraz robić bukiety. Kochała zwierzęta oraz naturę. Czas wolny wraz z rodzeństwem spędzała na powietrzu.

Po wojnie, w 1947 roku z rodzicami, bratem i siostrami przeprowadziła się z nadzieją na lepszy byt na zachód Polski do dawniejszego województwa koszalińskiego i osiedliła się

Natalia Chodań

ZNAD DNIESTRU DO POLSKI, CZYLI TRUDNE LOSY MOJEJ PRABABCI

Zdjęcia: Archiwum Natalia Chodań

Nazywam się Natalia Chodań, mam 11 lat. Od urodzenia mieszkam w Dobrej. Chciałabym opowiedzieć historię mojej prababci Marysi, która niestety już nie żyje (15.10.1994 rok), ale uważam, że historia życia mojej prababci zasługuje na to, aby ocalić ją od zapomnienia.

Zaleszczyki to miasto otoczone z trzech stron przez rzekę Dniestr. W miejscu tym przed drugą wojną światową Polska graniczyła z Rumunią. Było to wówczas najcieplejsze miasto Polski. Latem pachniały tam dojrzewające morele, brzoskwinie, winogrona. Wokół rozciągały się plantacje arbuzów i melonów. Była to miejscowość uzdrowiskowa i wypoczynkowa. Chętnie wypoczywał tu Józef Piłsudski. Było to również miejsce spotkań znanych pisarzy takich jak: Jan Kasprowicz, Stanisław Przybyszewski, Tadeusz Boy-Żeleński. Niektórzy z nich mieli tu swoje domy. Przez most na rzece był tylko krok do Rumunii. W miejscowości tej obok siebie w zgodzie mieszkali Polacy, Ukraińcy, Rumuni, Żydzi.

Owocem związku jednego z Rumunów o polsko brzmiącym nazwisku Kamiński, z pewną młodą Polką, była moja prababcia Maria Nowak z domu Kamińska, która urodziła się 15 września 1914 roku w Zaleszczykach. Tu ukończyła szkołę średnią wraz z maturą. Tam też poznała polskiego plutonowego Korpusu Obrony Pogranicza (dzisiaj tę rolę pełni Straż Graniczna) – Józefa

Nowaka, za którego później wyszła za mąż. Z panem plutonowym miała dwoje dzieci: Basię i Szczepana. Józef Nowak awansował na dowódcę Strażnicy KOP-u. Prababcia gotowała z miejscowych produktów obiady dla rodziny, w wolnym zaś czasie spacerowali całą rodziną wśród przepięknych uliczek miasta.

Sielankę przerwała druga wojna światowa. Przez most w Zaleszczykach do Rumunii ewakuował się polski rząd, ocalałe polskie wojska i ludność cywilna. Most zabezpieczał mój pradziadek. W dniu 17 września 1939 r. do Zaleszczyk wkroczyła armia radziecka. Józef Nowak, mój pradziadek, został zastrzelony, a babci dano 10 minut na spakowanie się. Zabrała dzieci, kilka pakunków i wsadzono ich do bydłowych wagonów, którymi przez kilka miesięcy transportowano na Sybir w okolice Workuty.

Po drodze, z braku jedzenia, picia i chorób, wielu ludzi umarło. Umierający byli wyrzucani z wagonów i grzebani w lasach przy torowiskach. Ale i tak prababcia miała szczęście, że wyjechała pierwszym transportem z Zaleszczyk. Kolejny pełen ludzi żołnierze radzieccy wysadzili wraz z mostem. Aby zatrzeć ślady zbrodni, do wody wepchnęli cysterny z benzyną i je podpalili. Kto nie zginął przy wysadzeniu mostu, spłonął w ogniu. W Zaleszczykach nowa władza zaciekle niszczyła wszystko, co mogło przypominać o świetności miasta za czasów, gdy należało ono do Polski. Zrujnowano ośrodki wypoczynkowe, uzdrowiska, pałacyki, kościoły, nawet plażę nad rzeką.

Natomiast prababcia, po dotarciu na Sybir, musiała ciężko pracować, aby wyżywić siebie i dzieci. Pracowała w cegielni przy transporcie cegieł. Nadzór nad pracującymi sprawowali strażnicy z psami. Praca była tak ciężka, że często ludzie upadali z wysiłku. Wtedy psy atakowały leżących po to, aby Ci wstali dalej do pracy. Moja prababcia do końca życia nosiła blizny po psich kłach. Pracując w cegielni, doznała najpierw przepukliny z wysiłku, później ciężko zachorowała i o mało nie umarła. Na szczęście była wykształcona

i znała język rosyjski. Dostała pracę w szkole jako sprzątaczką. W międzyczasie zachorowała jej córka Basia. Z powodu braku leków dziecko zmarło.

Zaraz po wojnie prababcia, jak tylko dostała zezwolenie, wyjechała do Polski i zamieszkała w Beniczkach koło Nowogardu. Jej syn Szczepan okazał się bardzo uzdolniony muzycznie. W szkole muzycznej poznał Zbigniewa Górnego – bardzo znanego obecnie muzyka. Szczepan i Zbigniew Górny często odwiedzali prababcię. Ona zaś, jako przedwojenna gospodyni domowa znała bardzo dużo przepisów kulinarnych i dostała pracę w kuchni w pałacu w Benicach, gdzie mieściła się dyrekcja Państwowych Gospodarstw Rolnych i stołówka pracownicza. Udzielała też korepetycji z języka rosyjskiego miejscowym urzędnikom – w tamtych czasach znajomość rosyjskiego była konieczna.

Tutaj prababcia zakochała się i urodziła w 1947r. córeczkę. Dała jej na imię Basia. Ta Basia to moja babcia, mama mojej mamy Bożeny Chodań. Prababcia nigdy nie zdradziła, kto był ojcem babci Basi. Ponoć miało to związek z tym, że prababcia miała dostać rentę po zabitym w czasie drugiej wojny światowej mężu – żołnierzu zawodowym. Prababcia pytana przez komunistyczne władze jak zginął jej mąż odpowiedziała zgodnie z prawdą, że zabili go żołnierze radzieccy, którzy zaatakowali Polskę w dniu 17 września 1939r. Wówczas jednak nie wolno było o tym mówić. W szkołach uczono tylko o przyjaźni polsko-radzieckiej. Prababcię uznano więc za „wroga ludu pracującego”, miała trudności ze znalezieniem lepszej pracy, a i związek z tajemniczym ojcem mojej babci Basi się rozleciał – nie było bezpiecznie wówczas zbyt blisko przebywać w pobliżu takich „wrogów”.

Ja prababci nigdy nie poznałam. Jej losy znam tylko z opowieści rodziny. Prababcia nigdy też nie zobaczyła swoich Zaleszczyk. Nie dowiedziała się, co stało się z jej rodzicami, z rodziną jej męża, czy jej mąż ma gdzieś swój grób. W rodzinie krążą przepisy kulinarne prababci i zapewne dzięki nim kotlety schabowe babci Basi mają tak wyjątkowy smak, którym zachwycamy się, odwiedzając ją. Szkoda, że nigdy nie spisano wspomnień prababci. Ona ponoć czytała bardzo dużo książek i pięknie opowiadała.



Ryc. 44. *Natalia Chodań*

Oliwia Dwórzynska
ŻYCIE NAZNACZONE PASMEM CIERPIEŃ

Zdjęcia: Archiwum Oliwia Dwórzynska

Prababcia Natalia Stelmasiak z domu Michalak, urodziła się w Pustkowicach w gminie Mikstat, w województwie wielkopolskim, dzisiejsza nazwa wsi Pustkowie. Była dzieckiem Walentego Michalaka i Bronisławy z domu Nieborak. Natalia była najstarszą z trojga rodzeństwa, jej brat Wacław był 5 lat młodszy a siostra Stanisława 10 lat. We wspomnieniach prababci jej wieś była położona wśród zielonych wzgórz. Gdy opowiadała o dzieciństwie, to mimo że musiała pomagać rodzicom w gospodarstwie i przy młodszym rodzeństwie to zawsze miała uśmiech na twarzy.

W 1931r. wyszła za mąż za Wojciecha Stelmasiaka urodzonego 13 kwietnia 1906 r. w miejscowości Włocin, gmina Błaszki, syna Jakuba Stelmasiaka i Balbiny z domu Pędziwiatr. Po ślubie zamieszkali w Cieni oddalonej 63 km od domu rodzinnego. Przejęli tam gospodarstwo rolne, prababcia w posagu wноси konia, 2 cielaki, 2 pierzyny. Praprababcia bardzo kochała córkę i robiła wszystko co w jej mocy, aby mężatka była szczęśliwa. Największą bolączką praprababci było to, że zięć po ślubie oddalił się od kościoła i to zaczęło być kością niezgody małżonków, gdyż Natalia była głęboko wierzącą katoliczką. 8 maja 1932 roku przyszedł na świat ich pierworodny syn, Stanisław. Pradziadek nie zgodził się na jego ochrzcenie i z tego powodu, dziecko nie widniało w żadnych księgach meldunkowych. Dwa lata później przyszedł na świat syn



Ryc. 45. Archiwum Oliwia Dwórzynska

Jan. Dziecko umarło pół roku później. Do małżonków przyjechali rodzice, by wesprzeć młodą matkę w żałobie. Ojcowie zmuszają Wojciecha do ochrzcenia Stanisława i data ta jest oficjalną datą urodzenia, to 13 czerwiec 1934 rok. Matki uważają, że śmierć Jana jest karą boską za odwrócenie się od Boga.

11 sierpnia 1937 roku na świat przyszedł trzeci syn, Mieczysław. Dzięki swojej zaradności gospodarka przynosiła im dostatek. 1 września 1939 kiedy wybuchła wojna, pradziadek został powołany do obrony kraju. Natalia została sama z dwójką dzieci. Po wejściu Niemców zostaje jej wszystko zabrane. Całe szczęście, że zaradna prababcia wcześniej potrafiła ukryć żywność, jak wynika z opowiadań dziadka Stanisława, który jako małe dziecko pamiętał, jak prababcia ukrywała ich przed Niemcami. W 1941 roku Natalię czekała następna tragedia, trzyletni Mietek wszedł na słomianą strzechę i spadł. Jego stan był krytyczny. Prababcia błaga niemieckiego lekarza, żeby ratował jej syna. Lekarz dał się przekonać i zrobił operację. Dziecko przeżyło, ale do końca życia jest niepełnosprawne umysłowo. W 1945 roku wrócił pradziadek. Gospodarstwa już nie było. Małżeństwo wraz z dziećmi zostało wsadzone do pociągu i z obietnicą lepszego życia wysłane na ziemię odzyskaną, czyli zachód Polski. Osiedlili się w miejscowości Świerczewo, gmina Nowogard. Dostali niewielkie gospodarstwo. Tutaj też urodziło im się czwarte dziecko, które umiera w 6. tygodniu życia. Prababcię spotykała następna tragedia. Rok później, znów zostali przeniesieni. Wojtek dostał duże gospodarstwo w miejscowości Sikorki, gmina Błotno.

W gospodarstwie pomagał im syn Stanisław. W 1954 r., Natalia pojechała do swojej siostry Stanisławy i wraz z synem Mietkiem trafiła do szpitala, gdzie przeszedł badania. Lekarze zdecydowali się na operację na otwartej czaszce, ale uprzedzili o możliwych komplikacjach i bardzo dużym prawdopodobieństwie zgonu na stole operacyjnym. Prababcia woli syna niepełnosprawnego, ale



Ryc. 46. Archiwum Oliwia Dwórzynska

żywego niż martwego. Wraca z synem i godzi się z losem. W 1962 roku, Stanisław idzie na 2 lata do wojska. To trudny okres dla nie, bo musi przejąć dużo obowiązków w gospodarstwie.

Po powrocie z wojska duża część obowiązków spadła na syna. Zmartwieniem Natalii było to, że syn, dobiegając trzydziestki, nadal jest kawalerem. Dzięki tak zwanym swatom, Stasiak bierze ślub z rozsądku z osiemnastoletnią Józefą. Uroczystość odbywa się 9 listopada 1964 roku. 5 stycznia 1968 roku po roku walki z rakiem krtani umiera Wojciech. Dla żony mimo trudnego małżeństwa jest to szok i niedowierzenie.

Mimo śmieci małżonka Natalia wyruszyła w podróż w odwiedziny do swojego rodzeństwa. Podróż była długa i sentymalna. Łzy w czasie drogi nie miały takiego gorzkiego smaku jak w chwili, gdy byli przymuszeni do pozostawienia swojej małej ojczyzny i wyruszenia na ziemię nieznane, w wagonie do transportu bydła z dwójką małych dzieci. Jej ukochanym miejscem stało się miasto Łódź.

W 1976 roku odbyła się jeszcze jedną pożegnalną podróż, gdy zmarł jej brat. Po raz pierwszy od czasów wojny pojechała do miejsca swojego urodzenia. Wacław został pochowany w rodzinnej miejscowości. Dla prababci było to trudne doświadczenie, gdyż nie była na pogrzebie swoich rodziców. Ta podróż skończyła się wylewem i lewostronnym paraliżem.

W życiu mojej prababci nadal przeplatały się radości i smutki. W 1978 roku urodziła się jedyna wnuczka Helena (moja mama). W 1980 roku okazało się, że syn zapadł na cukrzycę i miał raka kości. W 1982 roku Stanisław był zmuszony oddać dużą gospodarkę na skarb państwa. W dwa lata później została mu amputowana jedna, a następnie druga noga. Dziadek nie miał sił walczyć, nie zgodził się na następne operacje. Umarł 2 grudnia 1985 roku. Prababcia była załamana. Straciła już męża, troje dzieci i został jej tylko

niepełnosprawny syn, który trzymał ją przy życiu. W 1989 roku przeprowadziła się do miejscowości Wyszomierz. 76-letnia Natałka zaczęła znów życie na nieznanej ziemi. Coraz częściej chorowała, dostała drugiego wylewu. Umarła 11 lutego 1991 roku.

NOWOGARD

Mieszko Szymański

MÓJ PRAPRADZIADEK MIECZYSŁAW FREJ

Zdjęcia: Archiwum własne rodziny Frejów

Mój prapradziadek Mieczysław Frej urodził się 24 lutego 1922 roku w Żołyni, w powiecie łańcuckim. Był jednym z siedmiorga dzieci Marii i Michała Frejów. Miał starszego brata Stanisława oraz pięć młodszych sióstr (Helenę, Stefanię, Stanisławę, Zofię oraz Kazimierę).

Rodzice dziadka gospodarowali na 2 morgach ziemi, mając na utrzymaniu rodzinę, składającą się z 10 osób. Warunki panujące w domu były bardzo trudne. Często brakowało chleba, ziemniaków i tłuszczu. Rodzice szukali możliwości wyjścia z tej trudnej sytuacji życiowej zakupując gospodarstwo rolne w miejscowości Mianowice w powiecie Sokalskim. Pradziadek jako jeden z najstarszych z rodzeństwa był głównym pomocnikiem ojca przy budowie domu mieszkalnego i budynków gospodarczych. Z tego czasu pozostała mu umiejętność ciesiołki, murarstwa i stolarstwa.

Jako piętnastoletni chłopiec miał ukończoną siedmioklasową szkołę powszechną i musiał zacząć uczyć się zawodu. Był więc kowalem, listonoszem, robotnikiem folwarcznym. Każda jednak nauka kończyła się po kilku miesiącach, gdyż rodzice nie byli w stanie wносить za nią opłat. Przełożeni często mówili mu, że jest zdolny, ale w tym czasie nie to decydowało. Ważniejsza była wysokość opłaty, jaką winni wносить rodzice.



Ryc. 47. *Mieczysław Frej*

Nadszedł wrzesień 1939 roku. Do wioski wdarli się Niemcy i nacjonaści ukraińscy od początku zaprowadzając krwawe rządy. Pradziadek miał szczególnego pecha, zaraz na początku został złapany i wysłany na przymusowe roboty do Rzeszy. Znalazł się tam już w lutym 1940 roku, w miejscowości Burgdorf. Zaczęły się bardzo ciężkie czasy.

Pradziadek Mietek przybył na Ziemię Zachodnie 12 sierpnia 1945 roku. Zamieszkał we wsi Wyszomierz w powiecie nowogardzkim. Przyjechał tam z rodziną przyszłych teściów, których poznał na robotach przymusowych w Niemczech.

Ich podróż z Niemiec trwała z przerwami na wypoczynek, trzy tygodnie. Po raz pierwszy zetknęli się z Wojskiem Polskim w połowie lipca 1945 roku nad rzeką graniczną Nysą, w miejscowości Forst, gdzie zakwaterowano ich w opuszczonych domkach. Po kilku dniach wyruszyli dalej, w kierunku Zielonej Góry, a stamtąd pociągiem do Poznania.

W Poznaniu nastąpiło pożegnanie towarzyszy pięcioletniej niewoli. Pradziadek nie miał dokąd wracać, ponieważ od ponad roku miał zerwany kontakt z rodzicami, którzy mieszkali w tym czasie w Łańcucie. W tej trudnej sytuacji pradziadek zdecydował się pojechać z rodziną przyszłych teściów do Pyszkowa w powiecie sieradzkim. Po przybyciu okazało się, że nie ma gdzie mieszkać,

ponieważ Niemcy w miejscu gdzie stały budynki urządzili poligon. Na szczęście po kilku dniach dowiedzieli się, że ze stacji kolejowej w Sieradzu odchodzi transport osadników na Ziemię Szczecińską. Nastąpiła dwutygodniowa wędrówka w wagonach towarowych w kierunku Nowogardu, a ponieważ pociąg dochodził jedynie do Żabowa, kilka pozostałych kilometrów przeszli piechotą z tobołkami na plecach. Na miejscu pradziadek wyruszył pieszo szukać wolnego gospodarstwa.

Pierwszą miejscowością do której dotarł była wieś Kościuszki, nie było tam jednak wolnych gospodarstw. 14 sierpnia 1945 roku we wsi Wyszomierz, sołtys Tadeusz Ołdek z białą czerwoną opaską na rękę oraz karabinem w dłoni przydzielił przyszłej rodzinie dziadka 11-hektarowe gospodarstwo rolne. Wprawdzie dom był karczmą z pruskiego muru, ale budynki inwentarskie miały już założone światło i bieżącą wodę.

Pierwsze dni upłynęły im na porządkowaniu obejścia i budynków. Brakowało inwentarza żywego. Pierwszego kota złapali kiedy nadeszły pierwsze mrozy. Żywili się chlebem wypiekany z mąki otrzymanej od sołtysa i wiśniami, których było tak dużo, że zbierali je do późnej jesieni.

Kolejnym zadaniem jakie stanęło przed osadnikami było zebranie zboża. Pradziadek Mietek dogadał się z zastępcą sołtysa, który miał 4 konie i 6 krów, że będzie kosił jego końmi i snopowiązałką żyto po połowie tj. jeden wóz dla dziadka, jeden dla zastępcy. Po pewnym czasie ta spółka wydała się zastępcy sołtysa niesprawiedliwa i zażądała, aby przeznaczać dwa wozy dla niego a jeden dla dziadka. Mietek zrezygnował ze współpracy, gdyż jak twierdził „przecież konie i sprzęt były niemieckie”.

Zatrudnił się wtedy jako pomocnik kowala Jana Grobelnego, którego poznał podczas podróży z Sieradza do Nowogardu. Pracy było moc, zwłaszcza, że wszyscy gospodarze mieli konie i zlecali im



Ryc. 48. Mieczysław Frej na motorze

różne prace. Często dochodziło do kradzieży koni więc pradziadek z kowalem pełnili na zmianę nocne warty. W owym czasie we wsi Wyszomierz było 11 rodzin polskich, które objęły gospodarstwa. Wolnych pozostawało nadal ponad 60 gospodarstw.

We wrześniu 1945 roku pradziadek nawiązał kontakt z rodzicami i sprowadził ich do Wyszomierza. Osiedlili się na 10-hektarowym gospodarstwie rolnym. Z rodzicami przyjechało rodzeństwo dziadka, pięć sióstr. Starszy brat pracował w tym czasie w Przemyśle, gdzie brał udział w walkach z bandami UPA.

Przyjazd rodziców dziadka poprawił sytuację żywnościową. Przywieźli ze sobą krowę, która dawała mleko. Od tego czasu jadłospis uległ nieco zmianie. Do tej pory rodzice dziadka gospodarowali na 2 morgach ziemi, mając na utrzymaniu rodzinę, składającą się z 10 osób. Warunki panujące w domu były bardzo trudne. Często brakowało chleba, ziemniaków i tłuszczu. Kolejną poprawą warunków życia było podłączenie do domów energii elektrycznej. Mieszkańcy wsi zauważyli, że w pobliżu domostw przechodzi linia energetyczna. Okazało się, że przepływa przez nią prąd. Zebrany naprędce komitet organizacyjny z moim dziadkiem na czele porozumiał się z placówką energetyczną i Wyszomierz podłączono do sieci. 24 grudnia 1945 roku we wsi zabłyśły żarówki. W wyniku tego sukcesu można było słuchać radia, posługiwać się silnikami elektrycznymi do młocki, cięcia drewna itp. Było to pierwsze wielkie osiągnięcie, które pozwoliło uwierzyć wszystkim, że można będzie tam żyć, i to żyć lepiej.

Drugim niezwykle ważnym przedsięwzięciem było zorganizowanie szkoły. W Wyszomierzu mieszkało 20 dzieci a wśród nich również młodsze siostry dziadka. W skład komitetu mającego zorganizować szkołę i wyszukać do niej nauczyciela wszedł oczywiście i mój pradziadek Mietek. Pierwszym nauczycielem została wdowa po oficerze Wojska Polskiego, który zginął w kampanii wrześniowej. Zapłatą dla niej były produkty

żywnościowe fundowane przez rodziców. Komitet zaadoptował na klasę pomieszczenie w domu prywatnym, gdzie zwieziono ławki, stoły i krzesła. Brakowało podręczników i zeszytów. Korzystano z papieru i druków poniemieckich a tablicę z kilku desek wykonał mój prapradziadek Michał. Po upływie roku władze oświatowe przysłały wykwalifikowaną nauczycielkę. Praca pierwszej nauczycielki nie poszła na marne, gdyż wszystkie dzieci zostały przez nową nauczycielkę promowane do następnej klasy.

Kolejnym celem mieszkańców wsi było nawiązanie kontaktów ze światem, poprzez zorganizowanie doręczania listów. Najbliższa poczta była w Nowogardzie. Mój pradziadek został zobowiązany przez mieszkańców wsi do nawiązania kontaktu z pocztą w Nowogardzie i w toku rozmów uzgodniono montaż w Wyszomierzu metalowej skrzynki zamykanej na kłódkę. Jeden klucz otrzymała poczta w Nowogardzie, drugi – mój pradziadek. Tym sposobem awansował na społecznego naczelnika poczty w Wyszomierzu. Poczta kursowała co drugi dzień i nie było wypadku, żeby coś zginęło. Zaufanie stanowiło większą wartość niż pieniądze.

Wiosną 1946 roku rodzina Frejów zakupiła pierwszą sztukę żywego inwentarza (wcześniej mieli tylko krowę). Była nią koza z jakiś odległych stron. Pierwszą świnię przywiózł mój pradziadek, aż z Przemyśla, gdzie odwiedził swojego brata Stanisława.

Trudnym wyzwaniem okazało się kolejne zadanie – budowa bitej drogi z Długołęki do Wyszomierza o długości 2,7 km. Prace trwały dwa lata a zaangażowani byli wszyscy mieszkańcy wsi. Kamienie wożono aż z powiatu stargardzkiego, chłopcy społecznie łupali kamień i wozili piasek kopalniany. Opłacono jedynie brukarzy.

Mieszkańcom zaczęło brakować sklepu. Mietek jak to miał w swoim zwyczaju nawiązał kontakt z Gminną Spółdzielnią w Redle i załatwił otwarcie sklepu w Wyszomierzu. Było wiele

kłopotów z zaopatrzeniem, gdyż hurtownie sprzedawały towar tylko za gotówkę, a tej było brak. Samodzielnie zaciągnął pożyczkę u sąsiadów i sklep wypełnił się towarami. Pierwszą sklepową została jego żona a moja prababcia Zenobia.

Dziadkowie Mieczysław szukali chleba w Ameryce, a za zarobione pieniądze kupili kilka mórg ziemi i wybudowali parę budynków – do końca życia pozostali jednak ludźmi niepiśmiennymi. Wojna nauczyła mojego prapradziadka, czym jest Polska, co to jest wolność. Pomimo trudności pierwszego powojennego okresu osiągnął w życiu o wiele, wiele więcej niż jego dziadkowie i ojcowie. Jego dziad chodził piechotą, ojciec jeździł rowerem a on sam miał motor a później samochód. Jego dziadkowie, gdy chorowali leczyli się u znachorów, rodzice korzystali z pomocy lekarskiej tylko w ciężkich przypadkach a on sam miał zapewnioną stałą opiekę lekarską.

Mój kochany pradziadek Mietek zwykł był mawiać, że jeśli tylko wszyscy zechcemy to rzetelną pracą i nauką możemy poprawiać nasz byt i nasze życie.

WITNICA

Jakub Kopydłowski, Tomasz Gugąła, Dawid Podufalski

KSIĄDZ JÓZEF BIELAK. O PIERWSZYM PROBOSZCZU W POWOJENNEJ WITNICY

Zdjęcia: Archiwum Jakub Kopydłowski, Tomasz Gugąła, Dawid Podufalski

Józef Bielak urodził się 4 grudnia 1926 roku w Chodaczkowie Wielkim. Jak wspominają rozmówcy rodzina preferowała pobożność chrześcijańską oraz pomoc drugiej osobie. Po ukończeniu seminarium duchownego we Lwowie został wikariuszem w powiecie Kołomyja oraz następnie proboszczem we wsi Kamionki Wielkie zamieszkiwanej przez narodowość Polską Ukraińską i Żydowską. Z opowieści ks. Bielaka okres przedwojenny cechował się tolerancją pomiędzy wspomnianymi powyżej grupami. Dopiero koniec lat 30-tych spowodował załamanie porozumienia między grupami (jak zapisane jest we wspomnieniach ks. Bielaka spowodowane było budową nowego kościoła i szkoły 7-dmio klasowej). Pogłębianie niezgody przyniosła II wojna światowa. NKWD wywiozła ponad 200 Polaków na Sybir. W 1941 r. wkroczyli Niemcy, sympatyzujący z ludnością ukraińską. Rozpoczęło się prześladowanie ludności żydowskiej przez Niemców i ludności polskiej przez Ukraińców. Jeszcze przed wybuchem wojny ks. Bielak wielokrotnie przestrzegał rodzimych Polaków przed zawieraniem ślubów z ludnością ukraińską – przewidywał przyszły problem związany z opuszczeniem tychże ziem. Niestety jego „obawy” stały się realne, ponieważ wiele z tych rodzin nie mogło później opuścić tychże terenów i musiało pozostać na Ukrainie. W okresie największych prześladowań ks. Bielak wraz z Polakami przebywał w kolonii Czyściak. Niestety prześladowania również tutaj dotknęły ludność polską, którą

w większości wymordowano. Księdza nie udało się odnaleźć dzięki wzajemnej pomocy rodzin polskich (kilka razy ukrywał się w rurze przepustowej pod jezdnią). Najczęstszym ukryciem ks. Bielaka była wieża kościelna, ponieważ Banderowcy wielokrotnie napadali na plebanię. Wobec nasilających się represji ks. Bielak poprosił



Ryc. 49. Archiwum Jakub Kopydłowski, Tomasz Gugąła, Dawid Podufalski



Ryc. 50. Archiwum Jakub Kopydłowski, Tomasz Gugąła, Dawid Podufalski

Polaków o przeniesienie się do położonej obok Kołomyi. Był to teren bardziej „bezpieczniejszy” ponieważ znajdowały się tam oddziały Armii Czerwonej.

W maju 1945 roku grupa ocalałych Polaków wraz ze swoim proboszczem została wysłana na tzw. Ziemie Odzyskane i trafiła w kilku transportach do Witnicy. Drogi proboszcza ze swoimi wiernymi na krótko się przerwały. Na krótko, ponieważ z Witnicy wyruszyła delegacja do Kłodzka z prośbą aby ks. Bielak zgodził się przenieść do Witnicy. Prośba została pozytywnie przyjęta. Od 1946 roku został proboszczem kościoła (wcześniej był to kościół protestancki) pod wezwaniem Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Mieszkańcy Witnicy wspominają go jako kapłana, który stał ponad podziałami ideologicznymi i zawsze troskliwie dbał o swoich parafian. Na samym początku jednoczył repatriantów z ludnością miejscową. Współpraca opierała się nie tylko w gronie katolickim, ale także z urzędem miejskim, w którym zasiadali



przedstawiciele władzy komunistycznej. Jako przykład można podać, że obchody Bożego Ciała, podczas których przedstawiciel miejskiej rady narodowej pomagał nieść monstrancję proboszczowi podczas procesji (Służby Bezpieczeństwa wielokrotnie starały się nakłonić proboszcza do współpracy z komunistami). Podczas spotkania I komunijnego nakazał gospodyniom przygotować dla dzieci biorących udział w uroczystości ciasto, drożdżówki. Mimo ciężkiej sytuacji materialnej parafian starał się odbudować obiekty sakralne znajdujące się w parafii. Współpracował z władzami miejskimi stąd w ogłoszeniach pojawiały się informacje zachęcające do szczepień, udziału w spisie ludności czy uczestnictwu w kursach doszkalających. Jedno wspomnienie pojawia się u wszystkich rozmówców- rozdawane cukierki dla najmłodszych parafian. Ks. Józef Bielak często miał w zanadrzu przygotowane kilka słodkości, które rozdawał oczywiście po odpowiedzi przez dziecko na pytanie z religii. Za swoją działalność otrzymał medal „X-leciaPRL” jednak go nie odebrał obawiając się porównania do działającego ruchu „Księży Patriotów”. Ksiądz Józef Bielak zmarł 24 kwietnia 1979 roku. Na jego cześć został wybudowany przed kościołem pomnik odsłonięty w 2017 r.

Na podstawie rozmowy przeprowadzonej z p. Krystyną Sikorską oraz p. Ireną Kurzawską oraz p. Arturem Rosiakiem.

Jakub Sikorski, Maksymilian Stieler, Wiktoria Rzemieniecka

WYWIAD Z KRYSTYNĄ SIKORSKĄ

Proszę przybliżyć historię swojej rodziny.

Moi rodzice pochodzą z dwóch różnych zakątków Polski. Tatuś z Wroniek, tam się urodził i tam mieszkał do 21 roku życia. W czasie wojny pracował w fabryce Kouha (od 16 roku życia w niej pracował). A zaraz po wojnie w maju 1945 roku przyjechał tutaj (czyli do Witnicy) wraz z grupą kolegów takich jak on 20-sto kilkulatków. Nazywano ich później utrwalaczami władzy ludowej bo zatrudnili się w przyszłej milicji obywatelskiej. Były takie osoby jak pan Kaziu Lewicki, bracia Stelmaszykowie, pan Rosa i wielu innych młodych ludzi. I tutaj w Witnicy zaraz po wojnie znalazła się moja mama. Przyjechała w odwiedziny do swojej siostry, która tutaj po wojnie przyjechała razem z mężem i z maleńkim synkiem. I posiadali oni na początku ul. Sikorskiego (w tamtych czasach nazwa Michała Roli- Żymierskiego) sklep. Naprzeciwko znajdował się komisariat. Moja mama pomagała wielokrotnie swojej siostrze pracując w tym sklepie a milicjanci przychodzili wielokrotnie na zakupy. I tak się poznali. Moja mama tak się spodobała tacie że nie było mowy aby wróciła w tereny lubelskie (dokładnie wieś Dębica Nowa pod Radomiem). Już w swoje rodzime strony nie wróciła, postanowili się pobrać w 1946 roku. Najpierw cywilny a później także kościelny. W domu (w którym obecnie mieszka pani Sikorska) zostało wyprawione wesele. Urodziło im się ośmioro dzieci. Trzej

bracia pracowali w milicji a siostry pracowały jako nauczycielki w szkole.

Które wspomnienie związane z dzieciństwem szczególnie zapadło Pani w pamięci?

Długo zastanawiałam się co szczególnego zapadło w mojej pamięci, chyba nie będę tutaj oryginalna ale to był pierwszy dzień w szkole. 1 września 1956 roku poszłam do szkoły do klasy pierwszej na obecną ulicę Placu Wolności 7. Moją nauczycielką była pani Helena Jaskólska. Ja do dzisiaj pamiętam jak ona była ubrana. Pamiętam ławkę w której siedziałam, pamiętam w którym członie budynku mieściła się moja klasa. Pamiętam doskonale co robiliśmy na tych pierwszych lekcjach i co powiedziałam jak wróciłam ze szkoły

I co pani wtedy powiedziała?

Że będę nauczycielką jak wtedy pani Jaskólska. I muszę wam powiedzieć, że ja nigdy nie zmieniłam zdania. Ja przez cały mój okres uczenia się zawsze dążyłam do tego aby pracować w szkole. I całe życie przepracowałam w szkole (40 lat). W szkole podstawowej numer jeden, później w szkole podstawowej numer 2 a później dokończyłam swoją pracę w liceum. Wracając do lat dzieciństwa. Rodziny były wielodzietne stąd dzieci było bardzo dużo. Mieliśmy bezpieczną ulicę bo nie jeździły często żadne samochody. Graliśmy bardzo często w kiczkę, klasy, skakanka. Od rana do wieczora w czasie wakacji my się bawiliśmy. Ale mieliśmy też obowiązki. Ja byłam prawie najstarsza z rodzeństwa więc musiałam się opiekować młodszym rodzeństwem. Pomagać rodzicom. Mama nas bardzo dużo nauczyła. Ja potrafię szyć, haftować, potrafię piec, gotować. Ale ja to wszystko wyniosłam z domu. Zawsze mówiłam do mojej mamy,



Ryc. 52. Z lewej Krystyna Sikorska

że gdyby urodziła się po wojnie to na pewno była by nauczycielką. Miała bardzo dużo cierpliwości, takiej empatii. Była wspaniałą dobrą kobietą. Tata z kolei co wziął do ręki to naprawił. Krótko pracował w milicji (1945-1946) później zatrudnił się w fabryce mebli i do emerytury pracował jako stolarz.

Jakie tradycje rodzinne najbardziej pani pamięta z czasów rodzinnych.

Mój dom to taki dom z prawdziwego zdarzenia. Pamiętam kiedyś na lekcji wiedzy o społeczeństwie w liceum przy temacie rodzina każdy z uczniów miał opowiedzieć o swojej rodzinie i poprosili żebym ja opowiedziała o swojej. Jedna z uczennic powiedziała: Proszę Panią ja chciała bym żeby mój dom był taki sam jak Pani. U mnie w domu rodzinnym nie było takiego pędu, że

rano rodzice ubierają szybko dzieci, prędko, prędko do samochodu wsadzają i do szkoły odwożą. Moja mama nie pracowała tak więc zawsze byliśmy przez mamę wyszykowani, w czystych fartuszkach, zawsze przygotowała śniadanie. Do dzisiaj wspominam że obowiązkowo jedliśmy na śniadanie zupełną mleczną. I powiem wam że ja takiego domu nie stworzyłam. Pracowałam, a moi synowie (mam 3 synów i 6 wnucząt). Starałam się wspierać moje synowe w wychowywaniu dzieci. Jakie tradycje rodzinne? Moja mama zawsze dbała o to żebyśmy razem spędzali święta. Jeszcze jak byliśmy mali to pamiętam wigilię, choinkę, kolędy. Ja chciałam, starałam się aby w mojej rodzinie podobnie zaistniały szczególnie te święta, śniadanie wielkanocne, czy wigilia. I staram się aby moje dzieci moje wnuki spędzały je razem ze mną. I tak właśnie jest.



Ryc. 53. Krystyna Sikorska podczas przekazania sztandaru szkole, 1990 r.



Ryc. 54. Spotkanie z biskupem Dyczkowskim

Jak przebiegała Pani droga naukowa. Ulubione przedmioty i wpływ na dalsze życie?

Uczęszczałam do SP 1, ona najpierw nazywała się 87 a później zmieniono na 1. Tam chodziłam przez 4 lata. W 4 klasie wychowawcą został pan Zdzisław Panek i w 5 klasie oddano szkołę SP 88 (obecna 2). I tam chodziłam do szkoły. Wychowawcą był p Antoni Wojnicki. W 8 klasie moim wychowawcą została osoba, na której wzorowałam się później w pracy pani Alicja Łabuda. Ja uczyłam się dobrze. Miałam takie ulubione przedmioty m.in. historię, byłam niezła z matematyki, fizyki, chemii. W SP byłam przewodniczącą Samorządu Uczniowskiego. Po ukończeniu 7 klasy w 1963 roku zdawałam do Liceum Pedagogicznego w Gorzowie Wielkopolskim i do tej szkoły się dostałam. To była szkoła dosyć trudna- oprócz przedmiotów ogólnych mieliśmy bardzo dużo przedmiotów artystycznych: muzyka, śpiew, chór. Do szkoły musiałam dojeżdżać 6 dni w tygodniu. W tym okresie byłam bardziej związana ze

środowiskiem gorzowskim. Działalam w ZHP w drużynie nr „14”, jeździłam na wycieczki. Pamiętam jak w 1967 roku wybierał się do Polski prezydent Francji Charles de Gaulle. Wraz z moją koleżanką harcerką wpadłyśmy na pomysł, że napiszemy do prezydenta list i poprosimy, żeby odwiedził także ziemię gorzowską. Ale dosyć długo czekałyśmy na odpowiedź. Pewnego dnia dyrektor szkoły nas wzywa, piękna duża koperta obklejona znaczkami zaadresowana do nas. Otwieramy kopertę a tam zdjęcie de Gaulle'a autograf i list podziękowanie za zaproszenie z przeprosinami że jednak Gorzowa nie odwiedzi. List wywołał wielką sensację. Dyrektor zamieścił go w kronice szkolnej. Po 5 latach nauki w liceum ja byłam przygotowana do pracy. Uczyłam i chemii i śpiewu, i języka rosyjskiego nawet. I zatrudniono mnie wtedy w szkole podstawowej. Kierownikiem szkoły był wtedy p. Antoni Wojnicki. Jako wychowawczyni miałam szczęście do wykształconych ludzi: w przyszłości byli to i nauczyciele, lekarze, prawnicy. Kolejną klasę którą prowadziłam to w niej były wasze nauczycielki- pani Buczma, pani Dudkiewicz. Później otrzymałam możliwość pracy jako zastępca dyrektora w SP na Wiosny Ludów i stamtąd zabrano mnie do Inspektoratu Oświaty i Wychowania i pracowałam jako zastępca dyrektora przez 3 lata. Była to dla mnie praca urzędnika. Poprosiłam aby mnie z powrotem odesłano i pracowałam jako nauczycielka historii i wychowania obywatelskiego a od 1990 jako Dyrektor LO a później jako Zespołu Szkół im. Mikołaja Kopernika.

Jak wyglądało życie w Witnicy w wieku kiedy miała pani 18 lat?

W Witnicy wiele się działo. Prężnie działał Dom Kultury. Pamiętam bibliotekarką w nim była p. Lucyna Szymała, która organizowała często konkursy czytelnicze. Ja także brałam w nich udział. Chodziliśmy na różnego rodzaju potańcówki też w DK organizowane. P. Lucyna organizowała często zabawy dla młodzieży. To były bardzo fajne spokojne czasy. Zdarzała się młodzież, która

zachowywała się inaczej ale nie było za bardzo takich ekscesów, bijatyk, żeby młodzież chodziła podpita. Mojego męża daleko nie szukałam. Mieszkał na tej samej ulicy. Mając 21 lat wyszłam za mąż.

Co skłoniło do nauki w szkole. Jakie trudności napotykała Pani?

Wypowiadając się wcześniej ja sobie tę pracę wymarzyłam. Przez blisko 40 lat pracowałam w witnickich szkołach. Dwa razy byłam wychowawczynią. Może trafiałam na takie zespoły klasowe, może ja byłam tak pozytywnie nastawiona, że nie miałam problemów wychowawczych. Nie, nigdy nie miałam do czynienia żebym musiała interweniować na policji w sprawie mojego ucznia. Nie. Ani specjalnie też z pedagogami nie miałam. I później w LO przez te 13 lat także. Także nie mogę się tutaj pochwalić jakimiś porażkami. Chyba więcej było sukcesów. Wiem że uczniowie nazywali mnie „mamą” w średniej szkole. Oczywiście po cichu. Od czasu do czasu docierało do mnie ... „że nasza mama”. Chyba byłam bardziej nauczycielka niż dyrektorką i zawsze stałam po stronie ucznia. Nieraz koledzy koleżanki zarzucali że dla p. Dyrektor oni są ważniejsi, ale słabszemu zawsze trzeba pomóc.

Jakie cechy najbardziej Pani ceniła wśród współpracowników i wśród uczniów.

W ciągu 13 lat pracy przedmiotem mojej szczególnej troski byli uczniowie, bardzo zależało mi aby po ukończeniu nauki potrafili odnaleźć swoje miejsce we współczesnym świecie, zdawałam sobie sprawę jest to możliwe dzięki wiedzy i umiejętnościom i naukom języków obcych. Dlatego jako priorytet uznałam zapotrzebowanie na sprzęt komputerowy. Już w 1990 roku otrzymała szkoła pracownię komputerową typu junior. Później pracownię przekazaliśmy do



Ryc. 55. Krystyna Sikorska podczas matur

SP Dąbroszyna. W szkole została wprowadzona pracownia typu Macintosh. W 2002 roku wygraliśmy konkurs i otrzymaliśmy pracownię multimedialną. Podwaliny pod komputeryzację szkoły podłożył p. Jan Janowicz. Razem ze mną pracę rozpoczął p. Krzysztof Krac, który zaangażował się w tworzenie pracowni. Od 1997 uczniowie mogli korzystać z Internetu. Była to 2 szkoła w województwie gorzowskim podłączona do Internetu. Już pierwszym roku pracy w czasie wakacji postanowiłam wprowadzić trzeci język- j. angielski, nauczycielem został p. Bogdan Nowakowski. Od 1996 roku przez 6 lat zatrudniała szkoła ochotników korpusu pokoju. Ochotnicy zatrudnieni w liceum uczyli j. angielskiego.

Czy nazwała by się Pani aktywistką społeczną?

Czy ja byłam aktywistką społeczną? Ja lubię pracować. Już w SP byłam przewodniczącą SU, w liceum byłam w drużynie

harcerskiej „Wędrującej 14”. My także dokumentowaliśmy spotkania z ciekawymi ludźmi. W czasach pracy szkolnej prowadziłam „pluszowe niedźwiadki” była to drużyna zuchowa. Włączałam się w działania na rzecz środowiska- były to prace społeczne. Takim motorem był p. Zbigniew Czarnuch- zainicjował sadzenia, zainicjował Towarzystwo Przyjaciół Witnicy. Byłam przewodniczącą samorządu mieszkańców pod koniec lat 80. Ja się włączyłam do pracy w Radzie Miejskiej jako ekspert oświaty a w 1994 roku stanęłam jako z lokalnego ugrupowania Witnica 2000 zostałam wybrana radną i w 1994 zostałam powołana na przewodniczącą Rady Miejskiej do 2014 roku.

Jakie osoby wspierały Panią w pracy zawodowej?

Jakie osoby? Przede wszystkim moi rodzice. Rodzice byli bardzo, bardzo pracowici. U nas nie było przepychu komfortu ale

nie było też biedy. Mama ciągle powtarzała nam: uczcie się, uczcie, nauką dojdziecie do celu. Ojciec zdążył skończyć szkołę podstawową. Mama nie zdążyła z powodu wojny. Mimo tego potrafiła ładnie pisać i czytać. Była dla mnie wzorem. W dorosłym życiu wzorem była p. Helena Jaskólska, p. Alicja Łabuda, p. Zbigniew Czarnuch. Myslę że dużo ciepłych słów mogę powiedzieć o nieżyjącym już Burmistrzu Andrzejowi Zabłockim. Bardzo dużo z nim na temat gminy z nim rozmawiałam. Wiele raz tłumaczyłam mu, że nie ma racji. Jeżeli chodzi o sprawy oświatowe to nigdy mnie nie przekonał. Zawsze było moje na wierzchu. Spotkałam się z kilkoma ważnymi osobami p. Pawłem Pisarkiem i p. Eugeniuszem Kurzawskim. Cała ta trójka nawzajem się uzupełniali i gminą kierowali. Nie można powiedzieć że poprzednicy nic w tej gminie nie działali. Także nie wolno przekreślać tego co zrobili poprzednicy.

Proszę wymienić trzy sztandarowe zasługi dla gminy

Przede wszystkim zwodociągowanie i skanalizowanie Witnicy. To był taki nasz sztandarowy punkt temat. Postanowiliśmy tutaj Rada Miejska i Burmistrz zrealizować. W 1990 roku, kiedy burmistrz Andrzej Zabłocki obejmował władzę w Witnicy nie było ani jednego metra kanalizacji. Dzieci chorowały, robaczycą, bardzo często lekarze narzekali, ale to wszystko zależne było od jakości wody. Szamba takie przepływowe, takie że ścieki dostawały się do wody dlatego położyliśmy sobie jako naczelne zadanie zwodociągowanie i skanalizowanie Witnicy. Gmina pozyskała z funduszy unijnych 22 miliony. Należało 30% środków znaleźć własnych stąd kredyty i zadłużenie gminy. Mało tego 18 sołectw też chciało mieć wodę- ale tu nie wszystko nam się udało zrobić. Drugim sztandarowym zadaniem to bezpieczeństwo mieszkańców stad budowa Regionalnego Centrum Ratownictwa gdzie znalazło siedzibę pogotowie, straż pożarna i policja. Dla mnie – nauczycielki- to remonty szkół, utworzenie jednego gimnazjum w gminie.



Ryc. 56. Projekt polsko-niemiecki

Jakub Kasperek, Jakub Kopydłowski, Kornelia Sajewicz
ROZMOWA Z PIOTREM LEMIESZKIEM NT. LOSÓW
JEGO DZIADKA MARIANA LEMIESZKA

Zdjęcia: Archiwum Piotr Lemieszek

Proszę powiedzieć kilka słów o latach młodości swojego dziadka

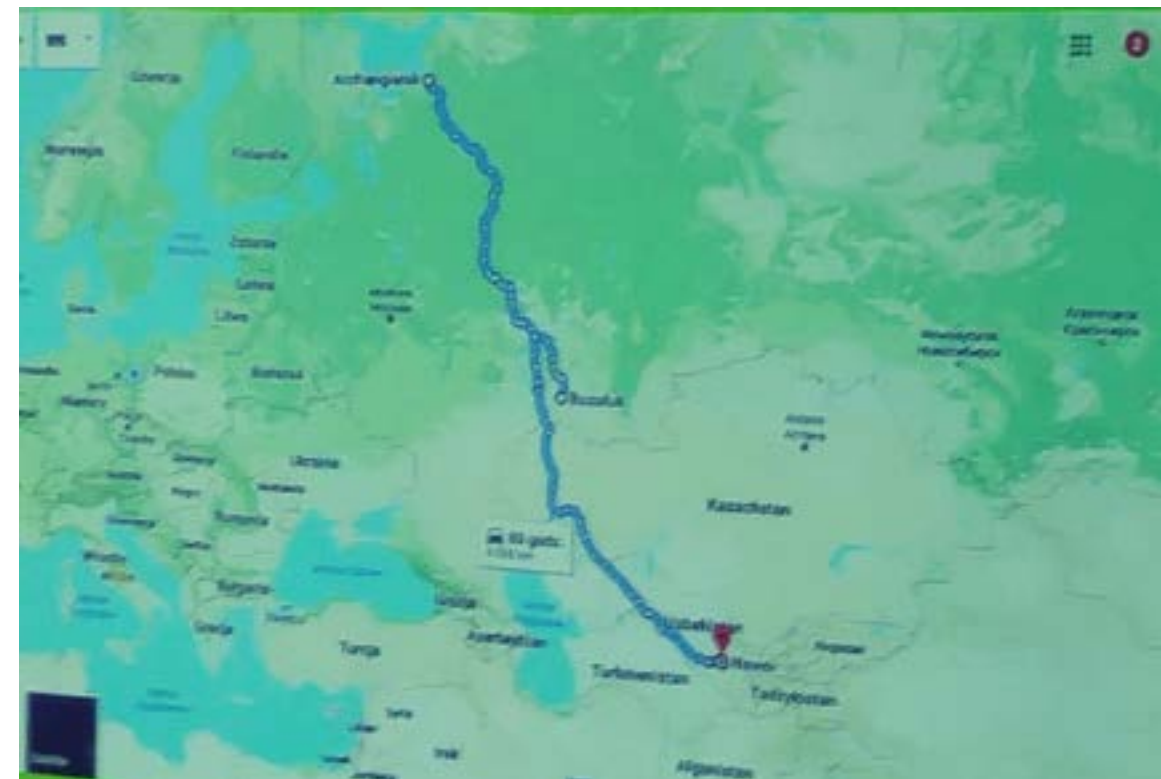
Dziadek urodził się 16 sierpnia 1920 roku w Sutnie. To jest obecne województwo podlaskie. Uczęszczał do szkoły w miejscowości Mętna. W 195 roku ukończył 7 klasę szkoły w Mielniku nad Bugiem.

W jaki sposób Pana dziadek znalazł się na Syberii

Po wybuchu II wojny światowej gehenna mojej rodziny rozpoczyna się w nocy z 9 na 10 lutego 1940 r. Rozpoczyna się deportacja w temperaturze -40 stopni. Wywózka dotyczyła mojej rodziny, ponieważ mój pradziad- Stanisław Lemieszek należał do służby leśnej. Ta grupa oraz osadnicy wojskowi według sowietów byli największym zagrożeniem. Wiadomo, chodziło o możliwość zorganizowania partyzantki. Tak więc została deportowana moja cała rodzina: pradziadowie-> Stanisław i Barbara oraz dziadek Marian wraz z rodzeństwem: Kazimierzem, Marią i Stanisławą

W jakie miejsce zostali zesłani?

Były to okolice Archangielska nad Morzem Białym. Mieli



Ryc. 57. Trudna droga do armii gen. Andersa

pracować w gospodarstwie leśnym zajmującym się głównie spławianiem wody. Tutaj jako ciekawostkę wam opowiem, że dziadek otarł się o śmierć, ponieważ poślizgnął się na lodowatej kłodzie i wpadł do rzeki. Uratowała go jakaś Rosjanka. Dzięki siostrze Marii, która została przydzielona do pracy w kuchni rodzina zostawała dodatkowo nielegalnie „dokarmiana” przez co uniknęła śmierci głodowej.

22 czerwca 1941 roku Hitler zaatakował Związek Radziecki. Jakie były kolejne losy dziadka.

Po ataku Hitlera na ZSRR Stalinowi potrzebna była współpraca z państwami zachodnimi. Jednocześnie toczyły się rozmowy z przedstawicielami rządu londyńskiego. Zostaje podpisany układ Sikorski – Majski, którego jednym z najważniejszych

założeń było wypuszczenie polskich więźniów z więzień i łagrów. Oczywiście władze sowieckie za bardzo nie chciały aby Polacy o tym się dowiedzieli- no bo kto wtedy będzie za nich pracował? Mój dziadek postanowił wstąpić wtedy do armii gen. Andersa. Musiał wyruszyć w niebezpieczną podróż na południe ZSRR

Jak wyglądało tworzenie armii gen. Andersa

Z zapisków dziadka wiem, że 3 maja złożył przysięgę wojskową służąc w 2 Batalionie 7 Pułku Artylerii Ciężkiej. Nie była to jednak armia, która mogła od razu wyruszyć walczyć z nazistami. Trzeba było ją na początku ubrać. Tak- ubrać. A brakowało dosłownie wszystkiego- od butów aż po czapki. Nie mówiąc o broni- ćwiczone na atrapach drewnianych. Fakt oddziały zostały później przeniesione do republik azjatyckich. Po za tym nagminnie stawały się porwania żołnierzy polskich. Oczywiście wiecie przez kogo- przez NKWD.

Z historii wiemy, że nastąpi załamanie rozmów między stroną radziecką i polską i spowodowane będzie to zbrodnią katyńską. Co się wtedy dzieje z dziadkiem?

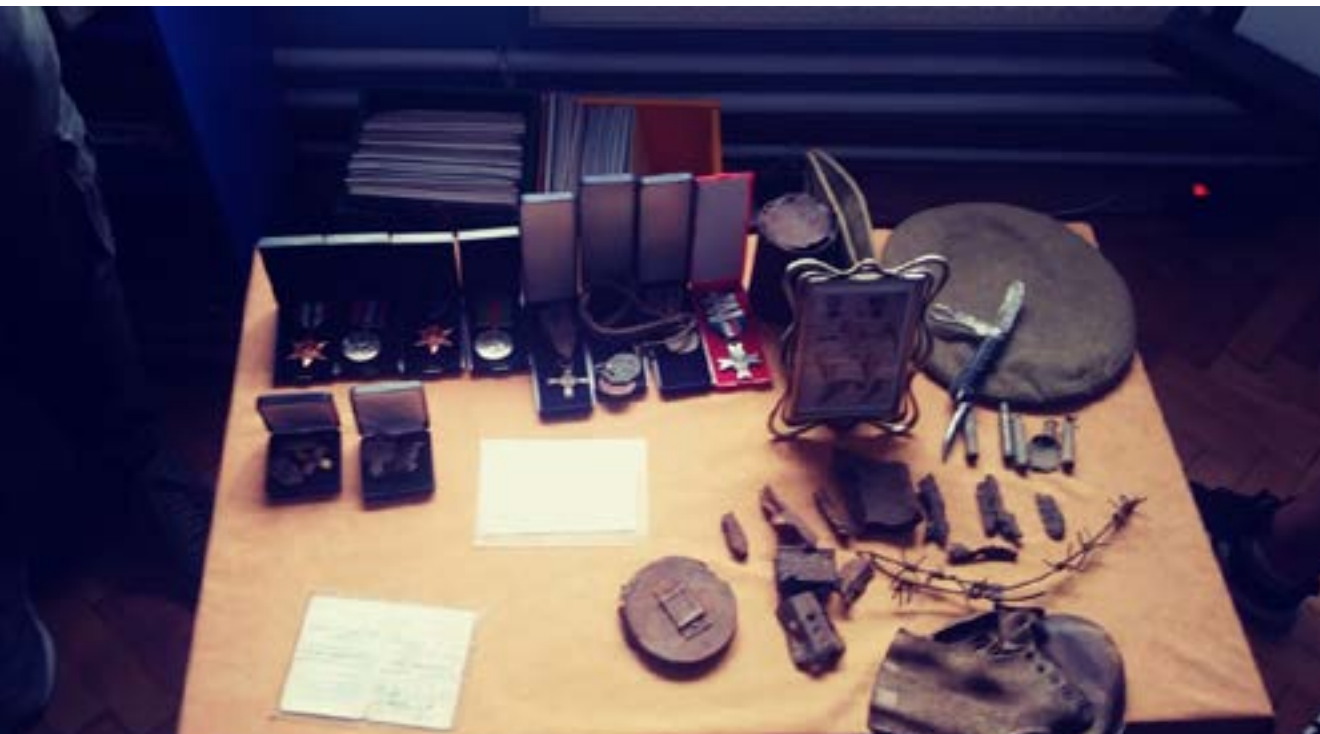
Z historii pewnie też wiecie, że armia Andersa przenosi się na tereny dzisiejszego Iranu. Oczywiście Stalin był przeciwny. Wojskom polskim pomogli Niemcy, którzy po nieudanym zdobyciu Moskwy ruszają na południe. Okazuje się że pola naftowe są zbyt słabo zabezpieczone przez Brytyjczyków i Rosjan i Polacy są tam potrzebni. Dziadek opisywał, że przez Morze Kaspijskie płynęli trzy dni- bez wody, jedzenia, toalety. Następnie dotarli do obozu kwarantanny gdzie palono ich ubrania i odswszawiano. Życie tutaj biegło całkowicie inaczej. Pełno towarów, owoców, jedzenia. Niestety jedzenie- jak wspomina dziadek- okazywało się też wrogiem bo ludzie ginęli z przejedzenia.

No dobrze, ale jakie zadania otrzymali w Iranie

Żadne. Ich następnym punktem był Irak. I były to ćwiczenia na pustyni. Mała dygresja- w ZSRR męczyły go temperatury ujemne a tutaj temperatury dodatnie ponieważ niekiedy wzrastały do 40 stopni. Ponadto jak dziadek wspominał były hamsiny czyli burze piaskowe. W takich warunkach ćwiczone żołnierzy od wczesnego ranka do godziny 10.00 i następnie od 16.00 do 20.00. Od 1943 roku dziadek jest żołnierzem 11 Pułku Artylerii Ciężkiej.

Jakie ciekawe miejsca odwiedził dziadek?

Kolejnym etapem była Palestyna i następnie Egipt. Już wiadomo było, że armia weźmie udział w walce o Włochy. Dziadek zwiedził Jerozolimę oraz Kair. Jak byłem jeszcze młodszy od was i opowiadał mi o swoich podróżach, o tym co zobaczył to niedowierzałem. Dzisiaj wiadomo czasy inne, ale dla mnie to



Ryc. 58. Pamiątki po Marianie Lemieszku



Ryc. 59. Marian Lemieszek w mundurze kanoniera
Armii Polskiej na Wschodzie, 1942/1943 r.

było magiczne miejsce. Ale do tematu. Sylwester z 1943 na 1944 rozpoczął się od alarmu i zwijania namiotów. Wypłynęli z Aleksandrii i płynęli do Taranto. Od lutego 1944 roku zaczęli przesuwac się w kierunku frontu. Pierwszy kontakt z wrogiem rozpoczął się przy rzece Sangro. Niemcy w pewnym momencie zaczęli się wycofywać

I nadszedł czas na Monte Cassino

Dokładnie. Pierwsze ataki na linii Gustava były prowadzone już od stycznia 1944 ale niestety bez skuteczności. Trzy bitwy o Monte Casino nie dały rezultatów. Siły angielskie 4 bitwę pod Monte Casiono zaproponowały Polakom. Oba polskie Pułki Artylerii Ciężkiej 10. i 11 miały stacjonować ok. 10 km od wzgórz Monte Casino. Dziadek wspominał, że po ataku oczywiście była kłótnia dotycząca flagi. Pierwszą powiesili Polacy, ale ją Brytyjczycy zdjęli i powiesili swoją. Swoją także chcieli dodać Amerykanie. Po kłótni Anglicy ustąpili i powiesili najwyżej Polską. Po zwycięstwie 2 Korpus przeszedł do odpoczynku w rejonie Campobasso. W Loretto 2 Korpus stoczył poważną bitwę pod Loroto uwalniając miasto oraz ratując od pożaru sanktuarium. Za uratowanie miasta zostali zaproszeni do Watykanu gdzie z rąk papieża uzyskali order przyznawane za męstwo. Kolejnym miastem „uwolnionym przez dziadka” była Ankona i bitwa o Linię Gotów. Na dłuższy czas zatrzymali się następnie przy rzece Senio. Oczywiście odpoczynek nie trwał długo. 2 Korpus brał udział w Bitwie o Bolonię. Dziadek opowiadał, że po wygranej mieszkańcy miasta witali Polaków kwiatami. Rozmazywał się też obraz stworzony przez Niemców i przekazywano dla ludności włoskiej o Polakach złodziejach, gwałcicielach itp. Kilka minut wystarczyło że Bolończycy przekonali się że to były tylko plotki.



Ryc. 60. Marian Lemieszek za kierownicą Willy MB

wszyscy zdrowi i żeby nie wracał do Polski

Dziadek wspominał, że jak dojechał do Białcza to matka, jak go zobaczyła to zemdląła. Z ojcem się rozminął bo pojechał do Gdańska po niego. Dziadek bardzo chciał wrócić do miasta i go odnaleźć, ale matka z siostrą nie pozwoliły.

I dziadek pozostał na tych ziemiach do końca?

Nie do końca. Szukał jeszcze szczęścia na ziemiach bliskich, w okolicach Terespoła. Wrócił z powrotem do Białcza. W latach 50-tych postanowił ponownie wyjechać do Dobrynia. Ale w 1963 roku ostatecznie powrócił tutaj.

Jak przedstawiała się droga dziadka po zakończeniu walk?

Na pewno nie wrócił od razu do Polski. Nie od razu. W ogóle ciężko mu było wyjeżdżać z Bolonii. Tutaj się zakochał. Ale niestety, musiał ruszać dalej. W 1946 roku zobowiązano polskich żołnierzy do wyjazdu do Wielkiej Brytanii. Problem z powrotem do Polski był taki, że nie mieli dokąd wracać. Tam gdzie kiedyś była Polska był już ZSRR. Ponadto komunistyczna propaganda przedstawiała Polskie Siły Zbrojne oraz rząd londyński za zdrajców. Dziadek trafił w Szkocji do miejscowości Cumncock. Wiedzie tam nudne, biedne życie jak sam to określał. Mieszkał w blaszanych barakach. Monotonia. Po kilku miesiącach pobytu dziadek postanowił jako jeden z nielicznych wrócić do kraju. Głównym powodem był brak informacji o rodzinie. Kiedy był już na pokładzie, 7 mil od portu kapitan wręczył mu list od rodziny, w którym napisane było że są

KRUSZYN

Uczniowie ze Szkoły w Kruszyńcu
ZBIGNIEW JUNKIEWICZ - ŚWIADEK HISTORII

Zdjęcia: Archiwum Zbigniew Junkiewicz

Na początku chcielibyśmy aby Pan opowiedział o sobie.

Urodziłem się w roku 1946 – dokładnie rok po II wojnie światowej w Skorzynicach, do których to przesiedlono moich rodziców oraz całą naszą społeczność z Polesia, a dokładniej ze wsi Widziborzec i Osowa. Aby było śmieszniej zostałem poczęty na Polesiu, a przyszedłem na świat już tu na Ziemiach Zachodnich. Od trzydziestu lat jestem mieszkańcem Bolesławca. Żonaty. Dwoje dzieci. Tu ukończyłem szkołę podstawową i średnią. Przez 20 lat pracowałem w średnim dozorze w BFF i A „Polfia” w Bolesławcu. Obecnie przebywam na emeryturze. Mam dużo czasu, dlatego poświęciłem się historii Kresów Wschodnich, oraz działalności społecznej związanej z tym tematem. Jestem jednocześnie dokumentalistą. Staram się gromadzić stare fotografie, dokumenty, starodruki, ciekawe informacje dotyczące lat przedwojennych i powojennych z terenów Polesia jak i powojennych Skorzynic. Zbieram wszystko co mogłoby ulec zniszczeniu lub zapomnieniu. Jednocześnie, w latach 1995-2005, zorganizowałem pięć pielgrzymek na Kresy, a dokładniej do Osowy. Zorganizowałem też w tym samym okresie pięć spotkań naszej społeczności poleskiej w Skorzynicach pow. Lwówek Śląski.

W roku 1995 w Skorzynicach powiat Lwówek Śląski powstał Społeczny Komitet Budowy nowego kościoła w Osowie,



Ryc. 61. *Zbigniew Junkiewicz*

do którego i ja należałem. Dzięki zbiórce pieniędzy od naszej społeczności w Polsce i za granicą mogliśmy wesprzeć tamtejszych parafian w zbudowaniu nowego kościoła rzymsko – katolickiego w Osowie. Konsekracja odbyła się w roku 1999 z udziałem księdza kardynała Kazimierza Świątki.

W 2009 roku brałem udział z kolegą Andrzejem Zasadzkim z Warszawy w renowacji zabytkowych przedwojennych grobow-

ców. W krótkim okresie naszego po-

bytu w Osowie odremontowaliśmy trzy groby i około czterdziestu zwykłych krzyży pomalowaliśmy farbą konserwującą. W czasie naszej pracy odwiedziła nas TV Wrocław z panią Grażyną Orłowską Sondej. Został nakręcony reportaż dotyczący naszych prac na cmentarzu jak i krótkiej historii Osowy z udziałem miejscowej ludności.

Nawiązuję różne kontakty z Polakami na Białorusi i Ukrainie. Pomagam im również w nawiązaniu kontaktów międzyszkolnych, czego przykładem będzie w niedługim czasie spotkanie naszej młodzieży szkolnej z młodzieżą w Nowym Rozdole (Ukraina).

W 1995 roku jako zasłużony działacz kultury zostałem wyróżniony odznaką nadaną przez Ministra Kultury, którą wręczono mi w Biurze Poselskim w Legnicy przez posła dr. Tadeusza Samborskiego.



Ryc. 62. *Nowy kościół w Osowie*



Ryc. 63. Zbigniew Junkiewicz podczas prac renowacyjnych grobowca, 2009 r.



Ryc. 64. Brzoza wrośnięta w grobowiec, 2009 r.



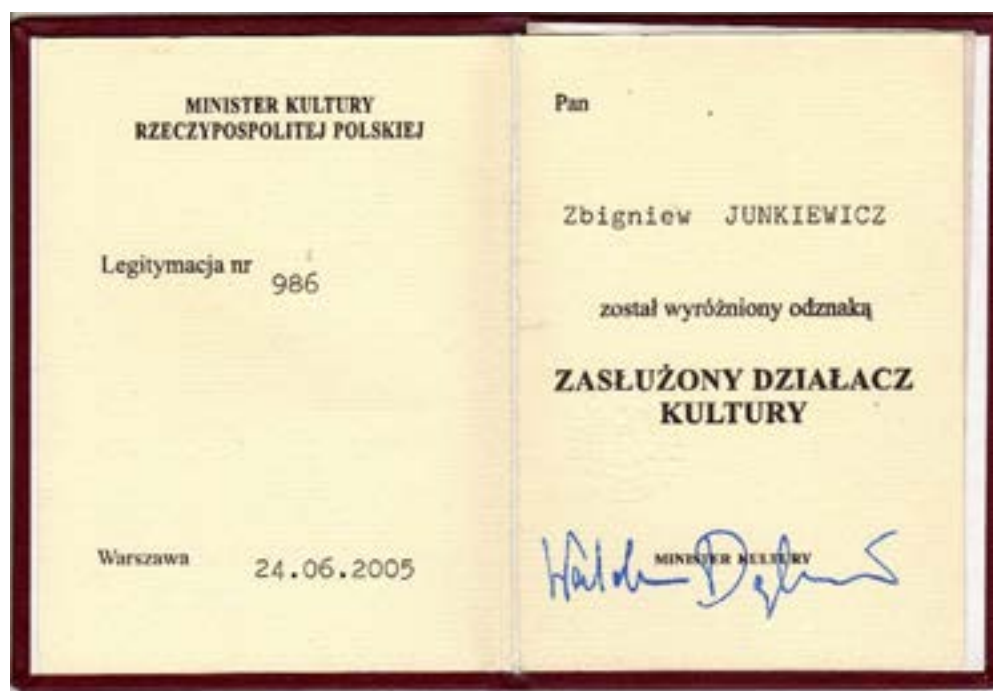
Ryc. 65. Ekipa TV podczas kręcenia reportażu, 2009 r.



Ryc. 66. Ekipa TV podczas kręcenia reportażu, 2009 r.



Ryc. 67. Wręczenie odznaczenia



Ryc. 68. Legitymacja

Co Pan może powiedzieć od siebie o Kresach?

Historia Polesia jak podają źródła historyczne kształtuje się w XIII - XIV wieku. Niektóre dane historyczne pozwalają wnioskować, że w pierwszych wiekach istnienia Polski, jako samodzielnego państwa, na terenie dzisiejszego powiatu stolińskiego istniały dwa księstwa ze stolicami w Dąbrowicy i w Horodnie. Dopiero z końcem XIV w. kształtuje się tu państewko, o którym posiadamy już nieco więcej danych, księstwo dawidgródzkie. W ciągu następnego wieku XV, przez małżeństwa książąt panujących łączy się ono z Księstwem Pińskim i z nim dzieli jego dalsze losy. Dziejowe czasy średniowieczne na terenie powiatu stolińskiego możemy opisać i poniekąd odtworzyć czyny i życie naszych przodków w tym okresie, gdyż pozostało z tej epoki wiele dokumentów i akt przechowywanych troskliwie po dziś dzień po wsiach: Osowej, Remlu, Płotnicy, Stachowie, czy Widziborcu. Ten podział przetrwał długie lata. Przez dwa następne wieki spokojnie i leniwie płynęło życie mieszkańcom puszczy nadprypeckich i nadhoryńskich. Raz tylko zakłóciła im spokój wojna w połowie XVII w. niosąc pożogę i zniszczenie do cichych osad i miasteczek. Były to czasy najazdu moskiewskiego i hord Chmielnickiego. Z tych właśnie czasów pochodziły liczne kopce i mogiły na Polesiu. Potem jednak, na lat przeszło 100, uspokoiły się te strony i znów zapadły w cichą i senną zadumę. Puszcza leśna i woda nie były jednak macochami dla swych mieszkańców, kryjąc ich przed napastnikami dając im obfite pożywienie. Nie opływali oni w dostatki nadzwyczajne, ale mieli się nieźle, gdyż ryby i zwierzyzny było pod dostatkiem, a już na pewno więcej jak dzisiaj; "Las-ojciec, a woda - matka" powiada dawne przysłowie. Jednak nawet tak odgródzone od szerokiego świata swymi błotami i niezliczonymi rzekami żyło Polesie wspólnie z całym krajem. Brało czynny udział w wypadkach politycznych i dziejowych, wybierało posłów do sejmików: pińskiego i mozyrskiego oraz deputatów do trybunałów w Nowogródku i Lublinie. Wspólnym tętnem biło serce Polesia

z sercem całego kraju. Robiąc pobieżny układ dziejów stolińszczyzny jesteśmy zmuszeni szczególną uwagę zwrócić na potomków szlachty poleskiej, która dziś w tych wsiach żyje zapomniana, a przecież zachowała jeszcze pamięć o tradycji przodków i jest z niej dumna. Rosyjskie rządy zubożyły ją materialnie, odebrały jej mowę polską, gdyż obecnie zaledwie kilka wyrazów jeszcze umie po polsku niejeden ze Szpakowskich, Jaworskich, Płotnickich, Karpowiczów Korzeniewiczów czy Junkiewiczów, ale pozostała jej do dziś tradycja, szlachecka przeszłość.

W jakim wieku zaczął Pan się interesować historią i skąd pochodzi pańska rodzina?

Moja rodzina i przodkowie pochodzili ze wsi Widziborzec, parafia Osowa pow. Stolin. Tam na kresach od wieków mieszkali nasi pradiadowie. Żyli i tworzyli tamtejszą piękną i niepowtarzalną nigdzie indziej kulturę, która przetrwała w niezmienionej formie, aż do 1945 roku. Polesiem zacząłem się interesować już w wieku młodzięcym. Często przychodziła myśl, aby odwiedzić te tereny. Jednak wyjazd do Białorusi wiązał się z kłopotliwym załatwianiem formalności wizowych poprzedzonych zaproszeniem potwierdzonym przez różne urzędy. Były to czasy, kiedy Białoruś była częścią ZSRR, a kraj był mocno zmilitaryzowany. Kiedy otrzymywało się pozwolenie na wjazd do Białorusi to należało dojechać do celu najkrótszą drogą i tam się zameldować na milicji. Nie wolno było bez pozwolenia przemieszczać się do innej miejscowości. Trzeba było uzyskać zgodę miejscowych władz. Moje pragnienie odwiedzenia Polesia mogłem zrealizować dopiero w roku 1988, kiedy to nastąpiło złagodzenie przepisów granicznych i można było wyjechać na podstawie paszportu i zaproszenia od rodziny.

Skąd u Pana wzięło się zainteresowanie swoją historią pochodzenia ?

Polesiem interesowałem się od zawsze. Często słuchałem opowiadań swoich rodziców, znajomych czy sąsiadów o tym, jak się żyło na Polesiu. Często były to śmieszne opowiadania z życia codziennego, a niekiedy były to wspomnienia dramatyczne, kończące się licznymi aresztowaniami lub zsyłkami do łagrów na Syberię. Słuchałem z zapartym tchem nie wierząc niekiedy, że tak było naprawdę. Nie mieściło się to w głowie normalnego człowieka, że człowiek człowiekowi zgotował takie piekło i cierpienie. Kiedyś, kiedy tak rozmyślałem nad tak koszmarną historią moich przodków, powstała myśl aby to wszystko choć w części spisać. Zacząłem zbierać starodruki, wywody szlacheckie, akty nadania tytułów szlacheckich poszczególnych rodzin otrzymane za zasługi wniesione w walce z moskalami i inne broszury dotyczące naszych przodków z parafii Osowa. Poznawałem coraz więcej ciekawostek o swoich przodkach i ich herbach szlacheckich. Dlatego zacząłem tworzyć drzewo.

Ile zajęło Panu gromadzenie tych wszystkich dokumentów?

Dokumenty zbierałem wraz ze znajomymi już od piętnastu lat. Początki były trudne, gdyż większość przywiezionych dokumentów z Polesia uległa zniszczeniu lub została spalona jako nieprzydatna. Starsi ludzie tłumaczyli się: „po co nam starocie, wszak żyjemy już w innej Polsce, a do przeszłości nie ma co wracać”. Niszczono je też przed naszą władzą, gdyż obawiano się, że mogą im zaszkodzić w codziennym życiu. Kiedy zdobyłem pierwszą broszurkę dotyczącą naszej szlachty byłem bardzo szczęśliwy. Miałem już jakieś rozeznanie co do szlachty poleskiej. Dowiedziałem się kto do niej należy i jakimi się herbami posługiwali. Później już poszło lawinowo. Wiedzieliśmy gdzie szukać. Dzisiaj już mamy ich kilka

tysięcy, a wydawałoby się, że nigdzie nie ma takich dokumentów.

Kto Pana „zaraził” ciekawością do Kresów?

Pan Zbigniew: Kresami, oprócz oczywiście moich rodziców „zaraził” mnie mój daleki wujek Jan K. Sielecki. Pokazał mi swoje dotychczasowe materiały związane z kresami i genealogią. Ukierunkował mnie i wskazał gdzie mam poszukiwać różne materiały dotyczące mojej genealogii. Wiele ciekawostek i wiadomości o Kresach spisałem z opowiadań mojej mamy Heleny Junkiewicz z/d Nozdryn-Płotnickiej. Tym tematem żyję do dnia dzisiejszego. Staram się przekazywać młodszemu pokoleniu, aby choć w części zachować dawniejszą historię naszych małych wsi poleskich. Jeżdżę często na Kresy i biorę czynny udział w różnych imprezach poświęconych temu tematowi.

Co mógłby Pan powiedzieć o miejscowości gdzie mieszkała pańska Rodzina?

Moja rodzina żyła w miejscowości Widziborzec, parafia Osowa pow. Stolin. Do miasta Stolina było 20 km, do miasteczka Łuniniec 21 km oraz do większego miasta Pińsk ok. 60 km. Położona była na niewielkim wzniesieniu, gdzie w czasie roztopów nie dochodziła woda. Wokół wsi rozciągały się wielkie bagna i moczary. Do wsi biegła tylko jedna droga, którą można było dojechać do innych miejscowości. Wieś Widziborzec w roku 2013 jest niewielką wsią położoną obok Osowy w pow. stolińskim. Data jej założenia jest trudna do ustalenia. Wiadomo natomiast, że Widziborzec powstał na prywatnych gruntach rodziny szlacheckiej Karp Karpowiczów herbu Korab, którzy w 1503 r. założyli tu wieś Osowę. Grunty Karp Karpowiczów sięgały do już istniejących wsi Stachów (założoną ok. 1500 r.), Duboj dawne starostwo, Widzibór

Ryc. 69. Typowy strój poleski. Na nogach łapcie z łyka



wieś lenną oraz Płotnicę zwana Wielką. Z perspektywy czasu nie łatwo wydobyć rzeczywistość, którą kryją lata zapomnienia. Jedno jest pewne, że wszyscy mieszkańcy tej wsi byli szlachtą zaściankową. Legitymowali się różnymi herbami w tym ród Junkiewicz herbu Ślepowron. Przez środek wioski biegła droga żwirowa utwardzona zwana „pańską”. Ze względu na tamtejszą szlachtę, która dumnie chodziła tą drogą. Obok była następna wieś zwana Terebiszcze. Żyli tam potomkowie dawnych włościan (chłopów), którzy przed laty pracowali na polach szlacheckich.

Jakie żyły tam narodowości?

Na Kresach i w mojej parafii Osowa żyła mieszana społeczność. Jednak w większości przeważali Polacy. Mieszkali tam też Żydzi, Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy oraz inni nieznanego pochodzenia. Ci, którzy urodzili się na tych ziemiach nazywali siebie „tubylcami” lub inaczej po prostu „tutejszymi”.

Czy żyli oni ze sobą w zgodzie?

Od wieków ludność żyła ze sobą zgodnie, jednak zawsze trafił się ktoś z władz państwowych, który zakłócił miejscowy spokój wywołując „wojnę” między narodami lub inne niesnaski. Wystarczyło, że ktoś kogoś zabił. Puścił plotkę, że to zrobił Polak i zarzewie ognia rozprzestrzeniało się dalej. Podsycane jeszcze przez władzę różnego szczebla. Z opowiadań moich rodziców wynikało, że w okresie międzywojennym w Osowie i na Polesiu ludność żyła w spokoju. Jedni drugim pomagali. Czy to był Polak, czy Białorusin. Razem świętowali np. Boże Narodzenie, czy inne święto. Najpierw świętowano nasze Boże Narodzenie, a za dwa tygodnie świętowano ich święta. Jedni drugich zapraszali. Tak, że ludność świętowała niekiedy dwa, trzy tygodnie. Ważną sprawą dla

polskiej akcji było dążenie do wprowadzenia dla całych Kresów jednego kalendarza, gregoriańskiego. Sama ludność tego i pragnęła i się domagała. Chłopi z Osowy, Widziborca i innych wsi mówili:

„Szczō to za prawo u Panstwi, szczō ne razem (u katolików i prawosławnych) Wełykdeń, Rozdwo i insze swiata” – „Treba, szczōb usi swiata buły razem. A toż ludiam smich i hreszno. Odyn ide molicsa, a druhi hnoj weze, abo szczō insze robyt”.

W tłumaczeniu na język polski:

„Co to za prawo w Państwie, że nie razem u katolików i prawosławnych, Wielkanoc i inne święta. Trzeba żeby wszystkie święta były razem. A toż ludziom śmiech i grzesznie. Jeden idzie modlić się, a drugi gnój wiezie albo co innego robi”.

Kiedy odbywały się wesela również zapraszano się nawzajem. Co do ożenku – tu jednak starano się żenić w swoim środowisku polskim. Od lat było to przestrzegane w rodzinach polskich, aby zachować polskość, język i tradycje. Zdarzały się wcześniej małżeństwa mieszane, ale dyktowane to było sprawami majątkowymi. Jedna ze stron przechodziła na katolicyzm lub prawosławie. Było niekiedy tak, że jeden brat był katolikiem, a drugi prawosławnym i przechodziło to dalej w rodzinie. Prawosławni chętnie by może przechodzili na katolicyzm, ale powstrzymywał ich wzgląd materialny i tego rodzaju rozumowanie:



Ryc. 70. Poleskie bagna i rozlewiska

Nema – każe – nijakiej raznicy mieźdu popom a ksiondzom. Pop bere hroszy wełyki za wenec, chrystyny i pochron i ksiondz toże bere.

Ksiondz doužen braty bahato deszewiej czym pop, bo nema żonki i detej. Jak polska wira lepsza to ksiondz powinien ity za Chrystowoju nauku. A to bacz ksiondz tarhuje się jak žid. Nie pomoże, treba wiary kupić.

(W tłumaczeniu na polski: *Nie ma mówią – nijakiej różnicy między popem, a księdzem. Pop bierze pieniądze za ślub, chrzciny, pogrzeb i ksiądz bierze. Ksiądz powinien brać dużo taniej jak pop bo nie ma żony i dzieci. Jak polska wiara lepsza to ksiądz powinien iść za Chrystusową naukę. A to widzisz ksiądz targuje się jak Żyd. Nie pomoże, trzeba wiarę kupić.*)

Jak wyglądało życie w Pana rodzinnej wiosce?

Moja wieś Widziborzec i Osowa (z opowiadań mojej mamy Heleny) przedzielone były ze sobą niewielkim kanałem oraz częściowo niedostępnymi bagnami, jak już wcześniej wspomniałem. Przejść można było tylko małym mostkiem, a w okresie wielkich roztopów trzeba było płynąć łodzią lub iść drogą okrężną przez inną wieś Osowce. Wieś Widziborzec liczyła ok. 32 domy. Część domów tzw. chutorów (pojedyncze ogrodzone majątki) znajdowała się porożrzucana w niedalekiej odległości od wioski. We wsi był młyn wiatrowy, którego właścicielem był mój dziadek Bazyl, olejarnia, warsztat kowalski, cieśla. Wieś praktycznie była samowystarczalna. Handel odbywał się na zasadzie wzajemnej pomocy lub za niewielkie pieniądze. Ludność wioski zajmowała się rolnictwem i hodowlą bydła. W czasie żniw rodziny pomagały sobie nawzajem. Najpierw wykoszono u jednego, później dalej u drugiego. Koszono kosami lub sierpem. Kilku mężczyzn kosiło, a za nimi kobiety musiały nadążyć z podbieraniem. Przy tym dbano o każdy kłós zboża, aby się nie zmarnował. Żniwom zawsze

towarzyszył śpiew. Tu i w oddali śpiewano. Było ciężko, ale śpiew łagodził całodienne zmęczenie. W okresie sianokosów zbierało się kilku kosiarzy. Wyruszali daleko od wioski na moczary. Jak już wcześniej wspomniałem wioska była otoczona bagnami i kanałami. Na osuszonych i wyżej położonych krańcach wsi starano się wykorzystać teren na ogrody oraz na zasianie zbóż i ziemniaków. Natomiast łąki na sianokosy szukano gdzieś dalej na bagnach, polanach leśnych. Zbierało się kilku kosiarzy. Wyruszali skoro świt. Szli na cały dzień. Brali z sobą kawałek słoniny, chleba i bańkę z wodą. To im musiało starczyć. Grabienie siana odbywało się na boso, gdyż były to tereny podmokłe. Układano je na ułożonych w stos kołkach. Następnie znoszono je nosilkami na większe stogi. Czasami kiedy łąki znajdowały się bliżej kanałów wodnych siano zwożono na czółnach. Jednak bezpieczniej było poczekać do zimy. W czasie mroźnej zimy zwożono je sańmi i składano do stodoły lub w przydomowe stogi. W okresie zimowym kobiety zajmowały się międleniem lnu lub darcie pierza gęsiego zwanego „tłoką”, przedzeniem wełny, tkaniem płótna itp. Międlenie lnu było ciężką pracą, a przy tym bardzo brudną. Kurzyło się niemiłosiernie. Kobiety wyglądały jak chodzące „diabły”. Po pracy szły się kapać do wspólnej łaźni zwanej „banią”. Darcie pierza na poduszki czy przedzenie wełny było lżejszą pracą. Tu też kobietom towarzyszył śpiew i przeróżne ploteczki. Często młodzi chłopcy przychodzili, aby robić zbytki młodym dziewczynom. W ten sposób starli się sobie zjednać dziewczynę może i czasami do ożenku. Wcześniej przed ślubem chłopiec, chcąc się dowiedzieć czy dziewczyna wyjdzie za niego, wrzucał do sieni własnoręcznie uplecione łapcie z łyka lipowego lub wiązowego. Jeśli dziewczyna łapcie przyjęła, to znaczyło, że mu sprzyja. Później ten zwyczaj zarzucono. Trzeba wspomnieć, że na Polesiu chodzono w łapciach plecionych z łyka lipowego, gdyż tereny podmokłe nie pozwalały na chodzenie w butach, a przy tym były bardzo drogie i nie każdą rodzinę było na nie stać. Łyka nigdy nie brakowało i każdego było na nie stać.

Mówiło się żartobliwie, że na drzewo wszedł boso, a zszedł w butach (łapciach). W jednych butach chodziła cała rodzina. Na Polesiu posługiwano się językiem polskim lub miejscową gwara. Była to mieszanina języków polskiego, rosyjskiego i ukraińskiego. Gwara ta nigdy nie wykształciła się w język literacki. Niemal w każdej wsi gwara ta różniła się nieznacznie między sobą. Tworzyła ją miejscowa ludność. Ale zawsze mogli się ze sobą dogadać. Dla przykładu, kiedy odbywał się ślub pary młodej zawsze towarzyszyły różne przyspiewki poczynawszy od domu młodej, młodego, do kościoła i do domu młodej, np.:

*My ksiondza da oszukały
ne bahato za szlub dały,
połtóra zołotoho
za Janka mołodoho,
a za Harnnoczku dwisty,
szczoby u paroncy sisty*

(Tłumaczenia na polski: *Myśmy księdza oszukali / Nie drogo za ślub dali / Półtora złotego / Za Janka młodego, / A za Haneczkę dwieście / Żeby honorowo usiąść.*)

Czy Pana Rodzice pobrali się na Polesiu?

Tak, moi rodzice pobrali się na Polesiu w czasie II wojny światowej. Były to niespokojne czasy na ożenek. Jednak ludność mimo tych niebezpieczeństw jakby nie zwracała na to uwagi. Pewnie miłość była silniejsza. W tych trudnych czasach rodziły się dzieci. To był ciężkie czasy. Brakowało szpitali lub były daleko. Poród odbierała akuszerka, znachorka w jednej osobie. Jak już wcześniej wspominałem moja mam urodziła syna Tadeusza też w trudnych warunkach u obcych ludzi. Bez lekarza.

Jakie miejsce w społeczności zajmowali pańscy rodzice?

Moi rodzice to potomkowie dawnej szlachty zaściankowej. Historia ich rodu sięga ok. 1450 roku. Potomkowie mojej mamy Nozdryn Płotniccy posługiwali się herbem Dederkało, natomiast potomkowie po moim ojcu i dziadkach posługiwali się herbem Ślepowron i herbem Sas.

Junkiewicz herbu Ślepowron. W niebieskim polu ku dołowi skierowana podkowa. Do niej z góry przyczepiony srebrny krzyż, na którym stoi czarny wzlatujący kruk, trzymający w dziobie złoty pierścień z diamentem. Nad herbem na złotej koronie taki sam wzlatujący kruk. Obrzeża koloru srebrnego. Podanie mówi: rycerz Corvinus (Korwin) przybył w XIII wieku do Polski, ożeniony z córką rodziny Pobóg złączył ich herb ze swoim. Został hetmanem i marszałkiem dworu księcia Konrada Mazowieckiego, który mu w roku 1224 potwierdził posiadanie majątków: Ślepowron, Wola, Stachowa i Drożdżino. Jego nowy herb bierze nazwę od majątku



Ryc. 71. Dawni mieszkańcy Polesia, Osowa 1938 r.



Ryc. 72. Ślepowron. Herb rodu Junkiewicz

Ślepowron przezwany nocnym krukiem. On sam jednak używa nazwiska Korwin. Dlatego też prawdopodobnie herb Ślepowron także jest Korwinem zwany. Tym herbem posługiwała się między innymi rodzina Junkiewiczów od 1632 roku. w woj. wileńskim. Rodzina Junkiewiczów posługiwała się również przydomkiem Płotnicki. Dotyczyło to rodzin pochodzących ze wsi Płotnica. Stąd nazwisko np. w Widziborcu Junkiewicz- Płotnicki jako, że pochodził z Płotnicy. Przydomkiem posługiwały się szczególnie pierwsze rodziny Junkiewiczów osiadłe w innych wsiach. Później ten przydomek zanikł. Po roku 1860 rodzina Junkiewiczów z Płotnicy sprzedała swoje posiadłości i osiadła we wsi Otołczyce koło Pińska. Obecnie Junkiewiczze zamieszkują tereny Dolnego Śląska, Lubuskie, Górny Śląsk, Podlaskie i inne polskie rody szlacheckie T. Gajl widnieje herb Ślepowron z roku 1539.

Z innych źródeł Junkiewicz ziemianin włodzimierski 1502 r., otrzymał w tymże roku potwierdzenie nadania Obeniza. Tenże Fiodor Junkowicz, na popis ziemi wołyńskiej 1528 r. stawił jednego konia. Synowie jego: Jenko i Wasil. Jenko Fedorowicz podstarości włodzimierski nabył w 1535 r. Drewin , za 60 kóp groszy litews. (ML. 207 f. 865/189). Junec (czy nie ten samy Jenko) jako ziemianin piński na popis wojskowy 1528 r. stawił jednego konia z imienia Płotnica (prawdopodobnie jest - był to protoplasta Junkiewiczów-Płotnickich) W 1538 r. ks. Fedor Sanguszko wydał akt, w którym opisuje że Fedor Jenko, podstarości łucki (sic), miał przysądzone 280 kop groszy od Skindera i w tej sumie został związany w Drewine, ale że się okazało, że ks. Wiśniowiecki dawniej nabył Drewin, więc, jemu został oddany, a Sanguszko przymusi Skindem do zwrotu długu. Jenko Fedorowicz również jeszcze w 1546 roku jest podstarościm włodzimierskim, a pieczęć jego z 1545 r. wyobraża herb Korczak. Wasil Junkowicz z Drewina, stawił 1528 r., na popis ziemi wołyńskiej 4 konie.

Tenże Wasil Fiodorowicz Junkiewicz, wraz z żoną i z dziećmi,

sprzedał w 1532 roku Obeniż Sanguszkę (potwierdzenie z 1533 r. ML.24). W 1545 r. dzierzawca krasnosielski, 1546 r. haličzański i komisarz królewski. W 1545 r. nazwany Wasilem Junkiewiczem Małkowskim (czy nie Mokowskim, gdyż był dziedzicem Mokowicz), a w 1545 r. herb jego przedstawia: krzyż zwyczajny, u stóp którego dwa drzewca w poprzek złożono. (Arch. Sang.). Od nich poszli Drewińscy i pewno Kołmowscy. Stefan Junkiewicz Płotnicki, pisarz księstwa Dawydhorodeckiego w 1735 r. Jan Junkiewicz Płotnicki, w powiecie pińskim 1760 r. (Akta IV). Mikołaj i Stefan Junkiewicz-Płotnicy sprzedali w 1769 część Osowca. Antoni Junkiewicz-Płotnicki 1783 r. w pow. pińskim.

Ślepowron Kalendarz herbowy wydany w 1987 roku. Ślepowron (inne nazwy: Bojno, Buyny, Bujno) W polu błękitnym, na krzyżu kawalerskim złotym zaćwieczonym na barku podkowy srebrnej, kruk czarny w prawo z pierścieniem złotym w dziobie. W klejnocie nad herbem w koronie taki sam kruk. Według legendy herb ten przyjął Węgier Krowin, po ślubie z dziewczyną z rodu Pobogów, łącząc znaki obydwu rodzin.

Natomiast zdaniem dawnych heraldyków historia kruka w tym godle sięga jeszcze czasów starożytnych. W Rzymie, za czasów Tyberiusza, żył Valessius Messala Corvinus. Podczas rozstrzygającej bitwy z Frankami został on wyzwany na pojedynek przez jednego z przeciwników, wojownika o legendarnej sile. W czasie walki nadleciał kruk, usiadł na hełmie Corviniusa i zaczął atakować Franka. Zdezorientowanego przeciwnika pokonał Valerius bez trudu. Na pamiątkę tego zdarzenia Rzymianin umieścił w swoim herbie kruka. Ślepowronem, najbardziej rozpowszechnionym na ziemi kaliskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, ruskiej, na Mazowszu i Litwie posługiwało się około 350 rodzin. Najwcześniejsze wzmianki: 1238, herb z okresu panowania Dynastii Piastów.

Po zniesieniu stanu szlacheckiego przez Konstytucję marcową w roku ok. 1921, dawniejszą szlachtę pozbawiono tytułów



Ryc. 73. Graficzna wizualizacja Herbu Dederkała

szlacheckich. Zostali tak i jak wielu innych mieszkańców normalnymi gospodarzami. Musieli już sami pracowali na swoim gospodarstwie. Tak, że moi rodzice nie długo mogli się cieszyć tytułami szlacheckimi, gdyż mama Helena w 1921 roku miała zaledwie 1 roczek, a mój ojciec Jan miał 12 lat.

Graficzne wyobrażenie historii rodu Nozdryn Płotnickich, jego genealogia intrygowała nas od szeregu lat. Pochodzenie tego nazwiska było i jest ciekawe, czasem zagadkowe, osłonięte mrokiem tajemnicy, chytrze schowane dziś w zakamarkach rodowej historii.

Ten rozrośnięty ród rycerski zwany szlachtą do konstytucji marcowej z 17.03.1921 r. ma ciekawą historię. Mówiąc współczesnym językiem, był żołnierzem zawodowym walczącym na każde zawołanie księcia, władcy lub króla na Kresach Wschodnich.

Stawał każdorazowo w wyznaczonym punkcie ze swoim koniem, mieczem i prowiantem broniąc granic ojczyzny. Czasem ginął w bitwie lub gnił w niewoli. Ranny i okaleczony na swój koszt wracał do domu w zasadzie bez łupów.

W nagrodę od króla lub władcy dostawał herb, bojowe zawołanie, kawałek ziemi w dożywocie, w ramach późniejszych przywilejów stawał się właścicielem uzyskanej ziemi z prawem

dziedziczenia po wsze czasy przez dzieci, wnuki i dalsze pokolenia.

Proszę krótko opowiedzieć o szlachcie zaściankowej.

Cecha zasadnie szlachty zaściankowej, świadomość rodowego szlacheckiego pochodzenia i wspólnoty wzajemnej była na Polesiu bardzo silna. Nie mówiła natomiast ta szlachta już po polsku. Religią jej była przeważnie religia prawosławna, częściowo od wieków, częściowo dopiero w drugim i trzecim pokoleniu. Wyznanie jednak nie wpływało zasadniczo na wzajemne stosunki wewnętrzne. Odróżniała się szlachta od swych sąsiadów: nie szlachciców pewną zamożnością. Przeciętna wielkość gospodarstwa szlacheckiego wynosiła bowiem 10,5 ha. podczas gdy chłopskiego – 7.2 ha. Trzeba przy tym pamiętać, że są to grunta mało urodzajne, bagna i zarośla. Zaznaczyć tu jeszcze należy, że szlachta, różniła się od chłopów dawniej odmiennymi szczegółami w ubiorze, a w późniejszym okresie główną różnicą było absolutne nie żenienie się poza swoim szlacheckim stanem. Dotrwało to w Osowie, Widziborcu, Wólce Oreji i innych miejscowościach do 1945 r. Przykład, gdzie rody Karpowiczów, Korzeniewiczów, Płotnickich, Junkiewiczów, Jaworskich, Zasadzkich, Zawadzkich i innych były ze sobą w różnych kierunkach mocno spokrewnione.

Cechowała też szlachtę pewna kultura towarzyska, gościnność i używanie przy miejscowej gwarze zasadniczej takich słów jak „Waszeć”, „Waszmość” „Imć Pan” itd.

Z pochodzenia szlachtę poleską podzielić można na trzy grupy:

- pochodzącą z prastarych rodów miejscowych np.: rodzina Horehladów, Kaczanowskich, Kołbów, Korzeniewiczów, Niekraszewiczów, Płotnickich, Połchowskich, Ramułów, Szpakowskich, Szpiganowiczów itp.,
- przybyszów z zachodu lub ze wschodu np.: rodziny Zasadzkich

z warszawskiego, Hryniewiczów z Podlasia, Iwińskich z Kalisza, Jaworski z Podkarpacia, Karpowicze z kijowszczyzny, Knobelsdorf z Bawarii (Niemcy), Korzanowski z Podlasia, Lemieszewski z chełmskiego, Junkiewicz z Wileńszczyzny, Potocki z lubelskiego itd.,

- szlachtę pochodzenia tatarskiego, która jednak porzuciła już wyznanie mahometańskie np.: rodzina Kałłaurów, Butt-Husaimów, Maślakiewicz, Tuchaja-Lipskiego. Szlachta poleska odznaczana się przede wszystkim silną tradycyjnością. Bardzo popularnymi na tych ziemiach była królowa Bona i obaj Zygmuntowie (nadanie posiadłości szlachcie za różne, zasługi). Przy każdej sposobności wspominał o nich szlachcice poleski. Ciekawym szczegółem był fakt używania przez szlachtę w Wyłazach przydomków. Same przez się nie są one zbyt oryginalne, pochodziły od imion przodków lub nawet nazwisk (z okazji „przyżenienia” się). Wyróżnia się tylko przydomek „Czajka”, który używają niektórzy Horchladowie od przodka, który czub na głowie nosił i przezwano go czajką.

Poniżej dokument nadania szlachectwa i nadania dworzyszczu Ljachowcze w Płotnicy dla przodka Juniewiczza przez królową Bonę:

Tłumaczenie przywilejów szlacheckich Juniewicz /Juniowicz / podpisanych przez księżną Bonę z języka staroruskiego na język polski. /str. 301 i 302 / z księgi:

Tytuł: Rewizyja puszczy i pierchodow zwierzynnych w bywszem Wielikom Kniażestwie Litowskom s prisowokupleniem gramot i priwilegij na ziemi sostawlennaja starostoju mstigobowskim Grigorijem Wołłowiczem w 1559 roku Wilno 1867r./oraz fotokopia dokumentu nr. 1087 /.

Bojarzy (szlachta) powiatu pińskiego z Płotnicy wsi, Wasyl i Fiedko Juniewicz okazali przywilej królowej jej miłości wielkiej księżnej Bony na ziemi swoje, napisany na pergaminie z krzaczastą

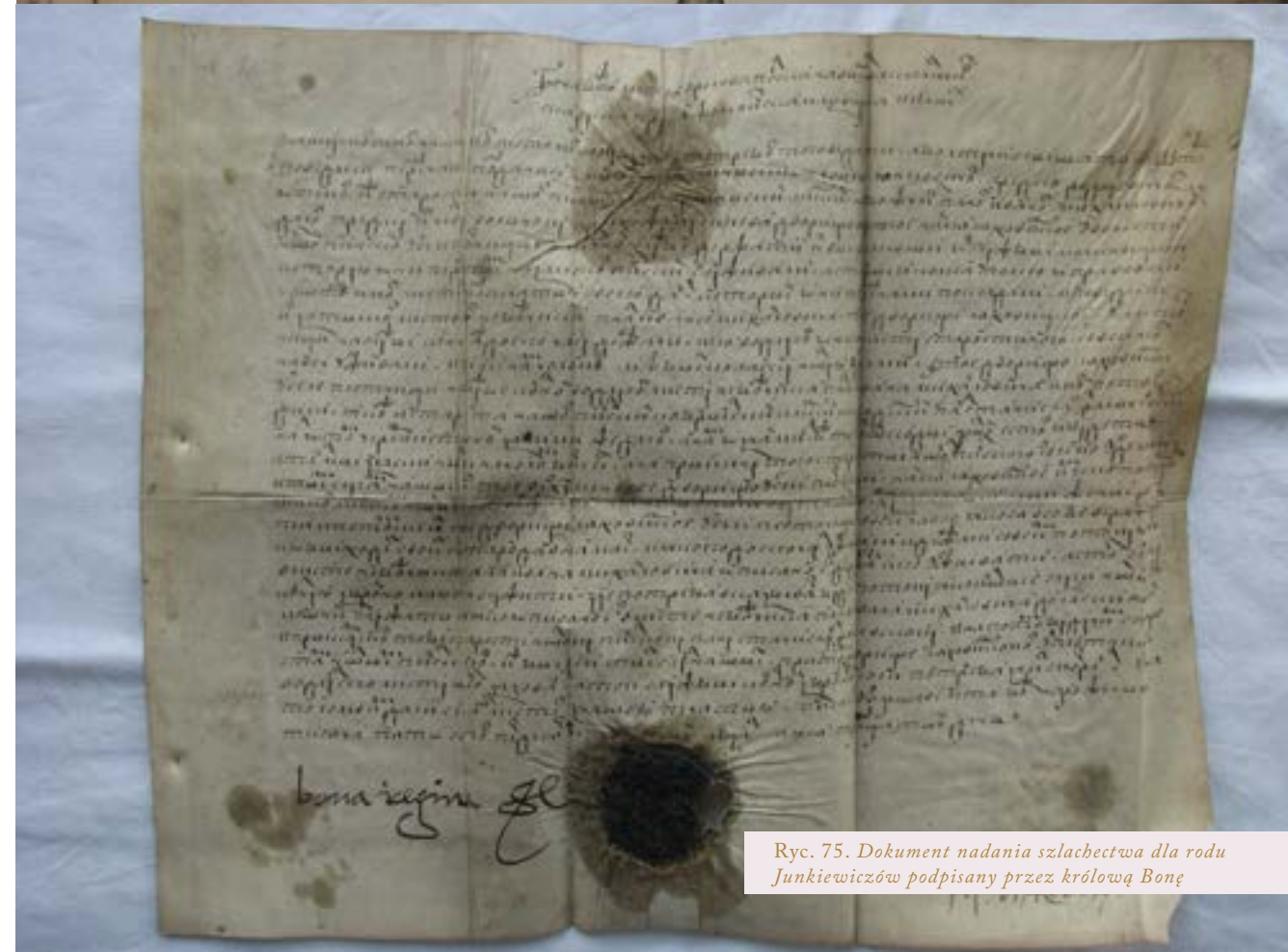
pieczęcią, z podpisem ręki królowej, jej miłości. (w 1555r.)

Bona Bożą miłością królowa Polska, najwyższa księżna Litewska, Ruska, Pruska, Żmudzka, Mazowiecka i innych.

Oznajmiamy tym naszym pismem (dokumentem) komu będzie potrzeba wiedzieć, albo czytając słyszeć. Że powiedzieli przed nami poddani nasi, słudzy Pińscy Wasyl Jankowicz Juniewicz i Fiedko Rutcewicz Juniewicz o tym, iż starosta nasz Piński, Kobryński, Klecki, nieboszczyk pan Iwan Michajłowicz, dał przodkowi ich, człowiekowi wolnemu, przybyłemu z Kijowa, puste dworzyszczce zwane Lachowickoje we włości naszej Pińskiej we wsi Płotnica na konnej służbie będącym, zwalniając ich od służby *колейницкой* (z wyrabiania i naprawy kół dla zamku Pińskiego) której do tej pory podlegali, i stare koła dla zamku Pińskiego poprawiali, na to dokument z pieczęcią otrzymali, który przed nami przedłożyli i powiedzieli że za tym dokumentem nieboszczyka pana Iwana Michajłowicza to dworzyszczce Lachowickoje we wsi Płotnica na służbie konnej aż do dzisiejszego czasu posiadają i zgodnie z dokumentem używają (kożystają), jakoż i starosta nasz piński Kobryński, Klecki, Horodecki, pan Stanisław Falczewski nas o tym listem (pismem) swoim powiadał i nam oznajmił, że to bez szkody naszej jest i będzie. A tak my z łaski naszej, za czołobicie (wierność) ich, i za przyczyną tego starosty naszego Pińskiego to żeśmy postanowili i tym sługom naszym wyżej wymienione dworzyszczce we wsi Płotnicy zwane Lachowickoje im potwierdzili i tym dokumentem naszym potwierdzamy. Mają ci słudzy nasi wyżej wymienieni sami, żony, dzieci ich i potomkowie ich to dworzyszczce Lachowickoje we wsi Płotnica ze wszystkim na zawsze, jako w sobie i w granicach i obejściu swoim z starodawna mają i jako jego do tego czasu używali i dzierżyli dlatego, jako w dokumencie nieboszczyka pana Iwana Michajłowicza opisane jest, posiadać i korzystać; a z tym związaną służbę wojenną zbrojną mają służyć, gdzie wskazane, będą tak jak inni słudzy nasi granic bronić, jako napisane w dokumencie



Ryc. 74. Jedno z gałęzi rodu Junkiewiczów herbu Sas



Ryc. 75. Dokument nadania szlachectwa dla rodu Junkiewiczów podpisany przez królową Bonę



Ryc. 76. Widziborzec. Żona przed domem z dziećmi

nieboszczyka Iwana Michajłowicza do łaski naszej. I nakazujem tobie staroście Pińskiemu, Stanisławowi Falczewskiemu i następcom jego starostom naszym Pińskim iż by tych sług naszych przy tym dworzyszczu Lachowickim w Płotnicy według tego dokumentu naszego traktować; a tą służbę konną i zbrojną kiedy potrzeba od nich oczekiwać. I na to wszystko im daliśmy nasz dokument z naszą pieczęcią. Pisany w Warszawie. W roku Bożego Narodzenia tysiąc

pięćset pięćdziesiątego czwartego miesiąca lipca 30 dnia.

Czym zajmowali się pana rodzice?

Moi rodzice jak już wcześniej wspominałem zajmowali się rolnictwem (z opowiadań mojej mamy). Praca wymagała dużego wysiłku, gdyż nie było nowoczesnego sprzętu rolniczego, a ten który był wykonany był z drewna z dodatkiem niektórych części metalowych. Na Polesiu wszystko starano się wykonywać z drewna począwszy od domów, sprzętu rolniczego po sprzęt gospodarstwa domowego. To był jedyny dostępny materiał. Po zbiorach plonów należało jeszcze oddać dla Państwa część zbiorów w formie podatku. Nie wszystkim rodzinom wiodło się dobrze. Najgorzej mieli wdowy lub owdowiali mężczyźni, a szczególnie kiedy mieli dużo małych dzieci. Takie gospodarstwa zazwyczaj podupadały, a bieda często zaglądała do ich domów. Podobnie było i w mojej rodzinie. Dziadek szybko owdowiał. Pozostały małe dzieci. Na dodatek dziadka służby rosyjskie powołały do wojska. Tam spędził



Ryc. 77. Pozostałości po przedwojennym zabudowaniu gospodarczym. Wodziborzec 2009



Ryc. 78. Piec z zapiekiem do spania

ok. 3 lat. Dzieci poniewierały się po wsi, a następnie te najmłodsze oddano do sierocińca. Po powrocie dziadka wróciły do domu. To już nie było to gospodarstwo. Ciężko było odbudować je do stanu poprzedniego. Wiadomo do pracy potrzeba było dużo rąk. Kiedy ojciec podrósł wraz ze swoim kuzynem cieślą czasami dla ludzi budowali drewniane domy. Trzeba było ociosać okrągłe bale i nadąć im odpowiedni kształty i nacięcia. Na zasadzie zakładki belki z belką rosły ściany wwyż. Szczeliny domów uszczelniano gliną. Dach kryto słomą żytnią.

Dom składał się z jednej większej izby, sypialni, małej komórki i sieni. Okienka małe. Na środku domu stał duży piec z szerokim zapiekiem na którym dzieci lub starcy w czasie zimy mogli spać. To było jedyne ogrzewanie na cały dom.

Co zakłóciło wasz spokój?

Spokojne życie na Polesiu zakłóciła II wojna światowa (z opowiadań mojej mamy). Najpierw 17.09.1939 roku wkroczyli Rosjanie. Od lat nasz największy wróg. Rozpoczęły się prześladowania. NKWD organizowała łapanki na podejrzanych w ich mniemaniu ludzi. Nad ranem wpadali do domów i wywozili do Stolina na przesłuchania. Wielu ludzi nie wróciło z tych przesłuchań. Najgorzej było 10 lutego 1940 roku. Stalin wydał „ukaz” na mocy którego należało wywieść na Syberię do łagrów większość Polaków. Najczęściej starano się wywieść polską inteligencję. Zabierano nauczycieli, urzędników, księży, leśniczych, bogatych gospodarzy itd. Tych, których uważał za wrogów ludu. Była wówczas mroźna zima ok. 300 C. Rankiem podjechały sanie pod wyznaczone domy i zabierano wszystkich mieszkańców na stację Widzibór. Tam już czekały na nich bydlęce wagony. Dawano pół godziny czasu na zabranie niezbędnych rzeczy do jedzenia i ubrania. Najgorzej, że nikt w tym czasie nie miał chleba. Była to akurat sobota, a w sobotę wszyscy piekli chleb. Pozostał w dzieżach. Nie upieczony. Do wagonów ładowano po kilka rodzin. Nie było na czym spać. Musieli sobie jakoś radzić. Za ubikację służyła wycięta dziura w podłodze zatykana słomą. Koszmar. Wielu ludzi nie przeżyło podróży. Cały transport skierowano do Archangielska. NKWD aresztowało również naszego księdza, późniejszego ks. kardynała Kazimierza Świątko. Więżono go w Brześciu. Oczekiwał w celi śmierci. Nieoczekiwanie Niemcy napadli na Rosjan. Szybko opanowali Brześć. Strażnicy więzienni w popłochu pozostawili więźniów i uciekli. Miejscowa ludność uwolniła szybko księdza. Tym sposobem dzięki Niemcom

został uratowany. Ale Rosjanie o nim nie zapomnieli i kiedy drugim razem wyparli Niemców z Polesia aresztowali jego ponownie. Został wywieziony do Workuty. Pracował w kopalni. Przesiedział tam 13 lat. Po wyjściu w 1955 roku z łagrów służył nadal kościołowi w Osowie, mimo dalszych jego prześladowań. Zmarł w 2008 roku. Pochowany w rodzinnej wiosce nieopodal Pińska.

Jak przebiegała wojna?

Wojna na Polesiu miała trzy etapy. Najpierw wkroczyli Rosjanie, później Niemcy, a pod koniec wojny znowu wkroczyli Rosjanie. Ludność miała już dość Rosjan i Niemców. Najgorsi byli Rosjanie. Pozbawieni wszelkiego człowieczeństwa. Zarośnięci, brudni, zawszawieni szli po wsiach rabowali i gwałcili kobiety. Niszczyli wszystko co polskie: kościoły, pałace, dwór, fabryki. Część maszyn wywozili w głąb Rosji, a resztę spalili. Najgorsze było to, że Rosjanie nie korzystali z pozostawionych polskich fabryk czy siły ludzkiej. W głowie Stalina było tylko mordować Polaków. Paradoxem często było nawet tak, że NKWD podejrzanych ludzi ściągало z frontu aby ich aresztować, zesłać na Syberię lub skazać na śmierć. Niemcy w porównaniu do Rosjan choć wywozili Polaków na roboty do Niemiec to zachowywali się bardziej po ludzku. Korzystali z siły ludzkiej, zatrudniali Polaków szczególnie do utrzymania, zabezpieczenia szlaku kolejowego, prac transportowych i innych.

Jaka była sytuacja w czasie wojny w Pańskiej rodzinnej wsi?

Przed wkroczeniem Rosjan i Niemców za każdym razem ludność uciekała i chowała się po lasach, bagnach. Budowali tam szałas lub ziemianki. Szczególnie chowali się młodzi chłopcy przed łapankami. Zabierali z sobą też bydło i ukrywali się w niedostępnych dla wroga miejscach. We wsi najczęściej pozostawali starzy i dzieci.

Kiedy brakło jedzenia wracali nocą aby uzupełnić brakującą żywność. Tworzyła się też miejscowa partyzantka. Podkładali bomby pod tory kolejowe. W jednej z takich akcji zginęło trzech naszych młodych ludzi, a kilku zostało rannych. Nastąpiło nieporozumienie. Wcześniej jedni podłożyli bombę, a nie przekazali drugim. Druga grupa niechcąc natknęła się na podłożoną bombę. W naszej wiosce Widziborzec była Komendantura niemiecka. Moja chrzestna Maria Junkiewicz jako młoda dziewczyna musiała im gotować obiady. Komendant starał się być w miarę dobrym dla mieszkańców ale na swój sposób. Nie stwarzał niebezpiecznych dla siebie sytuacji. Polacy nawet handlowali z Niemcami. Szczególnie handlowali samogonem, za który dostawali czekoladę i konserwy. Komendant zatrudniał dużo młodych ludzi na stacji Widzibór do naprawy zniszczonych torów. Robotnicy dostawali przepustki i mogli się swobodnie poruszać po wsi. Zwolnieni byli też przed aresztowaniem lub zesłaniem na roboty do Rzeszy. Była nawet taka sytuacja, że wyznaczono kilku gospodarzy z końmi do przewiezienia kilku dział w wyznaczony rejon. Zagwarantowano im, że na drugi dzień wrócą do domu. Słowa dotrzymani. Takich sytuacji było kilka. Pod tym względem mimo aresztowań, czy zsyłek młodych ludzi byli bardziej słowni i ludzcy. Niemcy w przeciwieństwie do Rosjan starali się nie zabierać ostatniej krowy lub konia. Wiedzieli, że bydło będzie się rozmnażało i tym sposobem zaspokoją wojsko w żywność. W różnych okresach wojny trzeba było bardzo uważać, gdyż wioskę nachodziły różne grupy ludzi podających się za partyzantów. Agitowali młodych ludzi. Obiecywali im po zakończeniu wojny ziemię i gospodarstwa. Były to najczęściej rosyjskie lub ukraińskie bandy, które podchodziły już w rejon stoliński. Nie zdążyli urządzić takiej masakry jaką urządzili na Wołyniu.

Czy pana rodzina była w czasie wojny jakoś zagrożona?

Tak, moja rodzina była mocno zagrożona szczególnie

prze Niemców. W jednej z łapanek Niemcy wywieźli do Rzeszy trzech moich wujków, z których jeden nie powrócił. Z Widziborca i okolicznych wsi Niemcy wywieźli do Niemiec bardzo dużo młodzieży w wieku około 20 lat. Tam zatrudniani byli w różnych fabrykach i u gospodarzy. Mój ojciec z kolei był zatrudniony przez Niemców jako pomocnik maszynisty. Zgłosił się dobrowolnie, gdyż inaczej zostałby wywieziony na roboty. Z tym też wiązały się pewne kłopoty, gdyż moja mama jako młoda żona bardzo martwiła się o męża. Była w dziewiątym miesiącu ciąży. Wybrała się pieszo z koleżanką do Stolina odległego o 20 km, aby odwiedzić męża. Było to w lutym 1943 roku. Głęboki śnieg i trudy wędrówki spowodowały, że po dojściu do Stolina urodziła syna u obcych ludzi. Miłość zwyciężyła. Mimo zagrożenia wojennego odważyła się na tak desperacką podróż. Wszystko zakończyło się szczęśliwie. Pod koniec wojny, kiedy rosyjski front zbliżał się do naszej wioski, Niemcy zarządzili akcję przesiedlenia ludności z naszej i okolicznych wiosek. Wszyscy gospodarze wraz z rodzinami, byłem i całym swoim dobytkiem ustawili się w długiej kolejce. Z całym taborem wyruszyli w kierunku na Zachód. Konwojowali ich niemieccy żołnierze. Po drodze byli bombardowani przez lotnictwo rosyjskie. W jednym z takich bombardowań ojciec i kilku innych gospodarzy wykorzystało zamieszanie i uciekli z wozami wгłęb lasu. Niemcy oddali kilka salw, ale ich już nie ścigali. Tym sposobem udało im się powrócić do rodzinnej wsi. Co się stało z pozostałymi – trudno powiedzieć.

Jak wyglądało przesiedlenie w pańskiej wiosce rodzinie?

Rok 1945. Zakończenie II wojny światowej. Upadek III Rzeszy. Następują dla Polaków mieszkających na kresach wschodnich istotne zmiany. Mołotow i Ribentrop w Jałcie ustalają nowe granice Polski. Nikt nie pytał Polaków o zgodę. Wszystkie ziemie wschodnie od Wilna po Lwów zostały wcielone

do granic ZSRR. Polaków przesiedlają na Ziemie Zachodnie zwanymi Ziemiami Odzyskanymi. W miastach powiatowych powołano Okręgowych Pełnomocników PKWN (Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego) do spraw ewakuacji. Zgodnie z porozumieniem Rządu Białorusi i pełnomocnika PKWN, przystąpiono do ewakuacji Polaków. Pełnomocnik Okręgowy miał swoje biuro w Stolinie. Nieznany jest teren okręgu. W okręgu sporządzono listy osób z poszczególnych wsi zamieszkałych przez Polaków.

Pierwszy zorganizowany transport przesiedleńców wyjechał ze stacji Horyń koło Stolina na początku sierpnia 1945 r. Tym transportem wyjechali mieszkańcy Stolina, Horynia, Chutorów Merlińskich, Koszary Olmańskiej, Biereżnej i Mańkowicz i innych wiosek.

Było około 50 rodzin. Transport ten został skierowany na Pomorze Zachodnie i osiedlony w Lipianach i okolicy w woj. szczecińskim. Drugi wyjazd zorganizowano na większą skalę. Nastąpiło to w dn. 28 sierpnia 1945 r. ze stacji Widzibór. O tym terminie wyjazdu powiadomił przedstawiciel Komitetu Przesiedleńców ob. Honczar w dniu 25.08.1945 r. Treść powiadomienia, była krótka „każdy zgłoszony na liście przesiedleńców powinien załadować swój dobytek do wagonu na stacji kolejowej Widzibór w dniu 28.08. 1945 r.”. To był duży transport. Na rodzinę można było uzyskać cały wagon towarowy. Transportem tym odjechali:

- ze Stolińskiego Chutoru – 2 rodziny,
- z Bereżnego – 7 rodzin,
- z Duboja – 2 rodziny,
- z Wólki Oreji – 8 rodzin,
- z Widziborca – 12 rodzin w tym i moja,
- z Osowy – 33 rodzin.

Po załadowaniu transportu kolejowego rodzinami, pociąg

ruszył trasą przez miasta: Sarny, Zdobunów, Lwów, Kraków. Zatrzymał się na stacji Katowice Ligota. Tu wyładowano ludzi. Wagony załadowano węglem i odesłano do ZSRR. Na stacji Katowice Ligota rodziny koczowały około 2 tygodnie w prowizorycznych szałasach. Do nich dołączył inny transport, który przybył z Tarnopola i Kołomyi. Wśród koczujących pojawili się agitatorzy wojskowi i zaczęli werbować rodziny na osiedlanie się na terenach przeznaczonych osadnikom wojskowym. W Ligocie koczujące rodziny podzieleni zostali na dwie grupy: wojskowe i niewojskowe. Rodziny niewojskowe skierowano do Chróściny Nyskiej w woj. opolskim. Rodziny zaliczone do wojskowych załadowano do wagonów i dowieziono do Jeleniej Góry, a następnego dnia do stacji Siedlęcina odległej o 7 km od Jeleniej Góry. Tam podzielono transport na trzy grupy. Tych, którzy nie chcieli wyładować swoich rodzin z wagonów, skierowano dalej transportem do woj. szczecińskiego. Jak się później okazało jechali jeszcze ok. miesiąca i zostali przetransportowani na Pomorze. Osiedleni w Przybiernowie i Lipianach koło Goleniowa. Pozostałych przesiedleńców w Siedlęcinie podzielono na 2 grupy. Jedną mniejszą grupę 6 rodzin załadowano na samochody i zawieziono do Wojciechowa koło Lubomierza zwanego Miłosną.

Drugą grupę (większą, 52 rodziny) przesiedleńców z Siedlęcina zawieziono do wsi Henryków (obecnie Skorzynice) w dniu 08.09.1945 r., w tym i moja rodzina.

Razem z rodzinami z Widziborca i Osowy przybyły tym samym transportem do Skorzynec rodziny z tarnopolskiego – 8 rodzin. Wcześniej w Skorzynecach osiedlono kilka rodzin z krakowskiego tj. 6 rodzin oraz część osób, którzy zostali przywiezieni w czasie wojny na przymusowe roboty do Skorzynec tj. 3 osoby. Wspomniano wcześniej. Część rodzin z transportu osowskiego pozostała w Katowicach Ligocie. Skierowano je do woj. opolskiego.

Osiedliła się w Chruścinie Nyskiej, Grodkowie

i miejscowości Nowinka k. Grodkowa. Było to ok. 15 rodzin. Ostatnimi przesiedleńcami z Polesia, którzy przyjechali do Skorzynec z Widziborca w latach 1958 były jeszcze trzy rodziny. Należy wspomnieć, że Osowę wysiedlono w 70% i Widziborzec w 30 %, Wólkę Oreję w 70%. Pozostałe wioski pow. stolińskiego wysiedlono również w dużych, procentach.

Jak wyglądała organizacja w „nowych domach” na Ziemiach Odzyskanych?

Po przyjeździe i rozlokowaniu się po różnych gospodarstwach, ludność zaczęła przystosowywać się do nowych warunków geograficznych, kulturowych i cywilizacyjnych. To był dla nich szok cywilizacyjny. Wszystko było obce. Obca była elektryczność, maszyny rolnicze i sprzęt gospodarstwa domowego. We wsi było brak jakiegokolwiek inwentarza żywego tj. koni, krów, owiec itp. Wszystko zostało wcześniej zlikwidowane i zjedzone przez stacjonującą bazę wojsk ZSRR. Brak było światła. Zniszczono przez działania frontowe. Wszystko trzeba było organizować samemu. Tworzyły się grupy remontowe z fachowcami niemieckimi, którzy mieszkali w Skorzynecach i pozostali na jakiś czas po wojnie. Zakładano linie elektryczne. Zwożono zboże z pola, które było jeszcze nie skoszone. Koszono kosami, gdyż sprzęt i maszyny rolnicze były celowo niszczone, a w części wywożone przez wojsko rosyjskie. Niektóre dały się odremontować. Ściągano je z pola i przy pomocy fachowców niemieckich naprawiano je, przy tym ludność uczyła się, poznawała budowę i działanie sprzętu rolniczego, domowego, rzemieślniczego itp. Powoli ludność wrastała w te ziemie w to inne życie. Jak wspominają starsi ludzie, chodziła taka pogłoska, że za dwa-trzy lata wrócą z powrotem na Polesie. Jednak pozostali na zawsze. Nie żałują tego. Tamte dni najlepiej obrazują filmy Chęcińskiego „Sami Swoi”, „Krzyż Walecznych”, „Daleko na Zachodzie” nagranych w Lubomierzu i okolicach Lubania (wieś

Platerówka).

Życie toczy się dalej. Nowe pokolenia już tu rosły. Wykształciło się wiele osób zajmujących wysokie stanowiska. Wśród nas jest trzech księży, są inżynierowie, wojskowi, policjanci, nauczyciele, gospodarze, robotnicy. Żyją i rosną. Rośnie już czwarte pokolenie. Czas zaciera ślady i fakty. Z pamięci znikły niektóre nazwiska i całe rodziny. Z 52 rodzin, które osiedliły się w Skorzynicach pozostało niewiele. Młodzi opuszczali wieś. Zasiadlali miasta. Zajmują często średnie i wyższe stanowiska w różnych specjalnościach. Szacunkowo można liczyć, że na Ziemiach Zachodnich żyje obecnie około 2 tys. potomków dawnych przesiedleńców (potomków dawnej szlachty) z Osowy, Widziborca, Wólki Oreji, Koszary Olmańskiej i innych miejscowości, którzy korzeni mogą szukać we wsi Skorzynice w dawnym województwie jeleniogórskim.

Czy kiedykolwiek ludzie poczuli tęsknotę za Polesiem?

Myślę, że może na początku była tęsknota za Polesiem, ale z biegiem lat zacierała się ta tęsknota. Nie byli tu sami. Była spora grupa naszej społeczności. Razem czuli się różnie i bezpieczniej.



Ryc. 79. Skorzynice 1945. W głębi majątek do którego zakwaterowano cały transport Polaków z Polesia



Ryc. 80. Skorzynice ok. 1948. Młodzież powojenna w trakcie grania na zburzonym powojennym pomniku



Ryc. 81. Skorzynice 1950. Jedno z pierwszych wesel

Przyjechali na luksusowe życie. Na oczy nigdy nie widzieli takiej techniki w gospodarstwach. Domy i budynki gospodarcze wielkie, murowane. Nie musieli się gnieździć w jednej izbie jak na Polesiu. Ziemi było pod dostatkiem. Tylko żyć i pracować. Tęsknota poszła w zapomnienie. Nie zapominano tylko o swoich bliskich, którzy tam pozostali.

Czy była możliwość powrotu na Kresy?

Może i była, ale kto by chciał wracać pod reżim Stalina. Wieści z Widziborca głosiły o stalinowskich represjach wobec ludności. Panował tam wielki głód. Ludność ciężko pracowała w Kołchozach. Pieniądzy nie dostawali. Trzeba było iść i coś ukraść na kołchozowym polu. Za taką kradzież dostawali 5 lat zsyłki na Syberię, a drugi tyle dostawali za to, że dał się złapać. Czy był sens wracać. Wiem, że kilka rodzin wyjechało na Polesie, ale ich życie upłynęło marnie. Pewnie w duchu żałowali...?

Proszę krótko opisać pańskie dzieciństwo?

Całe swoje młode dzieciństwo spędziłem na wsi, pomagając rodzicom w gospodarstwie rolnym. Było ciężko. Pasienie krów, sianokosy, żniwa, młocka, wykopki ziemniaków, buraków itd. Nie było czasu na wyjazd na kolonie jak to miała młodzież robotników. Trochę im zazdrościłem. Wyjeżdżali na kolonie różne obozy, a ja szedłem z motyką w pole. Takie było życie. Wiedziałem o tym i nie próbowałem się buntować. Próbowaliśmy z kolegami jakoś sobie zorganizować wolny czas na różne zabawy i gry, szczególnie na wakacje. Organizowaliśmy sobie biegi przełajowe, gimnastykę na drążku, skoki o tyczce grę w piłkę nożną. Byłem bardzo wysportowanym i sprytnym chłopakiem. Z urody taki sobie. Dziewczyny czasami się oglądały, a może tylko odganiały muchy.

W wolne wieczory chodziliśmy również z dziewczynami do kina i na potańcówkę. Przygrywał nam stary adapter. Było wesoło. Śmiech i zabawa wychodziła nam tylko na dobre.

Jak wygląda dzisiaj Widzibirzec i co w nim się w ostatnich latach zmieniło?

Wioska do 1945 r. liczyła ok. 32 domów. Do dzisiaj zachowało się ok. 24 domów, w większości już odnowionych. Zachowało się jeszcze kilka przedwojennych starych i niezamieszkałych domów. Stoją jak pomniki. Przypominają nam czasy życia przodków. Wieś skromna. Droga piaszczysta jak przed laty (pańska). Brak przemysłu. Jedynym źródłem utrzymania mieszkańców Widziborca jest kołchoz w sąsiedniej wsi Osowce. W nim szukają zatrudnienia młodzi i starzy mieszkańcy wszystkich okolicznych wsi. Część młodzieży kończy szkoły i wyjeżdża za pracą do miasta. Wioskę zamieszkują przeważnie emeryci i część młodzieży, którzy nie podjęli nauki w szkole lub przejęli po rodzicach małe gosp. rolne. W latach 1986-2007 ruszyło w Osowie budownictwo jednorodzinne z pomocą miejscowego kołchozu. Na dawniejszych bagnach między Osową, a Widziborcem powstało piękne osiedle. Zbudowano piękny dom kultury z salą kinową i teatralną, nową szkołę, przedszkole i sklep. Doprowadzono wodę do mieszkań. Zbudowano teren rekreacyjny nad małym zarybionym stawem. Połączono wsie ze światem nowo położonym asfaltem. Od 1994-1999 r. zbudowano w Osowie duży i piękny kościół rzymsko katolicki. Konsekracja kościoła odbyła się 03.07.1999 r. której dokonał ks. kardynał Kazimierz Świątek. Obok cmentarza prawosławnego zbudowano w latach 2002-2007 piękną cerkiew. W przyszłości na terenie w pobliżu kościoła katolickiego ma powstać piękne boisko. Wieś Widzibirzec i Osowa ożywają z chwilą przyścia lata i wakacji. Zjeżdżają się tutaj na odpoczynek dzieci i wnuki miejscowej ludności, które na co dzień mają swoje domy i miejsca pracy gdzieś daleko na Białorusi lub w Rosji.

Co dało i nadal daje Panu ta wiedza, którą pan poznał i poznaje do dziś?

Dała dużo, bo poznałem dawniejszą kulturę poleską. Poznałem historię mojej wsi, z której wywodzą się moi przodkowie. Wiem w jakich warunkach musieli mieszkać i pracować. Zdobywając wiedzę o Polesiu nawiązałem wiele nowych kontaktów z naszą społecznością rozsianą po całej Polsce i świecie. Miałem możliwość zgromadzenia tej społeczności na Zjeździe Kresowym w Skorzynicach. Mogli się spotkać po 50-60 latach rozłąki w jednym miejscu. Były to spotkania bardzo wzruszające. Były łączy szczęścia Bez liku pytań i odpowiedzi. Wznowiły się nowe zapomniane kontakty. Ludzie odnaleźli się ponownie. Swoim codziennym życiem jedni o drugich zapomnieli. Była okazje je odnowić. Z tego się bardzo cieszę, że mogłem choć w części coś innym pożytecznego zorganizować.



Ryc. 82. Wodzibirzec. Dom mieszkalny z ok. 1930

ŻELISZÓW

Amelia Tobiasz

HISTORIA MOJEGO DZIADKA

Zdjęcia: Archiwum Amelia Tobiasz

Pewnego deszczowego dnia, chodząc po domu bez celu i nudząc się, postanowiłam pójść do dziadka. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka, jednakże dziadziuś właśnie ucinał sobie poobiednią drzemkę. Już miałam wychodzić, ale stara podłoga w mieszkaniu zaskrzypiała i obudziła śpiącego dziadka:

- Ooo, dzień dobry, Amelko!

- Cześć, Dziadziuś. Przepraszam, że Cię obudziłam, ale bardzo mi się nudzi. Deszcz pada cały dzień i nie mam co robić. Pomyślałam, że zajdę do Ciebie. Może chcesz herbaty?

- Poproszę. Tylko pamiętaj, że piję bez cukru.

- Pamiętam, pamiętam.

Poszłam do kuchni wstawić wodę. Dziadek wstał, przeciągnął się i przyszedł mi pomóc. Usiedliśmy w fotelu w salonie i zaczęliśmy w ciszy popijać gorącą herbatkę. Zerkalam co chwilę na telefon szukając choćby odrobinę rozrywki. Wtedy dziadek zaczął rozmowę.

- Wiesz, Wnusi, kiedyś to nie było takich gadżetów jak Wy teraz macie...

- To jak sobie radziłeś bez telefonu czy komputera?

- Nikomu się wtedy nawet nie śniło, że za pomocą jednego kliknięcia

możesz porozmawiać z kimś innym. Wysyłaliśmy listy, nadawaliśmy telegramy.

- Tele-co?

- Telegramy. To takie dzisiejsze esemesy.

- Jeju, ale to musiało długo trwać. Teraz najważniejsze funkcje mamy w telefonie. Można dzwonić, grać w gry, robić zdjęcia.

W tym momencie dziadek wstał i poszedł do sypialni. Zdziwiło mnie to, gdyż wyszedł bez słowa i zaczął grzebać w komodzie. Po chwili wrócił z ogromnym, lekko zakurzonym albumem ze zdjęciami.

- Widzisz, kiedyś nie robiło się dziesiątek zdjęć dziennie, tak jak teraz. Trzeba było rozważnie wybierać chwile do uwiecznienia, gdyż klisza mieściła niecałe 30 zdjęć. Zdjęcia robiliśmy przeważnie na najważniejszych uroczystościach rodzinnych. Oo, tu na przykład jest zdjęcie z Twojego Chrztu. A tu z Twoich pierwszych urodzin.

- A ten Pan w mundurze na tym czarno-białym zdjęciu to kto?

- To, Moja Droga, jestem ja po przysiędze wojskowej.

- Byłeś żołnierzem?

- Tak, kiedyś każdy musiał odbyć służbę wojskową. Twój tata też był w wojsku.

- A dlaczego nie ma żadnych zdjęć z Twojego dzieciństwa?

I w tym momencie dziadzio posmutniał, a jego oczy się zaszkliły. Nie wiedziałam dlaczego tak zareagował na wspomnienie dzieciństwa, jednakże postanowił kontynuować.

- Widzisz, moje dzieciństwo przypada na okres największej, najokrutniejszej i najkrwawszej wojny w dziejach. Nie było dostępu do telefonów czy aparatów. Cieszyliśmy się, że mieliśmy dostęp do

jedzenia i wody, nie zawsze najświeższej. Każdy dzień mógł być ostatnim dniem, dlatego dziękuję Bogu za to, że mi i mojej rodzinie nie stała się krzywda.

- Dziadziuś, a opowiesz mi coś więcej o swojej młodości?

- Oczywiście. A od czego mam zacząć?

- Najlepiej jakbyś zaczął od samego początku.

- Postaram opowiedzieć Ci tę historię jak najdokładniej potrafię i pamiętam.

- Zamieniam się w słuch.

- Dobrze... Urodziłem się w 28 sierpnia 1938 roku we wsi Rukovice nieopodal miasta Banja Luka w Jugosławii. Mieszkałem niedaleko kopalni, w której pracował mój tata. Mama zajmowała się domem i moim rodzeństwem. Gdy miałem rok, wybuchła II Wojna Światowa. Dwa lata później, ja i cała moja rodzina, musieliśmy uciekać z naszego domu, gdyż do wsi weszli żołnierze chorwaccy, którzy chcieli wymordować wszystkich ludzi z naszej i okolicznych miejscowości. Szybko spakowaliśmy najpotrzebniejsze rzeczy i pod osłoną nocy skryliśmy się w lesie niedaleko kopalni. Po kilku dniach wróciliśmy do częściowo spalonej i okradzionej wsi. To wszystko wiem z opowieści mojej mamy, gdyż byłem wtedy za mały, aby cokolwiek zapamiętać. Pamiętam, że po wojnie, w 1946 roku, rozpoczęły się prześladowania ze strony Serbów na Polakach mieszkających w okolicznych wsiach. Wtedy tata podjął decyzję o ucieczce do Polski. Tam mieliśmy większość rodziny.

- Nie bałeś się?

- Miałem osiem lat. Nie docierało do mnie to, co się dzieje.

- A jak dostałeś się do Polski?

- Wsiedliśmy do wagonu w pociągu towarowym. Jechałem z moimi

rodzicami, pięcioma braćmi i czterema siostrami, a także z naszymi sąsiadami z Rukovicy. W sumie około 40 osób w niezbyt dużym wagonie bez dachu. Było tam bardzo mało miejsca, a do Polski jechaliśmy blisko miesiąc. W dodatku jedna pani, zaczęła rodzić na granicy polsko-czechosłowackiej. Urodziła się dziewczynka, którą nazwano Olga.

- Czekaj, czekaj. Przecież nasza babcia ma tak na imię.

- Bo tym dzieckiem była właśnie Twoja babcia!

- Wow! I co było dalej?

- Przyjechaliśmy do Polski i zamieszkaliśmy w Zabłociu niedaleko Nowogrodźca, w dość dużym domu, pozostawionym przez mieszkających tam dotychczas Niemców. Mieliśmy kilka hektarów pól oraz piękny i duży przydomowy ogród. Mój tata był gospodarzem. Zajmował się uprawą roli i hodowlą zwierząt. Mama natomiast była gospodynią domową i troszczyła się o dom oraz dziesięcioro dzieci. Kiedy miałem 9 lat pierwszy raz poszedłem do szkoły. Nie lubiłem tam chodzić, ponieważ wolałem spędzać ten czas z rówieśnikami albo pomagać rodzicom w pracach domowych. Pamiętam jak wszyscy, co rano, zbieraliśmy się w obok kościoła i szliśmy wspólnie na lekcje. Po 7 latach nauki skończyłem Szkołę Podstawową w Brzeźniku i podjąłem się pracy w naszej gospodarce. W wieku 20 lat zostałem powołany do wojska, a po odbyciu dwuletniej służby wojskowej wróciłem do rodzinnego domu. Później podejmowałem się różnych prac. Pracowałem kilka lat w zakładach ceramiki, gdzie docinałem granitowe płyty, którymi zostały wyłożone perony na Dworcu Centralnym w Warszawie.

- A co było dalej?

- Później wraz z Twoją babcią zamieszkaliśmy tutaj, w Żeliszowie. Mieliśmy tu swoje gospodarstwo, którym nie mam niestety już siły się zajmować, dlatego robi to Twój tata. I oto jest historia mojego

życia.

- Dziadku, nie spodziewałam się, że tyle w życiu przeszedłeś. Twoja historia jest bardzo wzruszająca i ukazuje, że kiedyś ludzie nie mieli w życiu tak kolorowo jak my obecnie. Teraz wiem, że ja wcale nie mam tak źle, jak mi się wydawało. To, że mama czasem zabierze mi telefon na kilka godzin, bo nie chce mi się uczyć, nijak nie odzwierciedla tego, co Ty przeżyłeś. To jest bardzo ważna lekcja dla mnie.

Uściskałam dziadka, pożegnałam się i wróciłam do domu. Postanowiłam, że od dziś będę doceniała wszystko, co robią dla mnie rodzice i będę im pomagała w obowiązkach domowych bez marudzenia. A teraz idę do mojej młodszej siostry, Lilki, opowiedzieć jej tę wspaniałą historię.



Ryc. 83. Amelia Tobiasz z dziadkiem

Natalia Uchwał
“MOJA, MAŁA PEREŁKA”
- OCZAMI ARCHITEKTA

Zdjęcia: Archiwum Natalia Uchwał

XVIII wiek – wczesny klasycyzm

Z mroku wokół mnie wyłoniła się budowla sporych rozmiarów. Zauważyłem, iż była bardzo prosta i nie wyróżniała się niczym ciekawym. Jako architekt skupiłem się na zewnętrznych detalach, których właściwie nie było. Mimo to, zaintrygowany jej tajemniczością, ruszyłem spokojnym krokiem do drzwi, które po chwili śmiało otworzyłem. Zdążyłem zrobić tylko jeden krok, niemal od razu nieruchomiejąc i skanując przestrzeń wokół siebie. Przede mną znajdowały się rzędy ławek ze zdobieniami. Głównie zwracały na siebie uwagę balkony, zwane emporami, które były z każdej możliwej strony. Na nich wisiały różnego typu kolorowe obrazy. Dało się zauważyć również schody, przy których były dwie płaskorzeźby. Jedna z nich ukazywała Świętą Rodzinę, druga Jezusa Chrystusa w koronie z cierni niosącego krzyż. Gdy spojrzałem na sufit, w oczy rzuciły mi się żyrandole, które miały coś koło pięciu metrów długości i dwóch szerokości. Na środku budynku stał piaskowy ołtarz. Zdziwiony uniosłem brew, gdyż uświadomiłem sobie, iż jestem w kościele.

Nagle obudziłem się, usiadłem i zrozumiałem, że wszystko, co widziałem, było snem. Mimo to czułem ogromne pragnienie ujrzenia czegoś tak niesamowitego w rzeczywistości. Przez chwilę rozważałem kilka opcji, dotyczących plusów i minusów.

Mój umysł podjął decyzję za mnie. Od razu wstałem i siadłem przy biurku, stojącym po przeciwnej stronie pokoju. Chwyciłem pierwszy lepszy ołówek i jeden rulon specjalnego papieru do rysunków architektonicznych. Moja ręka sama poczęła kreślić na nim wyjątkowo skomplikowane linie. Chciałem utrwalić wszystko, co zdołałem zapamiętać. Po kilkunastu minutach miałem gotowy pierwszy wzór całego projektu. Następnie położyłem przed sobą kolejny plik kartek i zająłem się kosztorysem całego budynku wraz z dodatkami.

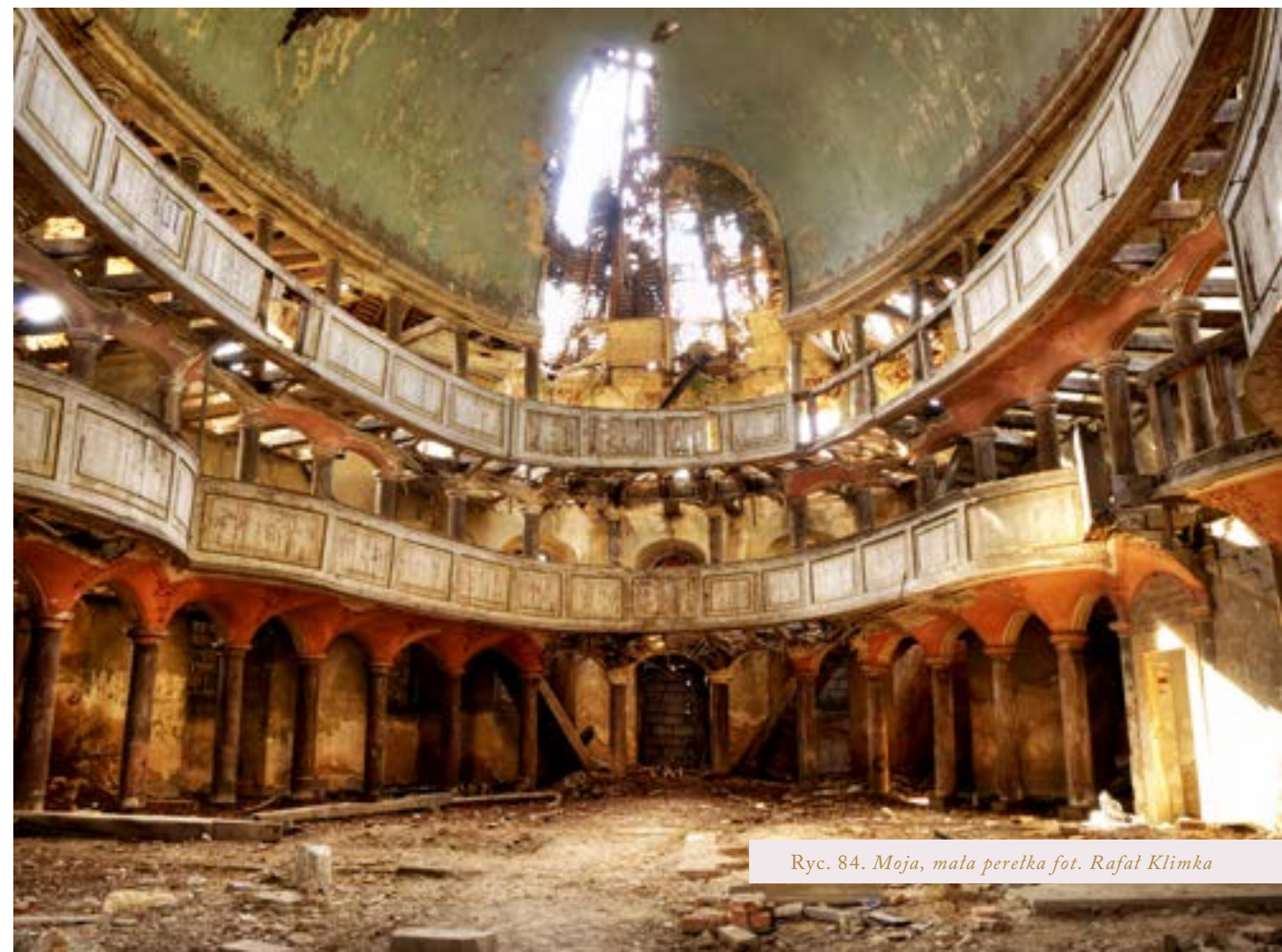
Uśmiechnąłem się na wspomnienie tamtego ranka i podziwiałem to, co powstało dzięki mojej wizji. Kościół wzbudzał we mnie za każdym razem ogrom pozytywnych emocji. Co dzień przychodziłem, by móc choć obejść go wokoło i spędzić chwilę w środku. Dzięki dobrym ludziom i środkom jakie miałem, udało mi się wykonać gmach według projektu. Trwało to kilka lat, lecz efekt był oszałamiający.

Doszedłem do wniosku, iż z całego serca pragnę znać jego przyszłość. Postanowiłem udać się w podróż, by ujrzeć go z innej perspektywy. Powoli przemierzałem przyszłość, obserwując wszystko, co było związane z kościołem. Rozpierała mnie radość, gdy dostrzegałem, jak ludzie dbali o każdy jego skrawek. Zatrzymałem się w chwili, gdy do mojej pracy dobudowywana została 75 metrowa wieża z dzwonnica z bolesławieckiego piaskowca, zaprojektowana przez Petera Gansela. Przez kolejne lata widziałem, jak wielu ludzi przewija się przez obiekt, podziwiając jego piękno. Wszystko zakończyło się pod koniec II wojny światowej. Przeżyłem istny szok, obserwując jak budowla niknie w mych oczach. Napływ katolików wpłynął na jej ogromną niekorzyść, przestała być w centrum zainteresowania. Wyjazd Niemców również nic nie zmienił. Kościół, po zamknięciu, zaczął popadać w ruinę. Moja pewność siebie uleciała, gdy na to wszystko patrzyłem. Kolejne co dano mi zobaczyć, to moment, kiedy wieża zaczynała się przechylać w stronę

domu, który był tuż obok niego. W tamtym momencie mieszkańcy pozbyli się górnej części, czyli 15 metrowej kopuły z krzyżem. Kolejne lata zadecydowały o jej dalszych losach. Było z nią coraz gorzej. Wszystko, co było w niej cenne i drogie, zostało rozkradzione. Wtedy moje oczy zaszyły mgłą. Wybudowałem coś, co miało być świątynią, schronieniem, co miało być podziwiane przez innych. Mimo to, moja praca została zniszczona i tak naprawdę zamiast stać się zabytkiem, pogrąża się coraz bardziej. W czasie jednej z burz, gałąź jednego z drzew zrobiła w dachu kościoła ogromną dziurę. Nikt jej nie naprawił. Zmartwiony począłem nerwowo bawić się palcami. Nie chciałem, aby tak to wyglądało. Następnie świątynia poczęła służyć im wszystkim jako schronienie dla owiec, magazyn lnu i różnych przedmiotów gospodarstwa rolnego. Nawet cmentarz całkowicie pozarastał krzakami i wysokimi trawami. Kolejne kilka lat i znów w środku pojawili się ludzie. Dzieci, młodzi chłopcy zakradający się do środka. Zaraz potem, z powodu niebezpieczeństwa, pozamurowywano wszystkie możliwe wejścia do środka. Ponownie został zamknięty na następne kilka lat. 2006 rok i wpisanie świątyni do rejestru zabytków. Przymrużyłem oczy, analizując wszystko, co do tej pory zobaczyłem. Rzuciły mi się w oczy również te chwile, kiedy zauważane było jej piękno, choćby zniszczone. Młodzi małżonkowie urządzali sobie w niej sesje zdjęciowe. Klimat kościoła nadal przyciągał ludzi. Poczułem podekscytowanie, widząc jak interesuje się nią pewien mężczyzna, mianowicie Patryk Kizny – utalentowany wrocławski reżyser, operator, pionier techniki timelapse. Właśnie w moim kościele postanowił nakręcić krótkometrażowy film „The Chapel”. W 2010 roku w Żeliszowie, pojawiała się coraz więcej turystów zainteresowanych nieodkrytym urokiem obiektu. Kolejną pracą Kiznego, również w świątyni, okazał się być film „Rebirth”. Zwiększenie popularności zabytku nie pomagało mu jednak w poprawie zewnętrznego i wewnętrznego wyglądu. Przyszedł lipiec 2013 roku, a wraz z nim kościół został przejęty od Gminy Bolesławiec przez Fundację Twoje Dziedzictwo.

Początkowo zajęła się ona zabezpieczeniem całego budynku, zaraz potem jego remontem. Wszystko to dało Mojej Perle nowy początek i nowy start. Z czasem gmach zaczął stawać na nogi i znów świecić dawnym, tajemniczym blaskiem. Tym razem po odrestaurowaniu w 2019 roku została w nim otwarta scena dla różnych wydarzeń kulturalnych.

Wróciłem do siebie i ostatni raz spoglądając na obiekt moich myśli ruszyłem w drogę do domu. Teraz ewidentnie mogę spokojnie iść spać. Pomyślałem i uśmiechając się pod nosem spojrzałem w gwiazdy, których tego wieczoru na niebie było wyjątkowo dużo.



Ryc. 84. *Moja, mała perelka* fot. Rafał Klimka



Ryc. 85. *Moja, mała perelka* fot. Rafał Klimka



Ryc. 86. *Moja, mała perelka* fot. Rafał Klimka

KRAŠNIK

Bartosz Szulc

HISTORIA RODZINY GRYSZCZYSZYN

Zdjęcia: Archiwum prywatne Bartosz Szulc

Poznana przeze mnie historia rodziny sięga przełomu XIX i XX wieku - czasów moich pradziadków - dziadków mojej mamy: Jana Gryszczyszyn (syna Rozalii i Piotra) oraz Marii Pałanica (córkę Iwana Pałanica i Katarzyny Zosiak). Pradziadkowie mieszkali na terenie dziś należącym do Ukrainy w okolicach miasta Zbaraż, pradiadek we wsi Kujdańce, prababcia we wsi Romanowe Sioło. Pradiadek był Polakiem, natomiast prababcia wywodziła się z rodziny Ukraińskiej.

Tereny powiatu Zbarskiego był to obszar wybitnie rolniczy, 90% ludności zatrudnionych było w rolnictwie. Moi pradiadkowie należeli do tej grupy. Rodzina pradiadka była rodziną bogatą, posiadali folwark we wsi Kujdańce. Także Maria Pałanica wywodziła się z dość majątnej rodziny, o czym dziś świadczy akt darowizny ziemi tzw. kontrakt posagu, z 1918 roku - jeszcze dla wówczas małoletniej Marii Iwan i Katarzyna Pałanica darowali część swojego majątku, który po ślubie miał stać się jej własnością.

Po ślubie pradiadków zamieszkali oni wspólnie w folwarku kujdańskim. Mieli czworo dzieci: Olgę, Stefanię, Rozalię i Piotra, czyli mojego dziadka. Niedaleko domostwa dziadków znajdowała się Ukraińska cerkiew, kilka kilometrów dalej polski kościół. Religia nie dzieliła, jednak dziadek mimo znacznej odległości, jako Polak chodził na nabożeństwo do Polskiego kościoła. Także święta

w domu moich pradziadków obchodzono w dwóch wyznaniach, a co za tym idzie dwóch terminach. Tereny zamieszkiwane przez pradziadków były szczególnie dotknięte przez historię. Najpierw po rozbiorach Polski należały do zaboru austriackiego, później w czasie I wojny światowej okupowane byli przez Rosję, potem rządili tam Ukraińcy. Podczas II wojny światowej we wsi Kujdańce było bardzo niespokojnie, jak w całej okolicy. Polskie rodziny, w tym także rodzina moich pradziadków, pod koniec 1943 roku czuły się mocno zagrożone. Ukraińskie bandy rabował wsie, podpalały domy, a także zabijały polską ludność. Nikt z Polaków nie czuł się bezpiecznie. Powody napadów na Polaków były często bardzo błahe. Moja rodzina niejednokrotnie musiała się chować na strychu w swoim domu, czy też ukrywać się w sianie albo za workami ze zbożem. Ukraińcy poszukiwali pojedynczych osób, mojego dziadka Piotra, mimo że miał tylko 15 lat oskarżyli o nielegalne posiadanie broni i któregoś dnia wpadli do domu i go dotkliwie pobili. Przyjaźń polsko-ukraińska nie mogła mieć miejsca. Ukraińcy żądali przesunięcia granic po Zamość oraz dobrowolnego opuszczenia przez ludność polską wyznaczonych miejsc, na co nikt nie chciał wyrazić zgody. Moja rodzina żyła w ciągłym strachu. Na nic nie zdawało się bogactwo, podczas napadów banderowców (Ukraińskiej armii nacjonalistycznej) wiele cennych rzecz zostało skradzionych i zniszczonych. W latach 1944-46 rozpoczęła się repatriacja, czyli fala przesiedleń ludności Polskiej z terenów II Rzeczypospolitej utraconych w wyniku porozumień Jałtańskich na rzecz ZSRR. Dotknęła ona także mojej rodziny. Pradziadkowie musieli opuścić swój folwarku w Kujdańcach i przenieść się na tereny obecnego Kraśnika Dolnego. Wyruszyli zatem późnym latem 1945 roku w podróż swojego życia zabierając ze sobą dwoje dzieci Piotra i Stefanię. Olga jako najstarsza córka mieszkająca ze swoim mężem przeniosła się do Polski dwa lata później. Rozalia wyjechała na roboty do Rosji, skąd już nie wróciła. 15 listopada 1945 roku pradiadkowie dotarli do Kraśnika Dolnego, ich podróż

trwała blisko dwa miesiące. Z Kujdaniec przywieźli meble, naczynia kuchenne, wóz, pług, bronę, 2 konie, krowę i jałówkę. Wraz z rodziną Gryszczyszyn do wsi przybyło kilka innych spokrewnionych rodzin, w tym samotne wdowy, których mężowie zginęli na wojnie. Rozpoczął się okres „wyboru” nieruchomości do zasiedlenia. Był to czas strachu, ponieważ we wsi pojawiali się szabrownicy, którzy plądrowali majątek nowych osadników. Według opowieści mojego dziadka, z tego powodu wiele osób na noc schodziło się do jednego domu, by wspólnie spać, mimo że na podłodze to bezpieczniej.

12 grudnia 1946 roku pradiadek Jan Gryszczyszyn, mając poświadczenie sołtysa wsi, złożył wniosek o przyznanie prawa własności nieruchomości ziemskiej na Ziemiach Odzyskanych. Wniosek obejmował przyznanie domu z oborą i 7 hektarowym gospodarstwem, gdzie mieszkam razem z rodziną aż do obecnego czasu. 24 listopada 1949 roku na podstawie aktu nadania nr 4482 Powiatowa Komisja Osadnictwa Rolnego w Bolesławcu przyznała na własność nieruchomości, które miały zrekompensować utracone Kresy.

Pradiadkowie wraz z dorosłymi już dziećmi Piotrem i Stefanią zajmowali się przyznanym im gospodarstwem rolnym. Nigdy nie traktowali ziem odzyskanych jako swojego miejsca docelowego. Według rodzinnych opowieści, traktowali mieszkanie tu jako tymczasowe, nie czuli się typowymi gospodarzami. Spotykając się z rodziną wspominali czas w Kujdańcach, rozpamiętywali co tam robili, myśleli o tym co będą robić, gdy wrócą. „U nas w domu” to stwierdzenie nigdy nie odnosiło się do objętych ziem i domostwa, miało oznaczać ziemie za Bugiem. Gdy w 1954 roku powstał w Kraśniku kołchoz pradiadek przymusowo oddał do niego pole i konia oraz pracował w nim, zajmując się właśnie końmi. Kobiety pomagały w czasie żniw przy wiązaniu słomy.

14 Października 1956 roku dziadek Piotr i babcia Genowefa, pochodząca z Częstochowy, wzięli ślub zamieszkując wspólnie

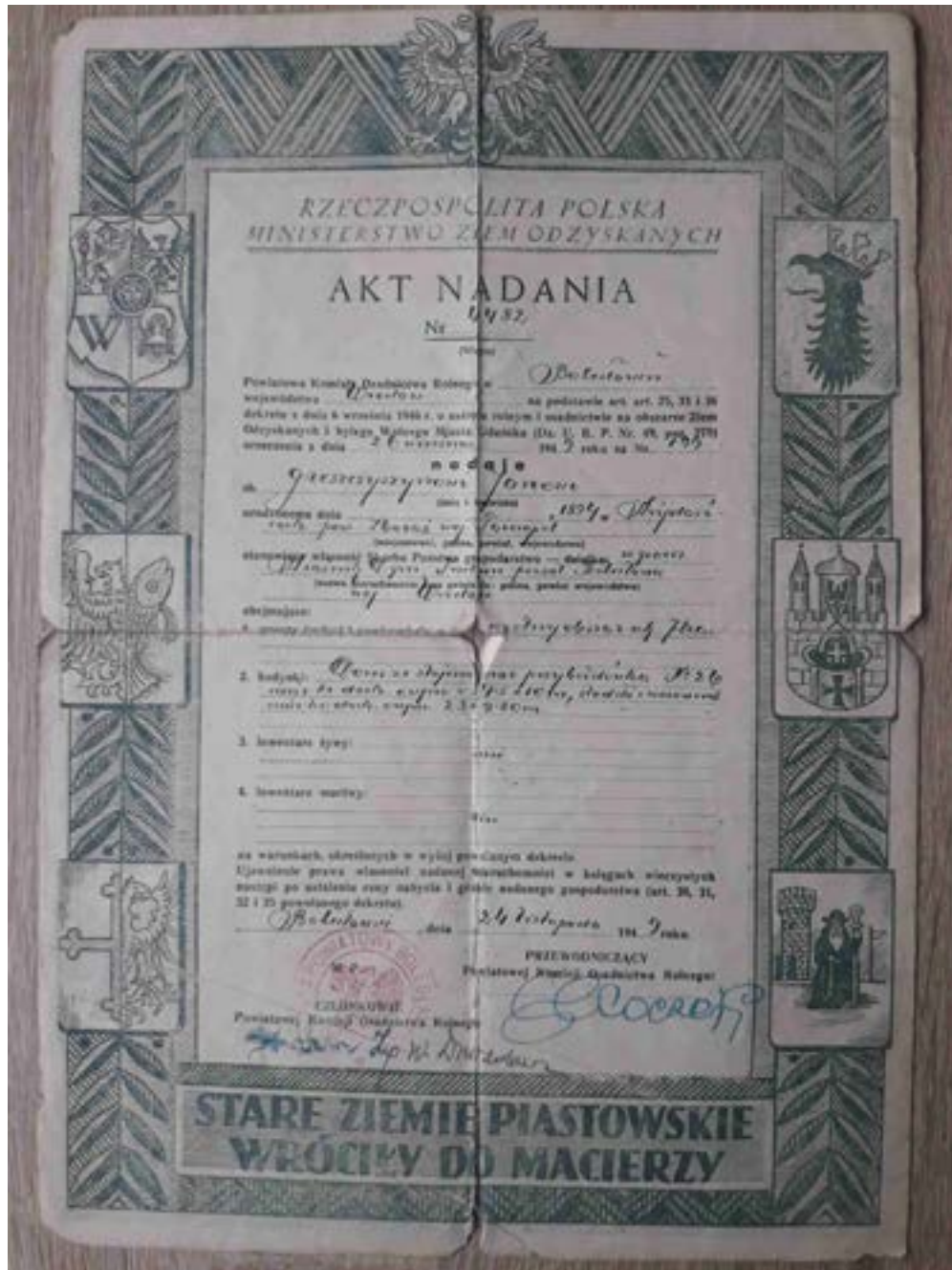
w Kraśniku Dolnym w domu rodzinnym dziadka. Po roku urodził się mój wujek Jan Gryszczyszyn. Pradziadkowie hodowali kury i gęsi. Dziadek pracował na kolei jako dróżnik, następnie w skupie lnu w Dąbrowie Bolesławieckiej. Natomiast babcia wraz ze swoją szwagierką chodziły na tutejszy cmentarz ewangelicki, gdzie m.in. czyściły groby, albo sadziły sadzonki młodych drzew - w ten sposób zarabiając pieniądze. W 1966 roku urodziła się moja mama Jolanta Gryszczyszyn. W 1966 roku dziadkowie (po objęciu na własność) prowadzili gospodarstwo rolnicze przez wiele lat. 16 hektarowe gospodarstwo zawierało dom i oborę, w której znajdowały się różnego rodzaju maszyny rolnicze: pajak przerzucający, dojarka, ciągnik, kołówka, pług, brony, kopaczka do ziemniaków, przyczepy, siewnik i rozrzutnik, zatem gospodarstwo było w pełni zmechanizowane. Pokolenie moich dziadków zrozumiało, że powrót na ziemię na Kresach nigdy nie nastąpi, a życie musi toczyć się tu na Ziemiach Odzyskanych, choć wspomnienia były ciągle żywe.



Ryc. 87. Życie rodzinne w latach 50.



Ryc. 88. Ślub Genowefy i Piotra Gryszczyszyn



Ryc. 89. Akt nadania praw własności na Ziemiach Odzyskanych

Milena Adamarczuk i Agata Miłowska PAŁAC W KRAŚNIKU DOLNYM

Zdjęcia: Archiwum prywatne Bartosz Szulc

Pałac w Kraśniku Dolnym został zbudowany w drugiej połowie XVIII w. Przebudowany w 1860-1923 r. dla rodziny Wendland. Pałac został zbudowany na wzór litery C.

1930-1935

We wnętrzach parteru zachowały się pomieszczenia ze sklepieniami i dekoracją sztukarską.

Obok pałacu znajduje się park, który miał powierzchnię 3,5h. Na terenie, który dawniej przynależał do pałacu znajdują się zabudowania gospodarcze nie wpisane do rejestru zabytków. Są to między innymi: oficyna, 2 domy mieszkalne, stajnia, spichlerz, obora, gorzelnia, dom ogrodnika oraz kuźnia.

Po wojnie w tym miejscu znajdował się PGR (Polskie Gospodarstwo Rolne). W samym pałacu mieszkali pracownicy tej instytucji. W okresie letnim, w czasie kiedy pracownicy PGR-u byli w pracy, ich dzieci miały do dyspozycji „letnie przedszkole” oraz park z huśtawkami i karuzelą. W tej chwili park jest zaniedbany, ale w przeszłości wyglądał bardzo ładnie.



Gruß aus Schönfeld, Kr. Bunzlau - Schloß

Ryc. 90. Pałac po remoncie dla rodziny Wendland



Ryc. 92. Dekoracja sztukarska



Ryc. 91. Sklepienie sztukarskie



Ryc. 93. Pałac przed remontem dla rodziny Wendland

Paulina Danielewska
HISTORIA MOJEGO PRADZIADKA

Zdjęcia: Archiwum rodzinne Pauliny Danielewskiej

Władysław Danielewski urodził się w Warszawie 10.10.1918 r. Jako młody chłopak brał udział w II wojnie światowej. Wojna to czas rozstania z bliskimi, kojarzona z wielkim bólem i smutkiem. W czasie wojny był na stanowisku podoficerskim. Z czasem pełnił funkcję szefa baterii, obsługiwał działa artylerii najcięższej. Został wcielony do 44 pułku piechoty drugiej kompani strzelców. Wojna trwała a pradziadek w 1941 r. awansował do stopnia starszego kaprała. W październiku 1941 r. został ranny i trafił do szpitala. Mimo tęsknoty za domem i rodziną wojna trwała, w listopadzie 1941 r. awansował do stopnia plutonowego.

Cieżko przeżywał wojnę, potworne rzeczy dziejące się na wojnie utkwily w pamięci i zostały na długie lata. Pradziadek Władysław otrzymał za uczestnictwo w walkach zbrojnych z Niemcami w latach 1939-1945 Odznakę Grunwaldzką.

Kolejnym wyróżnieniem jest Medal o Warszawę 1939-1945 r. oraz Medal za Odrę Nysę Bałtyk.

W roku 1949 został przeniesiony do rezerwy. Za wspaniałe czyny i ogromną odwagę został odznaczony Uchwałą Rady Państwa z dnia 14.03.1979 r. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Tużając się po zniszczonej wojną Polsce pradziadek osiedlił się na ziemiach dzisiejszego Dolnego Śląska. W 1946 r. w kwietniu zostaje zdemobilizowany – wycofany z wojska. Osiedlając się w Kraśniku Dolnym poznaje moją prababcie Wandę Kandut. Pobierają się w 1946 r.

Obecnie w domu pradziadka mieszka mój dziadek – syn pradziadka oraz moja ciocia z rodziną, czyli kolejne pokolenia są w posiadaniu domu mojego pradziadka i prababci.



Ryc. 94. Legitymacje



Ryc. 95. *Legitymacja i order*



Ryc. 97. *Archiwum Paulina Danielewska*

NOWOGRODZIEC

Karolina Mudrak

HISTORIA MOJEGO PRADZIADKA MICHAŁA

Zdjęcia: Archiwum Karolina Mudrak

Historię mojego pradziadka Michała poznałam dzięki opowiadaniom mojej babci Moniki. Chciałam wiedzieć kto mieszkał wcześniej w naszym domu i jak pradziadek Michał się tutaj znalazł.

Mój pradziadek nazywał się Michał Mudrak. Urodził się w 1894 roku w Świrzu, powiat Przemyślany. Miał czworo rodzeństwa. Świrz to mała wieś znajdująca się 45 km na południowy wschód od Lwowa, dzisiaj na terenie Ukrainy.

Świrz jeszcze wtedy nie był podłączony do sieci energetycznej, dlatego wnętrza oświetlano lampami naftowymi. Mieszkańcami byli w większości Polacy, ale mieszkali tam też Ukraińcy i Żydzi. Przed wojną z sąsiadami żyli w zgodzie, nie było prawie żadnych konfliktów. Zapraszali się wzajemnie na święta, mimo wyznawania różnych religii. Rodzice mojego pradziadka Marcin i Rozalia byli rolnikami. Bardzo ciężko pracowali aby godnie utrzymać i wykształcić swoje dzieci.

Starszy brat pradziadka- Józef ur.1893 roku, skończył studia i był wykładowcą na wyższej uczelni, a drugi z braci- Kazimierz ur. 1912 roku był weterynarzem. Siostra mojego pradziadka Katarzyna zmarła jeszcze przed wojną w Świrzu. Najstarszy brat pradziadka-Andrzej w okresie międzywojennym wyjechał do Ameryki i ślad po nim zaginął. Mimo wielu poszukiwań do dziś nie wiadomo co się z nim stało.



Ryc. 98. Mapa II Rzeczpospolitej



Ryc. 99. Mapa woj. tarnobrzejskiego

W 1934 roku mój pradziadek ożenił się z moją prababcią Ludwiką Pilną, urodzoną w 1910 roku, też w Świrzu. Po roku małżeństwa urodziła się córka Janina najstarsza siostra mojego dziadka Kazimierza. W 1937 roku przyszła na świat druga córka Jadwiga. W 1940 roku moja prababcia musiała jechać do lwowskiego szpitala, gdyż była w ciąży bliźniaczej. I tak 3 lipca 1940 roku we Lwowie urodził się mój dziadek Kazimierz i jego siostra bliźniaczka Maria. Lwów do wybuchu wojny należał do Polski. Mój dziadek Kazimierz zawsze podkreślał, że urodził się w Polsce i bardzo denerwował się, gdy ktoś mówił inaczej.



Ryc. 101. Michał Mudrak przed domem. Odrzychów 1959 r.



Ryc. 100. Miejsce to szczyciło się pięknym zamkiem

Kiedy wybuchła wojna, pradziadek Michał, został zmobilizowany do wojska i walczył przez cały wrzesień 1939 w obronie kraju. Niestety Polska nie wytrzymała ataku ze strony Niemiec i ZSRR. Kresy Wschodnie ze Lwowem znalazły się pod okupacją radziecką. Obszary te wcielono do Ukraińskiej Republiki Radzieckiej. Po ataku Niemiec hitlerowskich na ZSRR w 1941 roku ziemie lwowskie- jako piąty dystrykt Galicja- wcielono do Generalnego Gubernatorstwa.

RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTERSTWO ZIEM ODZYSKANYCH

AKT NADANIA

Nr. 1949-

[Wzrost]

Powiatowa Komisja Opieki nad Rolnictwem w Bolesławcu
na podstawie art. 25, 31 i 35
dekrety z dnia 6 września 1916 r. o ustroju rolnym i osadnictwie na obszarze Ziemi
Odzyskanych i byłego Wolnego Miasta Gdańska (Dz. U. R. P. Nr. 42, poz. 2201)
orzeczenia z dnia 19 sierpnia 1947 roku ze Nr 1949

nadaje

na Mudrakowi Michałowi

urodzonym dnia 2 lipca 1896 r. w Siedlcu

po Przenysławie

stanowiącej własność Skarbu Państwa gospodarstwo, położone

w grom. Włocław gm. Włocław

po Bolesławcu w Województwie

obszar: ogółem obszar

1. grunty orowe i pastwiska w ha ok. 6,00 ha

2. budynki: dom mieszkalny 150 m² w. 1. piętr.

stajnia 20 x 7 m, 2 pod m. 126 m² w. 1. piętr.

12 stodoła, port, piętrowy, dach 12 m x 14 m

stajnia 15 x 8 m, 3 stopy m. 1. piętr. 14 m x 8 m

3. inwentarz żywy: 21 szt.

4. inwentarz martwy: 1 młocznik, 1 wół, 1 cielę, 3 świnie,

1 krowa, 1 owca, 1 kózka, 1 pies, 1 kot, 1 gołąb,

1 kurczak, 1 kaczka, 1 gęś, 1 kura, 1 kaczka,

1 krowa, 1 owca, 1 kózka, 1 pies, 1 kot, 1 gołąb,

na warunkach określonych w wyżej powołanym dekrete.

Uwaga: prawa własności nadanej nieruchomości w kolejnych właścicielach

nasłodzi po ustaleniu ceny nabytu i gruncie nadanego gospodarstwu (art. 30, 31,

32 i 35 powołanego dekretu).

Bolesław, dnia 8 października 1947 roku.

M. B.

PRZEWODNICZĄCY
Powiatowej Komisji Opieki nad Rolnictwem

CECHOWA

Powiatowej Komisji Opieki nad Rolnictwem

STARE ZIEMIE PIASTOWSKIE
WROCIŁY DO MAC

Ryc. 102. Akt nadania ziemi, 1947 r.



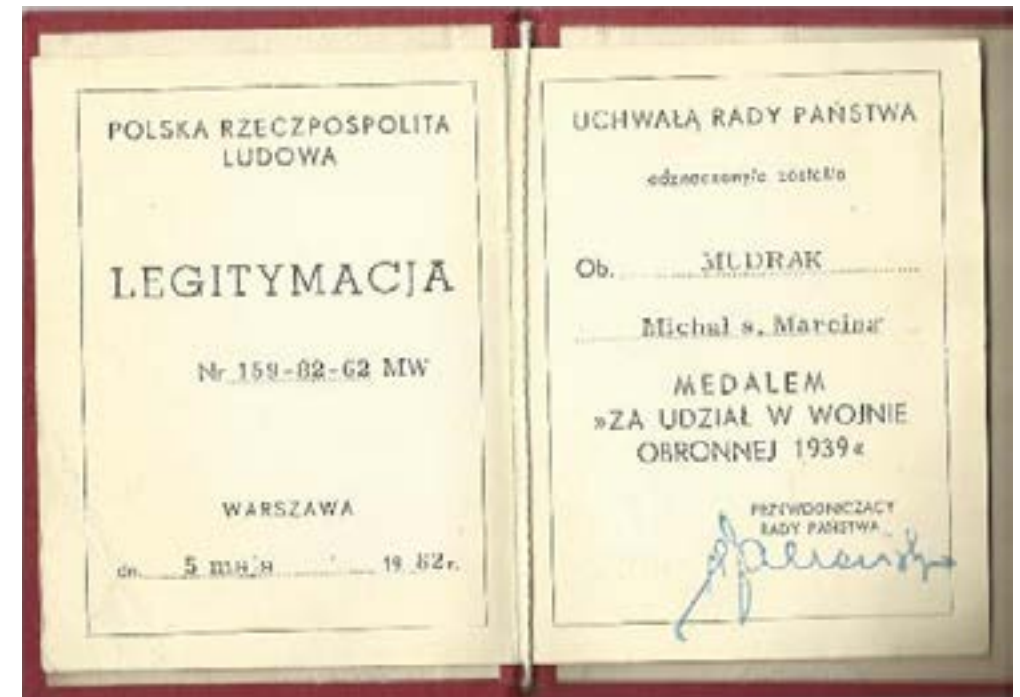
Ryc. 103. Powozi Michał Mudrak, Oldrzychów XI 1954



Ryc. 104. Zofia i Tadeusz przed rodzinnym domem, 1957



Ryc. 105. I Komunia Święta, Odrzychów 1949



Ryc. 106. Legitymacja



Ryc. 107. Odznaczenie

Dla mojej rodziny zaczął się bardzo trudny okres. Pradziadkowie musieli oddawać kontyngenty dla okupantów. Każdy we wsi obawiał się wywózek, wcześniej do 1941 roku w głąb ZSRR a po 1941 roku na roboty do Niemiec. Coraz częściej dochodziły niepokojące wiadomości z Wołynia o napadach nacjonalistów ukraińskich na polskie wsie. W końcu i w Świrzu miały miejsce okrutne zbrodnie dokonane na polskiej ludności przez banderowców. Na szczęście pradiadkowi udało się ochronić rodzinę.

Mój pradiadek Michał w Świrzu miał swój własny kamieniołom, a także zajmował się hodowlą koni, które zawsze kochał.

Kiedy zapadła decyzja, że Polacy mieszkający na Kresach mają opuścić swoje domy i wyjechać na Ziemie Odzyskane, pradiadkowie bardzo to przeżywali, musieli zostawić na zawsze ukochane miejsca, gospodarstwa, by wyjechać w nieznane.

Z Kresów Wschodnich przyjechali na Ziemie Odzyskane w 1946 roku. Była to bardzo ciężka i trudna podróż. W wagonach nie było ogrzewania. Brakowało opieki lekarskiej i środków opatrunkowych. Dostali przydział w Ołdrzychowie, (wtedy Ulinów) koło Nowogrodźca, powiat Bolesławiec. W domu tym, do dziś mieszkam ja z moją mamą, bratem i babcią. Do gospodarstwa zaliczano działkę rolną o powierzchni 9,82 hektara, duży dom murowany kryty dachówką, a także kilka maszyn rolniczych.

Pradiadek Michał po przyjeździe zajmował się rolą. Hodował świnie, krowy i konie. Zajmował się też handlem. Zawsze jeden dzień w tygodniu jeździł do Lubania, gdzie sprzedawał ziemniaki, śmietanę i ser.

Prababcia też pomagała w gospodarstwie. Po przyjeździe urodziło się jeszcze dwoje dzieci. W 1950 roku Zofia i w 1955 roku Tadeusz. Wszystkie dzieci pomagały swoim rodzicom w gospodarstwie. Chodziły do szkoły w Nowogrodźcu.

Wszyscy sąsiedzi też bardzo sobie wzajemnie pomagali. Jak rozpoczynał się czas żniw lub wykopek, to całymi rodzinami przychodzili na pole i zbierali plony u każdego sąsiada po kolei. Potem wszyscy zbierali się na wspólnym posiłku. Kiedy przychodził czas świąt Bożego Narodzenia wszyscy szli na pasterkę do kościoła, a potem kolędownali do rana.

Kiedy dzieci pradiadków już dorosły, córki powychodziły za mąż i wyjechały do Wrocławia, gdzie mieszkają do dziś, a syn Tadeusz wyjechał do Lublina, gdzie studiował i skończył weterynarię. Tam się ożenił mieszkał i pracował.

W 1982 roku pradiadek Michał został odznaczony medalem za udział w wojnie obronnej w 1939 roku. Kilka lat później, we wrześniu 1986 roku zmarł i został pochowany w Ołdrzychowie.

Na gospodarstwie swoich rodziców został mój dziadek. Ożenił się z moją babcią Moniką w 1970 roku. Bardzo lubił pracę na roli. Po przejęciu gospodarstwa kupił nowe maszyny, które usprawniały ciężką pracę. Urodziła im się piątka dzieci. Mój wujek Andrzej w 1971 roku, ciocia Małgorzata w 1972 roku. Potem moja mama Magdalena w 1977 roku i w roku 1983 bliźniaki Maciej i Katarzyna.

Gdyby moi pradiadkowie żyli, cieszyliby się dzisiaj z trzech córek (Jadwiga zginęła w 1976 roku, mój dziadek Kazimierz zmarł w 1997 roku, a Tadeusz zmarł nagle w 2010 roku.). Mieliby 16 wnucząt, 26 prawnucząt i dwoje praprawnuków, którzy rozjechali się już po całym świecie. Dzięki dzisiejszej elektronice i komputerom możemy utrzymywać ze sobą kontakt, nawet mieszkając na dwóch różnych kontynentach.

Łukasz Mius
Z LETNIEJ NA SYBERIĘ I DO KARSZOWA

Zdjęcia: Archiwum Łukasz Mius

Gąsiewiczowie i Bazalowie to polskie rodziny wywodzące się ze wsi Letnia w powiecie Drohobycz w województwie Lwów. W Letniej przed II wojną światową było mniej więcej 900 numerów domów ukraińskich i około 150 numerów domów polskich. Przed 1939 rokiem obie rodziny należały do zamożniejszych w okolicy, mieszkali w domach murowanych, uprawiali swoją ziemię, hodowali bydło i trzodę. Senior rodu Jan Gąsiewicz, dziadek mojej prababci Julii trudnił się ciesielstwem.

Jeden z braci prapradziadka Mikołaja Bazala walczył w legionach Józefa Piłsudskiego przeciwko Moskalom i poległ w 1914 roku. Po śmierci brata najstarszy Mikołaj Bazal otrzymał od rządu ziemię i pracę jako gajowy, pełnił też funkcję radnego w Drohobyczu.

Mikołaj i Maria z d. Gąsiewicz zgodnie z ówczesnym zwyczajem, zostali zeswatani przez swoich rodziców, ponieważ chodziło wtedy o ziemię wniesioną w posagu. Rodzice przed jej ślubem i bez jej zgody udali się do sądu celem spisania intercyzy. Maria nie chciała za męża Mikołaja, kochała przystojnego lecz biednego Ukraińca. Nikt jednak nie liczył się z jej zdaniem. Trzeciego stycznia 1929 roku na świat przychodzi córka Julia, a dwa lata później rodzi się jej brat Jan. Z czasem dzieci rozpoczynają naukę w polskiej szkole.



Ryc. 108. Od lewej kuzynka Tekla Bazal, Julia Bazal, Pieróg Rozalia, Taratajcio Justyna. Zdjęcie zrobiono w Karszowie

Kiedy w 1939 roku wybuchła II wojna światowa Mikołaj posiadający wówczas karabin, tzw. dryling czyli trzylufowa broń myśliwska, postanawia go ukryć w stodole, w otworze wyżłobionym w grubej drewnianej belce. Prawdopodobnie do końca wojny nikt nie znalazł tego karabinu.

Dziesiątego lutego 1940 roku, w noc mroźną i śnieżną, około godziny drugiej, kiedy wszyscy spali, rozległo się walenie do drzwi i głos męski nakazujący ich otwarcie. Jako pierwsza zerwała się ze snu Pelagia, babcia Julii, domownicy wyrwani ze snu stali boso, ojciec otworzył drzwi, a dzieci wtuliły się ze strachu w matkę. Do kuchni wtargnęli trzej mężczyźni, wśród nich rozpoznali dwóch Ukraińców, niegdyś dobrych sąsiadów natomiast trzeci, żołnierz z NKWD był z karabinem. Pozostali żołnierze okrążyli dom, wszyscy domownicy byli przerażeni, nie wiedzieli co się dzieje.



Ryc. 109. W środku Maria Gąsiewicz, po prawej Mikołaj Bazal ze znajomym

Żołnierz nakazał im w ciągu 15 minut spakować się, kazano zabrać ze sobą siekiery, piły do drzewa, ciepłe ubrania i chleb. Julia miała wtedy 11 lat, jej brat Jan 9. Tej pamiętnej nocy ich życie stało się dramatem, zostali zesłani na Sybir, była to tak zwana pierwsza zsyłka. Na podwórzu stały sanie, na nich się usadowili. W 30 stopniowym mrozie mama otuliła dzieci pierzyną zabraną z domu. Rozpoczęła się pełna strachu podróż w nieznane. Rodzina Julii i Jana była jedną z pierwszych zesłanych na Syberię. Decyzję o zesłaniu Bazalów podjęły władze, które uznały, że gajowy jako człowiek noszący mundur jest wrogiem Związku Radzieckiego.

Jeszcze tego samego dnia gospodarstwo Bazalów zostało zasiedlone przez ukraińską rodzinę z sąsiedztwa.

Po drodze dołączały kolejne sanie z zesłańcami. Po dotarciu do Drohobycza na stacji kolejowej ujrzeli pociąg towarowy i tłumy zmarzniętych i przerażonych ludzi, wielu z nich płakało ze strachu przed nieznanym losem. Wokół było pełno „sowieckich” żołnierzy. Wszystkich zapakowano do wagonów towarowych, było tam zimno i ciemno, każdemu przydzielono miejsce na piętrowej drewnianej pryczy. Prababcia Julia i jej brat Jan byli na górze. Przez zakratowane malutkie okienko widzieli tylko niebo, w kącie wagonu stał żeliwny piecyk tak zwana koza, służący do ogrzewania, obok trochę drewna, a nieco dalej otwór w podłodze służący jako toaleta.

Z wielkim trzaskiem zamknięto drzwi wagonu, ludzie ze strachu oraz w nadziei zaczęli śpiewać „Serdeczna Matko...”. Pociąg powoli ruszył, jechali w nieznane, skład od czasu do czasu zatrzymywano w polach, z dala od ludzi i zabudowań. Podczas jednego z postojów rozdano gliniasty czarny chleb, niestety



Ryc. 110. Julia i Marian Śliwińscy z dziećmi Krystyną i Janem



Ryc. 111. *Julia Bazal z bratem Jankiem
podczas pobytu na Syberii*



Ryc. 112. *Julia Bazal od lewej z przyjaciółką z Syberii*

niektórzy po jego spożyciu zachorowali. Cierpieli na dolegliwości żołądkowe, pierwszymi ofiarami zatrucia był mężczyzna i dziecko. Podróż w wagonie z nieboszczykiem trwała kilka dni i znów postój. Maria z synem Janem zbierali śnieg do garnka. Topili go na piecyku. Woda służyła do picia nazywali to „kipjatok”. Pilnujący pociągu „enkawudziści” kazali wyrzucić zwłoki w śnieg, bez godnego pochówku na pożarcie wilkom.

Po kilkudziesięciu dniach dotarli na Syberię, na północ Kraju Krasnojarskiego. Dalej podróżowali dwa tygodnie saniami nad rzekę Irtysz w głąb tajgi. Po dotarciu do celu rozdzielono rodziny, dzieci zostały pod opieką matek, mężczyzn odesłano do innego łagru. Zasiedlono ich w drewnianych barakach, każda rodzina otrzymała swoją pryczę, na szczęście nie brakowało tam drewna na opał.

Wszyscy otrzymali swoje zadania, dzieci zbierały gałęzie, a dorośli pracowali przy wycince drzewa, nazywano ich „lesoruby” (ludzie pracujący przy wycince drzewa). Pozyskane drewno od wiosny było spławiane barkami w dół rzeki. Julka zbierała gałęzie na kupki, Janek zostawał w baraku. Każdy musiał wyrobić dzienną normę, od tego zależało czy otrzymają rację żywnościową 300 gramów chleba. Nawet jeśli z matką pracowało jedno, dwoje czy troje dzieci to racja dzienna była i tak 300 gramów. Pili tzw. „kipiatok”, popularne też było powiedzenie: „Kto nie rabotajet tot nie kuszajet”. Życie w takich warunkach było tragiczne, cierpieli głód, atakowani byli przez wszy i pluskwy, często chorowali na tyfus.

Julka w noc zesłania zabrała ze sobą z Letniej swój krakowski gorset zdobiony błyszczącymi kolorowymi cekinami, był to prezent od babci Katarzyny. Cekiny odrywała od stroju, pod osłoną nocy wykradała się i szła kilka kilometrów przez las do jurt Tatarów krymskich, również zesłanych na Sybir, tam cekiny zamieniała na chleb. Tatarzy krymscy byli przyjaźnie nastawieni do Polaków, łączył ich ten sam los.

W 1941 roku ogłoszono amnestię dla Polaków przebywających na zesłaniu, dotyczyła też mundurowych. Rzeką Irtysz przedostali się do sowchozu we wsi Tuligany, tam Mikołaj zaczyna pracować jako płotnik (cieśla budowlany) a Maria karmi cielęta, jej praca miała dobre strony, bo często podkraδαła mleko dla dzieci, a to był już luksus, jeśli chodzi o napój.

Polskie dzieci chodziły na żebry do rosyjskich domów, czasem dostawały kawałek chleba, częściej były przeganiane. Wybierały ze śmietnika łupiny ziemniaków na zupe, w porcie wybierały z piasku ziarenka kaszy i zboża. Marynarze celowo dziurawili worki, aby wysypywało się ziarno, które mógł ktoś zbierać.

Mikołaj zaciąga się do I Armii Wojska Polskiego, podczas walk odnosi dwie ciężkie rany, jedną na Pomorzu, drugą zaś pod Berlinem.

Kiedy Maria zachorowała na tyfus umieszczono ją w szpitalu, a jej dzieci Julka i Jan zostają zabrane do „ochronki” czyli domu dziecka. Tam podejmują naukę w rosyjskiej szkole. Jan powtarza pierwszą klasę, a Julka trzecią, jednocześnie pracuje w kuchni, sprząta też u lekarza, który zaproponował jej adopcję oraz dalsze kształcenie. Niestety, wtedy musiałyby rozstać się z bratem i na zawsze pozostać na Syberii, więc odrzuca tę propozycję.

W „ochronce” starsi rosyjscy koledzy zmuszają Janka do wykradania jedzenia, co wiąże się z różnymi perypetiami. Oboje uczą się bardzo dobrze. W nagrodę Janek dostaje oprawiony portret Stalina, a Julka 10 rubli, niestety chłopiec nie był zadowolony z nagrody, bo wolałby pieniądze.

Po pewnym czasie do dzieci dociera wiadomość, że ich matka nie żyje. Julka natychmiast pisze rozpaczliwy list do swego ojca, który był na froncie.

W liście prosi go o pomoc w powrocie do rodziny w Letniej.

Po paru miesiącach ich starania się udają, lecz jako niepełnoletni nie mogą sami podróżować.

W drodze do domu towarzyszy Julce i Jankowi 90 letnia staruszka z Ukrainy. Droga jest daleka i trudna, a babuszka każe dzieciakom ciągnąć ze sobą starą zawilgotniałą pierzynę.

W Nowosybirsku miały przesiadkę, skończył się im prowiant przydzielony na cztery dni, są głodni i bez pieniędzy, a ponadto cały czas to oni musieli się opiekować babuszką a nie ona nimi.

Na dworcu Julia idzie do polskiego przedstawicielstwa prosić o pomoc. Polski żołnierz kpi z niej i składa nastolatce niemoralną propozycję, mówiąc, że jako szesnastolatka powinna już umieć zarabiać. Dziewczyna wychodzi z płaczem. Udaje się do rosyjskiego naczelnika stacji, ten zaopatruje dzieci i staruszkę w prowiant i nakazuje młodemu Rosjaninowi zaprowadzić ich na peron do stojącego pociągu. Dobrze wiedział, że w takim natłoku ludzi, dzieci same nie zdołają się wcisnąć do wagonu. Kiedy dojechali do Lwowa na peronie zjawiała się Ukrainka, bez słowa podziękowania zabiera staruszkę ze sobą, wyrzuca pierzynę i znika.

Dalej dzieci przedostają się do Drohobycza, i pod osłoną nocy ukrywając się przed banderowcami. Pieszko dostają się do Letniej, do babci Gąsiewiczowej. Tam ku wielkiej radości spotykają swoją mamę.

Jak się okazało Maria nie poddała się chorobie i wyzdrowiała, odziana w suknię zrobioną z jutowego worka, drogę z Syberii do Letniej pokonała w większości pieszo, ze Lwowa do domu szła aż trzy dni.

W 1945 roku Maria z dziećmi, całą rodziną Gąsiewiczów i Bazalów, wraz z pozostałymi Polakami na zawsze opuszczają swe rodzinne strony. Pociągiem już nie jako zesłańcy lecz przesiedleńcy udają się na Zachód. Ich droga kończy się w miejscowości Karszów,

powiat Strzelin. Mikołaj po powrocie z frontu odnajduje swoją żonę Marię z dziećmi. W 1947 roku Julia poznaje Mariana Śliwińskiego, też zesłańca sybirackiego. Po czasie biorą ślub. Na świat przychodzą kolejne pokolenia, jednym z nich jestem ja.

Z dawnych mieszkańców z Letniej, po dziś dzień w Karszowie żyje schorowany już 86 letni Janek, brat Julii i 90 letnia kuzynka Anna z domu Bazal.

Materiał opracowano na podstawie opowiadań dzieci Julii i Mariana Śliwińskich oraz video zapisu rozmowy z Marią Bazal z domu Gąsiewicz z 1993 roku.



Ryc. 113. Dowód osobisty Julii Śliwińskiej zd. Bazal



Ryc. 115. Legitymacja Związku Sybiraków i Kombatantka Mariana Śliwińskiego



Ryc. 114. Legitymacja Kombatantka Julii Śliwińskiej



Ryc. 116. legitymacja do Orderu Odrodzenia Polski



Ryc. 117. Legitymacja medalu za Odrę, Nysę i Bałtyk Mikołaja Bazala



Ryc. 118. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski Mikołaja Bazala

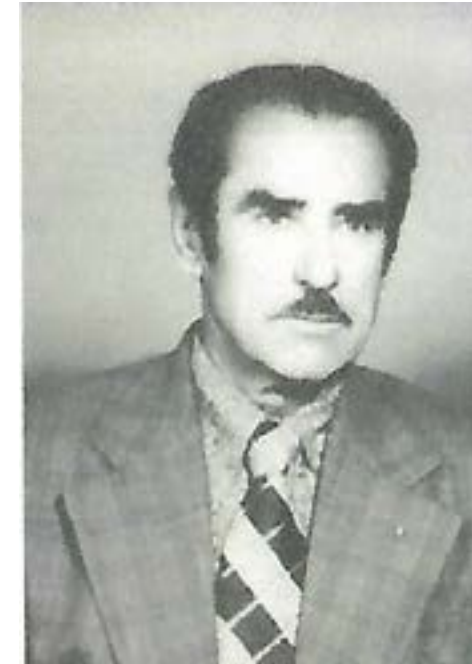
Agnieszka Drąg MÓJ PRADZIADEK

Zdjęcia: Archiwum Agnieszka Drąg

W tej pracy chciałabym opowiedzieć Wam historię mojego pradziadka Jana Drąga.

Wszystko zaczęło się ponad 100 lat temu kiedy mój prapradziadek Wincenty Drąg wraz z rodziną wywędrowali z Rzeczy Ziemiańskiej położonej na Lubelszczyźnie do Jugosławii w okolice Prnjawora. Zostali osiedleni w górach Bośni, na terenach mocno zalesionych. Tam właśnie w 1909r. urodził się mój pradziadek Jan Drąg. W domu rodzinnym pielęgnowano mowę ojczystą i mówiono po polsku, nie zapominając o tradycjach. Prapradziadek zawsze powtarzał „JAK PRZYJDZIE TAKI CZAS, WRACAJCIE DO OJCZYZNY”.

Pradziadek był bardzo ambitnym i upartym człowiekiem, dlatego udało mu się ukończyć 4 letnią szkołę zawodową, zdać egzamin mistrzowski w zawodzie garbarskim i otworzyć w Prnjaworze własny zakład garbarski, zakład szewski oraz sklep z obuwem. (W garbarni, surowe skóry z różnych zwierząt poddaje się procesowi technologicznemu, używając środków chemicznych i otrzymuje się skóry do produkcji obuwia, torebek, portfeli i kurtek). Tu też założył swoją rodzinę, żeniąc się z Marią Malinowską. W 1943r. urodził się mój dziadek Józef Drąg jako czwarte dziecko w rodzinie. W realizacji dalszych planów i marzeń przeszkodziła mu II Wojna Światowa.



Ryc. 119. Archiwum Agnieszka Drąg



Ryc. 120. Archiwum Agnieszka Drąg

Jako jeden z pierwszych wstąpił w szeregi partyzantki Marszałka Tito do I Proletariackiej Brygady był w niej zastępcą dowódcy. Wszystkie buty ze swojego sklepu oddał partyzantom. Wyróżniał się w walce i był jednym z lepszych żołnierzy.

W 1944r. Polski Batalion za bohaterskie osiągnięcia bojowe odznaczony został Krzyżem Walecznych, a mój pradziadek 20 maja 1945r. otrzymał order za waleczność i odwagę, nadany przez 53 Dywizję.

Kiedy wojna się skończyła pradziadek miał 36 lat. Został komendantem miasta Prnjavor, kierował warsztatami wojskowymi, był członkiem delegacji Polaków-osadników z okręgu Banja Luki (Bośnia). Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Jugosławii upoważnił go do załatwiania spraw związanych z repatriacją Polaków osadników z Jugosławii do Polski. Udał się więc do Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Warszawie, wtedy po raz pierwszy był w Ojczyźnie.

W lutym 1946r. załatwiał formalności w Belgradzie potem w Łodzi, a już w marcu wraz z innymi delegatami zajął się przeglądem gospodarstw rolnych w powiecie bolesławieckim, które miały być przeznaczone dla repatriantów. Te tereny zostały wybrane dlatego, że najbardziej przypominały ich rodzinne strony. Pradziadek dla swojej rodziny wybrał skromny dom w Nowogrodźcu, przy którym była garbarnia.

Za zasługi w czasie wojny otrzymał Krzyż Partyzancki, nadany w 1947r. Od 01 października 1948r. pełnił funkcję wiceburmistrza miasta Nowogrodziec. Otrzymał Złoty Krzyż Zasługi nadany dnia 07 marca 1948r. przez Naczelnika Wydziału odznaczeń Kancelarii Cywilnej Prezydenta, wydany Postanowieniem Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

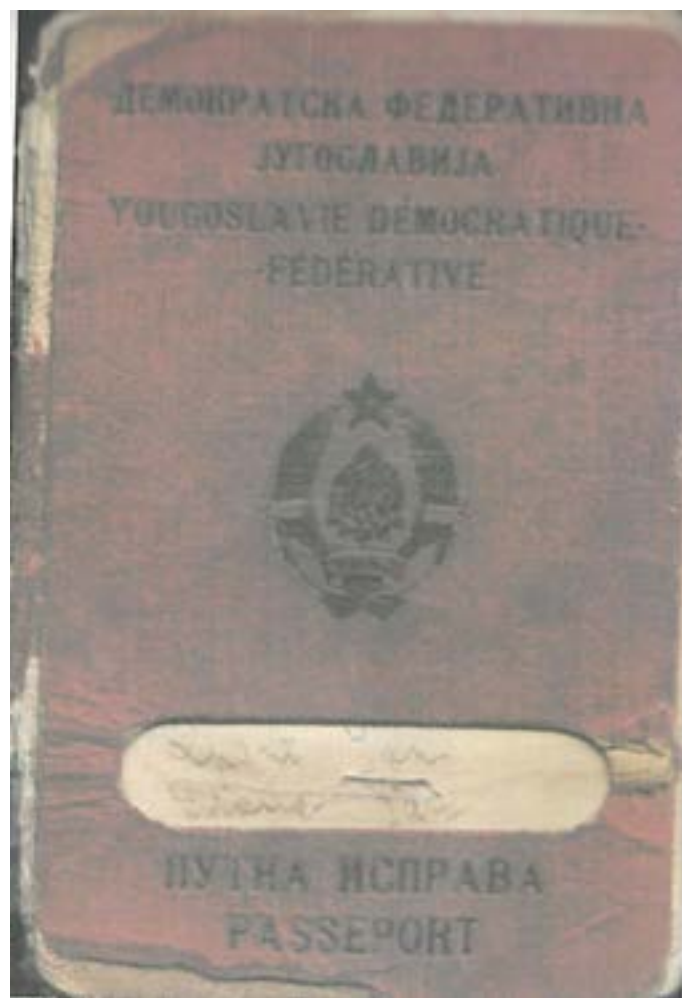
W dniu 24 maja 1949r. został mianowany Przewodniczącym Miejskiej Komisji Społecznej do walki z Analfabetyzmem na terenie



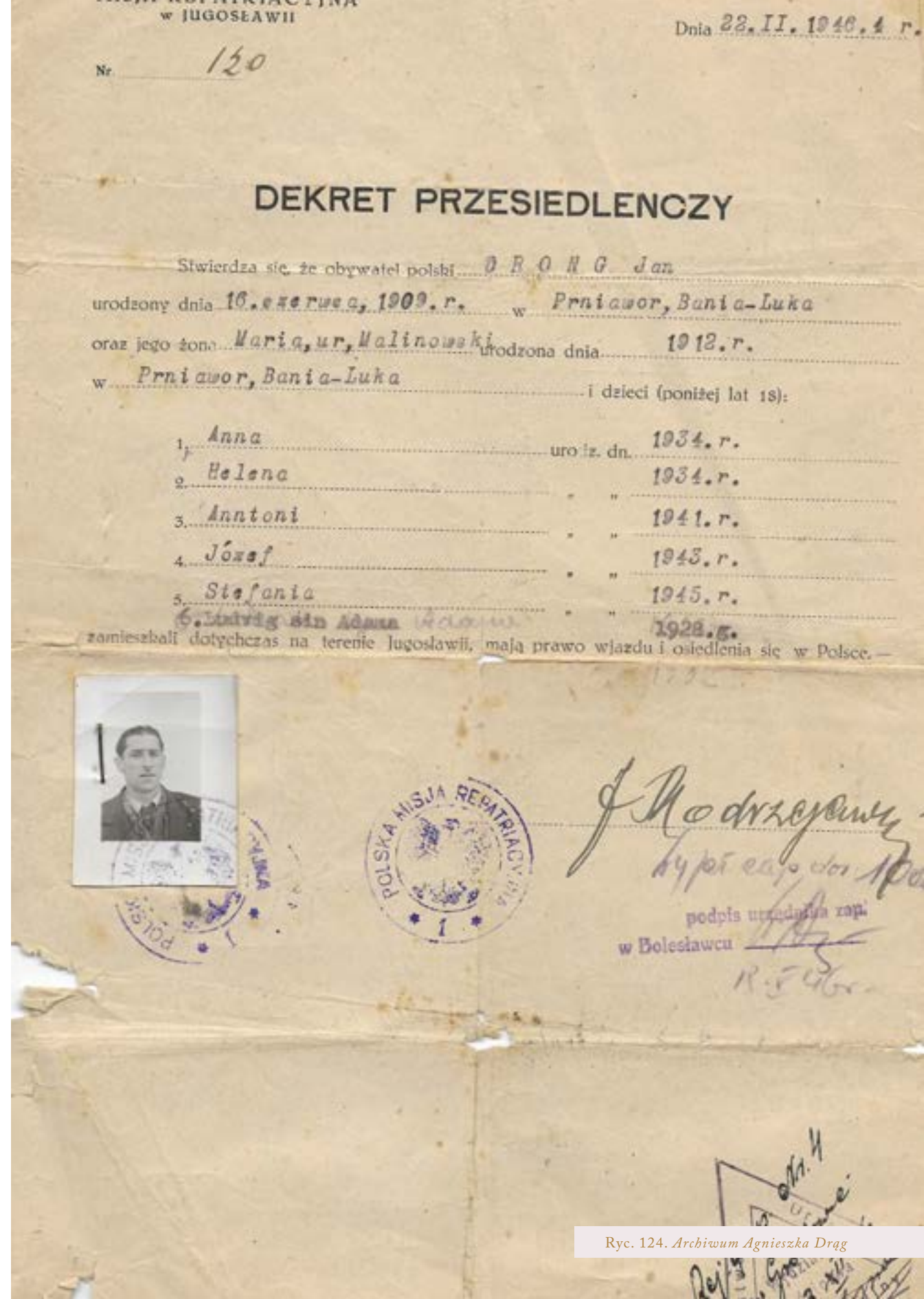
Ryc. 121. Archiwum Agnieszka Drąg



Ryc. 122. Archiwum Agnieszka Drąg



Ryc. 123. Archiwum Agnieszka Drag



Ryc. 124. Archiwum Agnieszka Drag



miasta Nowogrodziec. 14 lipca 1949r. został przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej w Nowogrodźcu oraz członkiem Powiatowej Rady Narodowej w Bolesławcu. Trzy miesiące później 24 października 1949r. został aresztowany i wywieziony do Wojewódzkiego Urzędu do Spraw Bezpieczeństwa Publicznego we Wrocławiu. Przez 100 dni w śledztwie traktowano go jak najgorszego zbrodniarza. Po śledztwie wywieziono go do więzienia na ul. Kleczkowskiej. Dopiero 29 kwietnia 1950r. wytoczono proces i skazano go na rok więzienia z art. 24 KK za czytanie jugosłowiańskich gazet. W chwili aresztowania zabrano mu „Złoty Krzyż Zasługi”, „Krzyż Partyzancki”, portfel, wartościowy zegarek i złoty łańcuszek. Tych rzeczy nigdy mu nie oddano.

Po powrocie do domu zajął się rodziną i pracą w zakładzie garbarskim. Podczas pobytu w więzieniu wszystkie jego stanowiska zajęli już inni...

W 1951r. Minister Obrony Narodowej nadał mu „Krzyż Partyzancki”.

W 1956r. przypomniano sobie o moim pradziadku. Do domu zaczęli przyjeżdżać dziennikarze, filmowcy, politycy, studenci piszący prace magisterskie. Otrzymywał odznaczenia zapraszano go na uroczystości Państwowe, spotykał się z młodzieżą szkolną, pisano o nim artykuły do książek i gazet.

W 1958r. pradziadek w końcu mógł przekazać do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie swoją furazerkę i przywieziony z Jugosławii sztandar bojowy Polskiego Batalionu (barwy narodowe Polski i pięcioramienna gwiazda-symbol partyzantki Marszałka Tito). Pradziadek przez 12 lat przechowywał go w swoim domu narażając się na poważne niebezpieczeństwo. Przechowywał również siodło ułańskie hitlerowskiego oficera, którego pokonał w strzeleckim pojedynku na zalesionym górskim stoku, przekazał go Izbie Pamięci Narodowej znajdującej się przy szkole nr. 8

w Bolesławcu.

W dniu 25 listopada 1965r. otrzymał jedno z najwyższych odznaczeń Jugosłowiańskich Order Zasługi dla Narodu ze Srebrnymi Promieniami.

W 1968r. Wytwórnia filmowa Czołówka wspólnie z reż. z Ljubjany nakręciła film pt. „Ścieżkami partyzantów Jugosławii”. Film był wyświetlany w kinie Forum, telewizji i szkołach bolesławieckich.

Dnia 9 września 1976r. otrzymał dyplom MEDALU „PRIMI INTER PARES”

W 1970 i 1981 otrzymał dyplomy uznania i chwały za uczestnictwo w wojnie, zwycięstwo nad faszyzmem oraz za przyjaźń między narodami.

W roku 1983 Został nagrany film „Drogi do Polski”. Rok później mój pradziadek zmarł. Zostały po nim pamiątki, dzięki którym mogę podzielić się z Wami ciekawą historią życia mojego pradziadka.



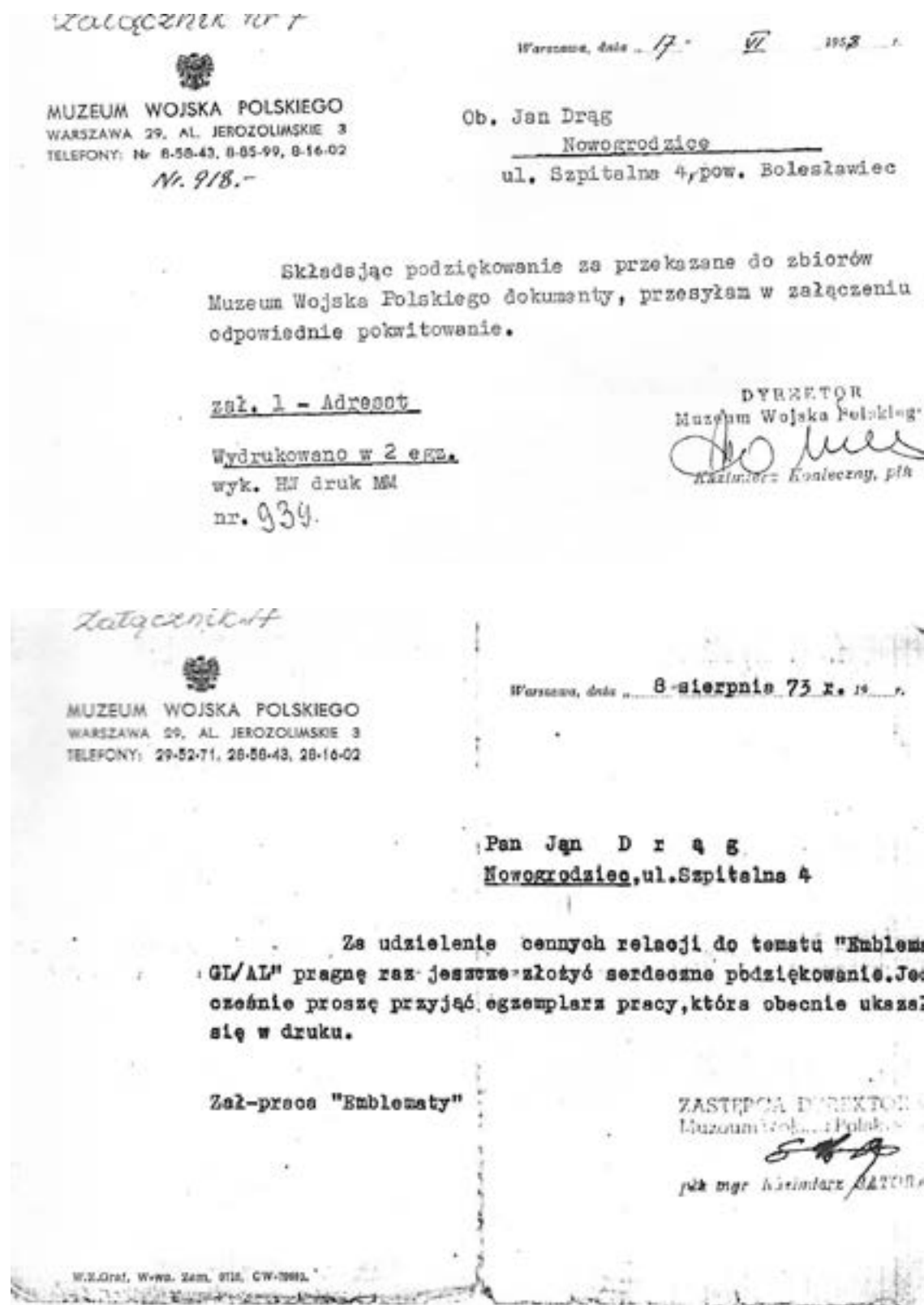
Ryc. 126. Archiwum Agnieszka Drag



Ryc. 127. Archiwum Agnieszka Drag



Ryc. 128. Archiwum Agnieszka Drag



Ryc. 129. Archiwum Agnieszka Drag



Ryc. 130. Archiwum Agnieszka Drag

PREDSEDNIK
SOCIJALISTIČKE FEDERATIVNE REPUBLIKE
JUGOSLAVIJE
JOSIP BROZ TITO

POVODOM DVADESETOGODIŠNJICE POBEDE
ANTIFAŠISTIČKE KOALICIJE

ZA UČEŠĆE U OSLOBODILAČKOJ BORBI
NARODA JUGOSLAVIJE
I DOPRINOS ZAJEDNIČKOJ POBEDI NAD
FAŠIZMOM ZA ZBLIŽAVANJE I PRIJATELJSTVO
MEDJU NARODIMA

DODELJUJE RATNOM DRUGU

Drag Jan

SPOMEN MEDALJU

U ZNAK PRIZNANJA I ZAHVALNOSTI

U BEOGRADU,
DANA 24. juna 1965.

PREDSEDNIK REPUBLIKE.

[Signature]



UKAZOM
PREDSEDNIKA
SOCIJALISTIČKE FEDERATIVNE REPUBLIKE JUGOSLAVIJE
JOSIPA BROZA TITA

BROJ 70 OD 28. juna

1965. GODINE

*za naročite zaslugu, stečene u borbi protiv zajedničkog neprijatelja -
fašističkog okupatora za oslobodjenje zemlje u toku narodnooslobodilačkog
rata naroda Jugoslavije*

ODLIKOVAN JE

Jan Vincentego Drag

ORDENOM
ZASLUGE ZA NAROD
SA SREBRNIM ZRACIMA
O ČEMU SE IZDAJE OVA POVELJA
KANCELARIJA ORDENA
U BEOGRADU 28. juna 1965. GODINE

zašest KANCELARIJE ORDENA.

[Signature]

Nikoła Kuduk

DOM Z NIEZWYKLE BOGATĄ HISTORIĄ

Zdjęcia: Archiwum Nikola Kuduk

Postanowiłam opisać historię mojego rodzinnego domu, ponieważ uważam, iż z pośród wszystkich domów w mojej miejscowości, to właśnie mój dom, jako nieliczny posiada bardzo bogatą historię, a osoby które w nim mieszkały, zadbały o to, aby nie zatarła się pamięć o dziejach Gościszowa na kartach historii. Na myśli mam pierwszego właściciela domu, w którym obecnie mieszkam oraz mojego wujka.

Może zacznę od początku. Dom rodzinny, w którym mieszkam, został zbudowany w roku 1895r. przez Niemca Oskara Behrensa. Dom znajduje się w miejscowości Gościszów pod numerem 159, dawniej Giessmannsdorf numer 338. Umiejscowiony jest w centralnej części mojej wsi, znajduje się obok wszystkich najważniejszych budynków użyteczności publicznej, tj., szkoła, kościół, świetlica wiejska, sklep, a także na przeciwko obecnie już tylko ruin zamku. (Zdjęcie nr 1, 3, 14)

Oskar Behrens dom ten wybudował własnoręcznie z pomocą rodziny, tuż obok domu swoich rodziców. Na szczęście Oskar budując swój dom nie szczędził na materiały budowlane. Wykorzystywał najlepsze metody w ówczesnym budownictwie. Dom ma ponad 800 m², zbudowany jest z cegły i kamienia. Może dlatego też dom przetrwał tyle lat i nadal jest w bardzo dobrym stanie, w przeciwieństwie do domu „pruskiego” jego rodziców,

który w roku 2013 musiał zostać rozebrany, ze względu na bardzo zły stan techniczny (Zdjęcie nr 5).

Oskar Behrens w swoim domu prowadził sklep wspólnie ze swoim bratem bliźniakiem i był to jeden z kilku sklepów w dawnym Giessmannsdorf. W jego sklepie można było kupić: artykuły spożywcze, tekstylne, buty, maszyny do szycia, radia a także zegarki. Obok sklepu znajdowały się dwa dystrybutory z paliwem, gdzie można było zatankować nieliczne jeszcze w tamtych czasach samochody (Patrz zdjęcie nr 1). Jego pasją były zegarki, które namiętnie naprawiał. To również on czuwał nad prawidłową pracą zegara na wieży kościoła. Nawiązując do zegara, niestety muszę powiedzieć, że odkąd sięgam pamięcią i z informacji które posiadam od moich dziadków, zegar na wieży kościelnej nie działa od roku 1976. W domu Oskara Behrensa znajdował się również niemiecki urząd pocztowy. Nie bez przyczyny znajdował się właśnie w tym budynku, gdyż Oskar w swoim sklepie sprzedawał wydawane przez siebie pocztówki, na których znajdowały się najciekawsze miejsca i budowle ówczesnego Giessmannsdorf (Zdjęcie nr. 6,7,8,9,10). Kartki bardzo dobrze się sprzedawały, turyści przyjeżdżający do tej miejscowości kupowali i ślali pozdrowienia z Giessmannsdorf. Prawie na każdej wydanej przez niego pocztówce, dotyczącej przedwojennego Gościszowa znajdował się także jego dom. A pisząc, że to jego dom, mam na myśli mój dom rodzinny.

Uważam, że należą mu się ogromne słowa uznania. Bo to przecież dzięki niemu kolejne pokolenia, jak również ja sama, na wydanych przez niego kartkach pocztowych możemy poznać historię i zobaczyć jak wyglądała nasza miejscowość przed wojną. To właśnie Oskar Behrens zilustrował piękno naszego przedwojennego Gościszowa. Niestety teraz możemy tylko zobaczyć ruiny przepięknych budowli, które tak drastycznie ucierpiały podczas wojny i już nigdy nie zostaną odbudowane.

Oskar i jego żona Elisabeth doczekali się tylko jednej córki, która

urodziła się w 1902 r. a na imię miała Elsa. W 1925r. w świątyni w Gościszowie Elsa wyszła za mąż za Otto Claussa. Zamieszkali w domu Behrensów, gdzie z czasem przejęli prowadzenie sklepu. Urodziły im się dwie córki Marianna i Brunhilde oraz syn Hans. W roku 1934 roku na sepsę umiera ich syn Hans, mając zaledwie osiem lat (Zdjęcie nr 11). W lipcu 1946r. po zakończonej wojnie, cała rodzina Behrens oraz Clauss jak również wszyscy inni Niemcy musieli opuścić polski już Gościszów. Ostatecznie los rzucił niemiecką rodzinę w pobliże miasta Hanower.

Najprawdopodobniej w roku 1945 mój dom miał już swojego nowego właściciela. W przeciągu kilku lat, intensywnie zmieniali się jego właściciele, aż do momentu kiedy w latach 50-tych dom zaczęli zamieszkiwać pracownicy poczty.

Tak właśnie, w moim domu od początku jego istnienia zawsze mieściła się poczta. Wcześniej w niemieckim Giessmannsdorf była poczta niemiecka, a po wojnie działała Poczta Polska. Nie inaczej też było ze sklepem. W lewej część domu, znajdował się sklep GS, zmieniali się tylko jego pracownicy. Cała lokalna społeczność, która przybyła po wojnie do Gościszowa głównie z terenu Jugosławii, dokładnie pamięta słynny na całą okolicę napad na sklep GS. Wtedy nie było telefonów, tak jak teraz. Na terenie wsi, która ciągnie się na odcinku 10 km, były tylko trzy telefony. Jeden telefon znajdował się na poczcie, ale złodzieje przecięli kable telefoniczne, aby nikt nie mógł zadzwonić po pomoc, drugi był na stacji PKP skąd zadzwoniono po milicję. Złodzieje byli uzbrojeni i nie wahali się otworzyć ognia do ludzi. Udało im się uciec, ale swój łup porzucili w lesie. Z czasem milicja znalazła także złodziei.

Wielki dom został podzielony na część mieszkalną oraz część użyteczności publicznej, w której mieściła się niezmiennie poczta, a także część działalności gospodarczej bądź społecznej. W połowie lat sześćdziesiątych sklep został przeniesiony do świetlicy wiejskiej, a jego miejsce zastąpiła klubokawiarnia tzw. „Klub Rolnika”.

W klubie można było kupić coś do picia, skosztować domowych ciast, można było poczytać książkę, pograć w gry, było też radio no i znajdował się także telewizor, których na wsi było w tym czasie tylko kilka. Przez jakiś czas w budynku tym wyświetlane były filmy przez kino objazdowe, a wieczorami organizowano wieczorki taneczne. W roku 1972 klub został przeniesiony do świetlicy, a w jego miejscu otworzono sklep, który mieszkańcy nazywali „żelaznym”. Sklep był bardzo dobrze zaopatrzony w artykuły metalowe potrzebne na roli i w domu. Cieszył się dużym powodzeniem, dlatego przyjeżdżali na zakupy mieszkańcy z innych miejscowości. I tak działał do roku 1985, po czym przez ok. 5 lat pomieszczenie to służyło zespołowi folklorystycznemu „Gościszowianki”. Następnie na początku lat 90-tych przez okres jednej dekady w pomieszczeniu tym działała pijalnia piwa o nazwie „Bar Uniwersalny” (Zdjęcie nr 12).

Na chwilę wrócę i nawiążę jeszcze do działalności poczty. Tak jak wspominałam wcześniej, część domu była przeznaczona na działalność urzędu pocztowego, a piętro domu na mieszkania naczelników w nim pracujących. Muszę powiedzieć o tym, że lokatorów w tym domu jak i naczelników poczty było wielu, ale jednym najdłużej pracującym i mieszkającym w tym domu była moja babcia Julianna Stefan. Pracę na poczcie zaczęła w roku 1973 i pracowała przez ponad 28 lat, aż do roku 2001, kiedy Urząd Poczty Polskiej w Gościszowie został zamknięty. Przygodę związaną z pracą na poczcie przeżyli również mój dziadek Kazimierz oraz moi dwaj wujkowie, którzy przez krótki czas pracowali w urzędzie jako listonosze. Chciałabym pochwalić się w tym miejscu, iż członkowie mojej najbliższej rodziny a jednocześnie mieszkańcy domu z pod numeru 159 w Gościszowie, nieustannie angażują się i biorą czynny udział w procesie integracyjnym mieszkańców naszej wsi, oraz przyczynili się do podtrzymywania tradycji przywiezionych po wojnie do Polski.

Moja babcia Julianna od ponad 35 lat śpiewa pieśni

ludowe wraz z Zespołem Folklorystycznym „Gościszowianki”. Na koncie mają wiele osiągnięć nie tylko w regionie, ale też w skali ogólnokrajowej oraz poza granicami naszego kraju. W ich repertuarze są przede wszystkim pieśni ludowe, ale nie tylko. Zespół otrzymał również wiele nagród za prezentowanie różnego rodzaju widowisk teatralnych. W Gościszowie działa także zespół dla dzieci i młodzieży „Mali Gościszowianie”, w którym moja mama Barbara, jak również ja występowałam. Moja miejscowość jest bardzo bogata kulturowo, istniało i nadal działa wiele grup, które nieustannie przekazują młodemu pokoleniu tradycje, a jednocześnie działalność ich cieszy bardziej wiekowych mieszkańców. Mój najmłodszy wujek Adrian, był swego czasu jednym z członków grupy Herodowej. Grupa ta wielokrotnie otrzymywała prestiżowe nagrody na ogólnopolskich festiwalach, ale znana jest także za granicą naszego kraju. Mój wujek w tej grupie, wielokrotnie odbierał indywidualne nagrody za rolę „Żyda”, którą odgrywał. Poza tym moi wujkowie a mam ich aż czterech, którzy tak jak ja wychowali się w tym samym domu, w którym ja nadal mieszkam, zawsze angażowali się w życie społeczne Gościszowa. Nie tylko w działalność kulturową, czy społeczną, również rozrywkową i sportową.

Moim zdaniem historię domu tworzą osoby w nim mieszkające oraz ich działalność, dzięki której pewne zdarzenia oraz fakty mogą mieć wpływ na poznanie historii przez następne pokolenia. Dlatego też w swojej pracy chciałam nawiązać do dwóch szczególnych osób, dzięki którym mamy dostępne i namacalne materiały (dokumenty) z wcześniejszych dziejów. Mowa o Oskarze Behrensie oraz moim wujku Krzysztofie Stefan. Ten pierwszy jako jedyny w przedwojennym Gościszowie uwiecznił obraz dawnego Giessmannsdorf na swoich pocztówkach, natomiast mój wujek opisał przedwojenne i powojenne dzieje Gościszowa oraz jego mieszkańców. Wydał on również kilka albumów, a wszystko to po to, aby pamięć o Gościszowie i jego mieszkańcach nigdy się nie zatarła, a kolejne pokolenia mogły poznawać jego historię. Jest to

o tyle uważam ciekawe, ponieważ sąsiednie miejscowości nie mogą pochwalić się takimi zbiorami. A co dla mnie najważniejsze, obaj Panowie wywodzą się z domu, który jest dla mnie rodzinnym.

W roku 2001 w budynku o numerze 159 przestaje działać Urząd Pocztowy, nie jest prowadzona także żadna inna działalność gospodarcza na parterze tego domu. Mieszkanie na piętrze wynajmują od Urzędu Gminy moi dziadkowie, jako że moja babcia była ostatnim naczelnikiem tej poczty i mieszkała w nim nieprzerwalnie przez 28 lat. W roku 2003 dochodzi do sprzedaży tego domu. Dom był bardzo wyeksploatowany i zniszczony, ponieważ nigdy nie miał swojego właściciela, który by zadbał o jego renowację. Dom od Urzędu Gminy wspólnie kupili moi dziadkowie oraz rodzice. Został on podzielony w pionie na dwie części. Ja wraz z moim bratem Maciejem oraz moimi rodzicami zamieszkujemy lewą część domu. Tam gdzie ostatnio działał bar, obecnie mamy kuchnię i duży salon, natomiast na piętrze pokoje sypialne. Dziadkowie zajęli prawą stronę domu, tam gdzie była poczta i połowę piętra. Od dnia w którym został zakupiony, trwa nieustanna rewitalizacja tego jakże pięknego domu, choć pracom nie widać końca. Z paskudnego i straszącego budynku w środku wsi wspólnymi siłami wykonaliśmy mnóstwo prac, m.in. został wymieniony dach oraz poprawione mury, które są podstawą aby ten budynek mógł służyć jeszcze wielu pokoleniom.

Dzięki mojej rodzinie, a głównie za sprawą mojego wujka Krzysztofa, po kilkunastu latach po wojnie, poznałam pierwszych właścicieli niemieckich tego domu. Mój wujek odnalazł kontakt z ostatnią żyjącą już z tej rodziny Brunhilde Steinike, córką Otto Claussa i wnuczką Oskara Behrensa. Ostatnią swoją wizytę w naszym domu odbyła we wrześniu 2012 r. (Zdjęcie nr 13.) Jej dziadkowie i rodzice nigdy po wojnie nie przyjechali do Gościszowa. Ona wcześniej była raz, w połowie lat 90-tych. Wtedy mieszkanie na piętrze aż tak bardzo się nie zmieniło od

czasów powojennych, kiedy przyjechała z ostatnią wizytą zmiany były ogromne. Dziś dom ten wygląda myślę lepiej niż za czasów niemieckich. Brunhilde przywiozła ze sobą album rodzinny ze zdjęciami sprzed wojny. Dzięki nim mogliśmy poznać ludzi, którzy ten dom zbudowali i żyli w nim przez blisko 51 lat.

Mam nadzieję, że moja praca zaciekała Państwa. Ja sama uważam historię mojego domu i ludzi w nim mieszkających, za bardzo interesującą, dlatego też celowo wybrałam ten temat. A opis ten zostanie w domowej kronice, aby mógł służyć kolejnym pokoleniom, jako pigułka wiedzy dotycząca dziejów domu pod numerem 159 w Gościszowie (Zdjęcie nr 3.)

Praca została napisana na podstawie:

1. Wspomnienia i relacje ustne zebrane od członków mojej rodziny.
2. Krzysztof Stefan, *Gościszów 1233-2013*, Gościszów 2014r.



Ryc. 133. Rodzina Kuduk i Stefan



Ryc. 134. Dom pod numerem 338 w Giessmannsdorf



Ryc. 135. Dom pod numerem 159 w Gościszowie



Ryc. 136. Rodzina Behrens i Clauss, 1927 r.



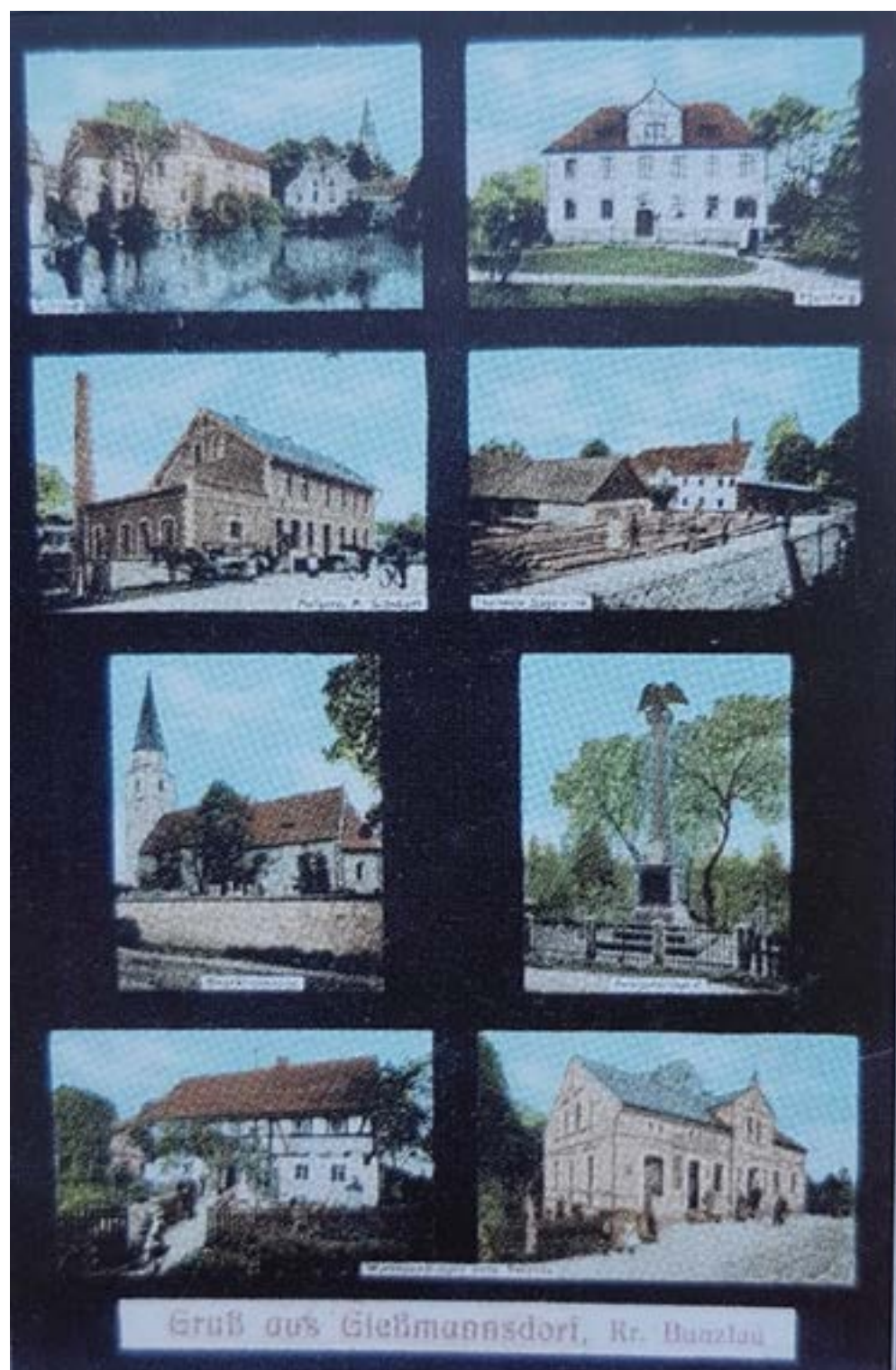
Ryc. 137. Hans Clauss przy swoim sklepiu



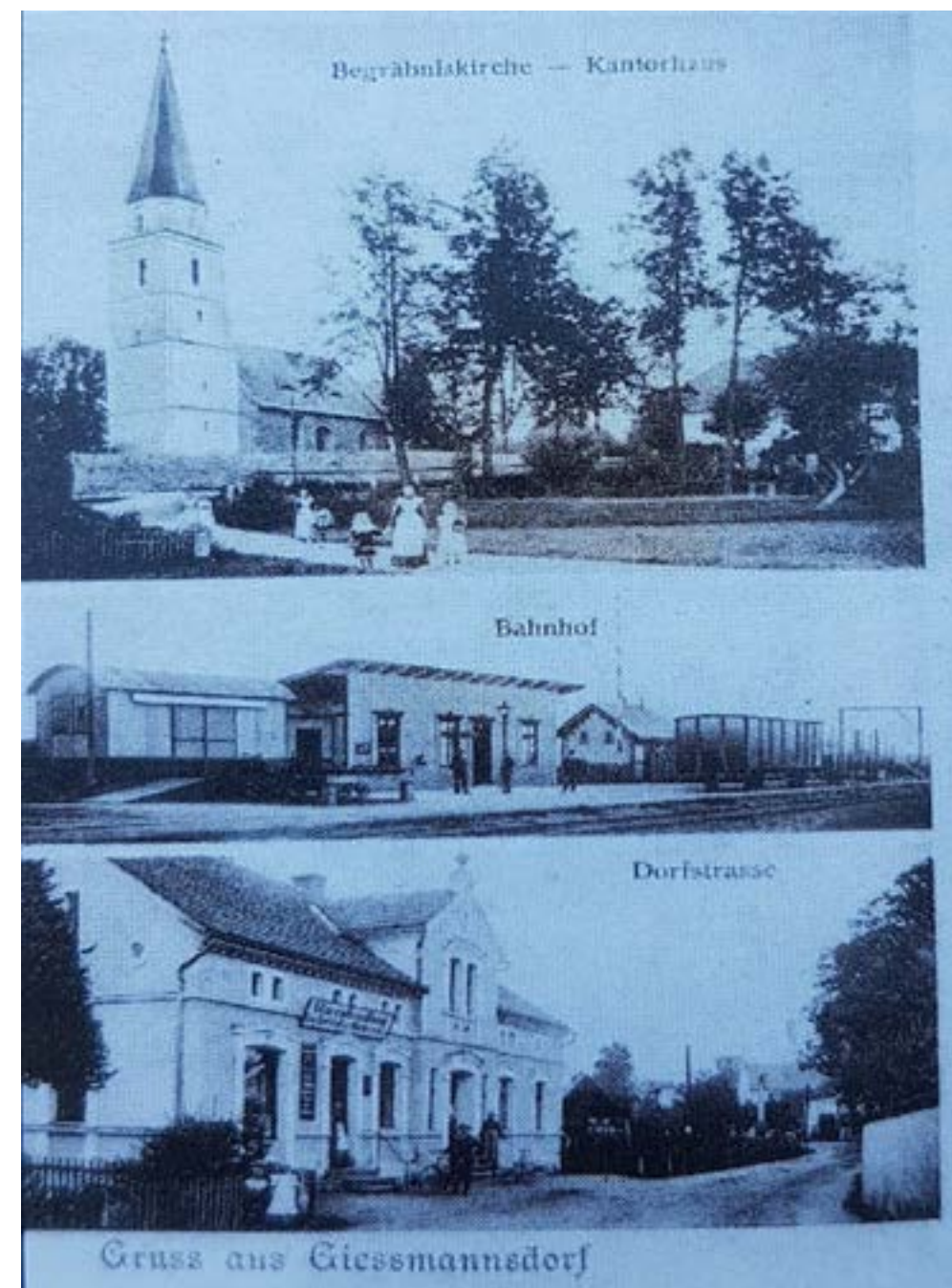
Ryc. 138. Dom rodzinny Behrens



Ryc. 139. Stan domu z 2003 r.



Ryc. 140. Pocztówka Oskara Behrensa



Ryc. 141. Pocztówka Oskara Behrensa



Ryc. 142. Pocztówka Oskara Behrensa



Ryc. 143. Pocztówka Oskara Behrensa



Ryc. 144. Panorama na dom Gościszów 159



Ryc. 145. Pocztówka Oskara Behrensa



Ryc. 146. Wspólne zdjęcie z wizyty w 2012r. Od prawej
mój dziadek, moja mama, Margarete Letzner- mieszkanka
Giessmansdorf, W czarnej kurtce Brunhilde Steinike (Clausse) i jej niemieccy znajomi.

Dariusz Czajkowski

Z JUGOSŁAWII DO MILIKOWA - HISTORIA MOJEGO PRADZIADKA PIOTRA

Zdjęcia: Archiwum Dariusz Czajkowski

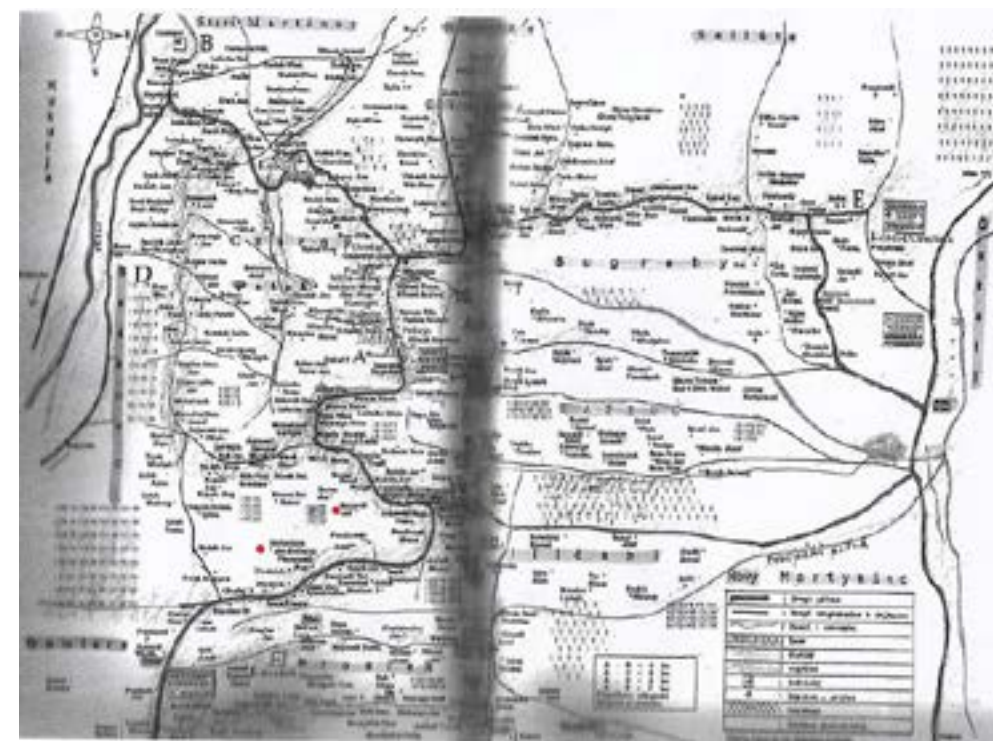
Moja rodzina jest bardzo liczna i nie sposób dotrzeć do wszystkich, gdyż mieszkają w Polsce, na terenach byłej Jugosławii, w Australii, a także w Kanadzie oraz w Wielkiej Brytanii. Z większością nie utrzymujemy kontaktów, a o ich losach obecnie dowiadujemy się od innych członków rodziny, bądź z portali społecznościowych.

Moi wszyscy pradziadkowie urodzili się w byłej Jugosławii, gdzie wyemigrowali ich rodzice zamieszkujący ziemię krakowską, rzeszowską i tereny dzisiejszej Ukrainy. Wyemigrowała tam też moja praprababcia Anna z domu Skrypnik ze swoimi rodzicami, którzy mieszkali w Nowosiółce (Nowej Siółce – w różnych dokumentach różnie jest napisane) w zaborze rosyjskim w pierwszych latach XX wieku.

Po szczęśliwie odbytej podróży dotarli na tereny bałkańskie, gdzie została przydzielona im ziemia, wypłacona zapomoga na tzw. start oraz okres 5 lat na postawienie domu i uprawę ziemi.

Miejsce, które zostało im dane we wsi Nowy Martyniec nie nadawało się pod żadną uprawę, a tym bardziej na postawienie domu. Działka porośnięta była lasem z ogromnymi drzewami, których do tej pory nie spotkali. Pierwszą noc spędzili w dole wykopanym między drzewami i nakryci gałęziami, aby w ten sposób ochronić

się przed dzikimi zwierzętami. Dachy nad głowami nie mogli im użyczyć inni nieliczni mieszkańcy Nowego Martynca, gdyż ówczesne domy składały się z jednej izby. Większość mieszkańców było w podobnej sytuacji co moja praprababcia i jej najbliżsi.



Ryc. 147. Mapa Nowego Martynca – miejsca urodzenia pradziadka Piotra, czerwona kropką oznaczyłem domy rodzinne praprababci Anny oraz prapradziadka Stefana

Dzięki ciężkiej pracy całej rodziny zamieszkali w drewnianym domu, a po kilku latach dzieci założyły własne rodziny. Moja praprababcia wyszła za mąż i razem z mężem Stefanem, doczekali się dziesięciorga dzieci. Mój pradziadek Piotr był najmłodszy.

W 1942 roku praprababcia owdowiała, gdyż prapradziadek zachorował na gruźlicę. Wówczas była to choroba nieuleczalna. Nie posiadano na nią lekarstwa, a wyjazd do miasta do lekarza był niebezpieczny ze względu na panującą wojnę.

Ze śmiercią i pogrzebem mojego prapradziadka Stefana wiąże

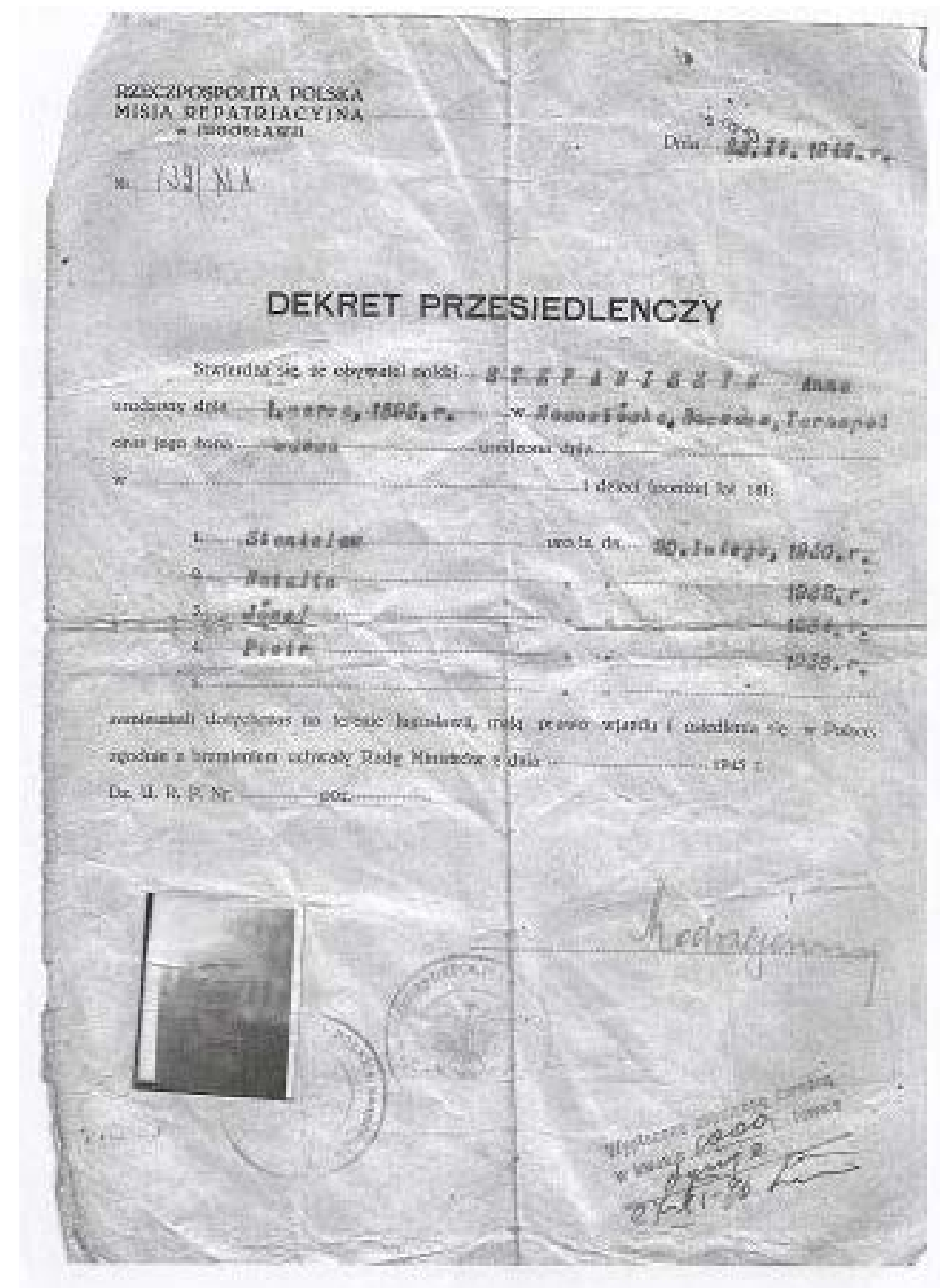
się pewna historia opowiadana w mojej rodzinie. W kondukcie pogrzebowym trumnę przewożono na wozie zaprzężonym w konie. Sąsiedzi i przyjaciele szli przed powozem, natomiast rodzina za wozem wiozącym trumnę. Mój pradziadek był mały, pogoda upalna, bo mimo że pogrzeb odbywał się wiosną, to na Bałkanach doskwierał już upał i po przejściu kilkuset metrów, pradziadek Piotr narzekał na zmęczenie. Wówczas jeden z braci posadził go na wozie, na którym jechała trumna, a ten usiadł sobie na niej i tak dojechał do cmentarza. Sam opowiadał, że ojca nie pamięta, ale pamiętał moment pogrzebu, kiedy jechał na trumnie z orszakiem pogrzebowym.

Po wojnie na podstawie dekretów przesiedleńczych praprababcia z dziećmi postanowiła wyjechać do Polski. Nigdy w Polsce nie była, ale to rodzinny kraj jej rodziców i dziadków i postanowiła, że skoro jest Polką i w jej żyłach płynie polska krew, to chce tam osiąść i resztę swoich lat spędzić w Polsce. W Jugosławii został jej syn Michał, gdyż ożenił się i postanowił zostać tam na stałe. Poza tym nie znał też innego życia, bo urodził się i całe swoje życie spędził w Nowym Martyńcu i to był dla niego dom.

Nie byli w tej podróży osamotnieni, ponieważ na ziemię polskie wracało bardzo dużo mieszkańców Nowego Martyńca i okolicznych wiosek.

Do Polski dotarli w czerwcu 1946 roku. Został im przydzielony dom w Milikowie, który wówczas był zamieszkany jeszcze przez Niemców, którzy sami oczekiwali swoich dekretów przesiedleńczych na wyjazd do Niemiec. Razem z dwoma bezdzietnymi małżeństwami w jednym domu mieszkali prawie rok, kiedy w końcu 29.06.1947 r. oficjalnie dom i gospodarstwo przeszło na rzecz mojej rodziny.

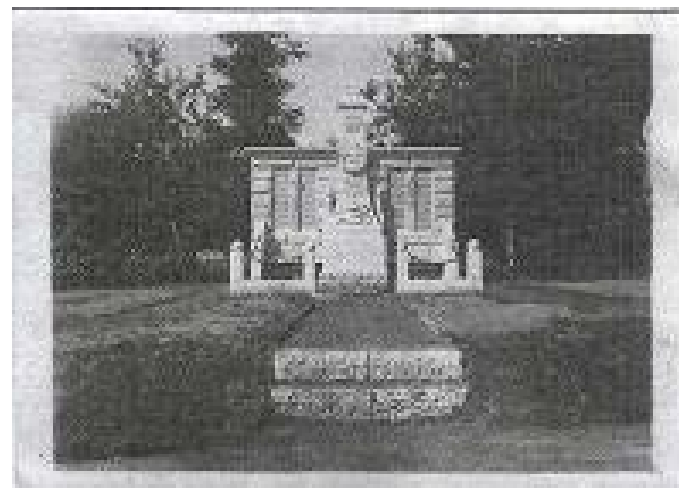
W Milikowie zamieszkali też inni mieszkańcy Nowego Martyńca, dzięki czemu to miejsce nie wydawało się obce.



Ryc. 148. Dekret przesiedleńczy praprababci Anny Stefaniszyn, str. 1



Ryc. 149. Niemieccy lokatorzy w domu mojego pradziadka w Milikowie



Ryc. 151. Pomnik niemiecki postawiony na zakończenie I wojny światowej, który znajdował się obok domu rodzinnym w Milikowie, zburzony przez władze państwowe

Mój pradziadek Piotr ukończył 6 klas w miejscowej szkole podstawowej, a następnie 2 klasy szkoły wieczorowej, a w wieku 16 lat rozpoczął swoją pierwszą pracę górnika w kopalni „Bolko”.



Ryc. 150. Praprababcia Anna (w środku) z dziećmi i ich małżonkami



Ryc. 152. Odznaczenia otrzymane przez pradziadka Piotra za pracę w kopalni „Bolko”



Ryc. 153. Legitymacja pracownicza pradziadka Piotra



Ryc. 154. Portret ślubny prababci Katarzyny i pradziadka Piotra

Pradziadek Piotr po przejściu na emeryturę zajmował się gospodarstwem. Hodował krowy, byki, świnie, konie oraz ptactwo domowe. Bardzo lubił to robić. Dużo czasu spędzał też ze swoimi wnukami.

13.11.1960 r. pradziadek Piotr ożenił się z Katarzyną Kotwicą, moją prababcią. Mieszkała w Parzycach, a urodziła się w Rakowcu w Jugosławii. Jej mama zajmowała się domem, a ojciec był kowalem i z zamiłowaniem hodował pszczoły.

Doczekali się dwójki dzieci. Syna, Antoniego, urodzonego w 13.06.1961 roku oraz córki, Józefy, urodzonej w 12.02.1963 roku – mojej babci. Babcia Józefa wyszła za mąż za mojego dziadka Stanisława, którego rodzice również pochodzą z Nowego Martyńca.



Ryc. 155. Babcia Józefa (niemowlę), prababcia Katarzyna (z brzegu) z siostrą oraz szwagrem



Ryc. 156. *Praprababcia Anna, oraz moja babcia Józefa i jej brat Antoni*



Ryc. 157. *Ślub babci Józefy i dziadka Stanisława, z tyłu rodzice moich dziadków, 1982 r.*

Mój pradziadek Piotr już nie żyje, ale często słyszę w domu, jak o nim się rozmawia oraz wspomina. Mama mówi, że był najlepszym dziadkiem na świecie i nigdy nie chciałaby mieć innego, bo który dziadek mimo że był łysy dałby zapinać sobie spinki na pojedynczych włosach. Często chodzimy do niego na cmentarz zapalić świeczkę i pomodlić się za jego duszę. Choć byłem mały, jak zmarł i nie pamiętam mojego pradziadka, to czuję, jakbym go znał i wiedział o nim wszystko, a to dzięki opowieściom mojej mamy, babci Józefy oraz prababci Katarzyny.

Bibliografia:

1. Bujak Jan, Galicjanie i Serbowie, cz. III, w Bośni, Jelenia Góra 2014 – mapy;
2. zbiory własne – zdjęcia, pamiątki;
3. wspomnienia prababci Katarzyny Stefaniszyn i babci Józefy Górak;

Patrycja Chwaszcz
HISTORIA EMIGRACJI MOICH PRADZIADKÓW

Zdjęcia: Archiwum Patrycja Chwaszcz

Historia emigracji moich pradziadków Julii i Feliksa Konckich, zaczęła się od wyjazdu ich rodziców z grupą polskich rolników do Bośni. Trudne losy łączyły i przeplatały się na kanwie historii moich pradziadków i ich przeżyć.

Pragnę przedstawić życie na emigracji moich pradziadków, którzy urodzili się w miejscowości Nowy Martyniec w Bośni. Miejscowość ta jako pierwsza została założona na górzystych terenach leśnych w rejonie „prnjavorskim”. Zanim uporali się z karczowaniem i wybudowali domy mieszkali w szałasach, które wzmacniali gliną. Pierwsze plony zebrali po dwóch latach. Mieli nadzieję, że zgodnie z zapewnieniem władz lokalnych, po dziesięciu latach będzie to ich własne pole uprawne, które przygotują dla siebie i swoich dzieci.

Mój pradziadek Feliks Koncki urodził się 6 kwietnia 1909 roku w Nowym Martyńcu, a prababcia Julia Kumosz urodziła się 20 maja 1910 roku.

Dzieciństwo i młodość moich pradziadków przypadło na okres przed pierwszą wojną światową. Ziemia uprawna należąca do rodziny Konckich położona była na terenie górzystym. Żeby wyżywić rodzinę obowiązek pracy rozłożony był na wszystkich członków rodziny według możliwości wiekowych i sił wszystkich



Ryc. 158. Nowy Martyniec z widoczną rzeką Vrbas

dzieci. Pracowali w gospodarstwie. Uprawiali len, z którego czesali włókna i tkali płótno lniane dla potrzeb własnych. Szyli koszule, spodnie, pościel i obrusy. Ze słabszej przędzy robili koce, chodniki i inne plecionki. Z nasion lnu i konopi tłoczyli olej jadalny. Uprawiali proso i grykę na kaszę, kukurydzę na mąkę i ziarno. Zakładali sady i winnice. 3 lipca 1919 roku prababcia Julia przystąpiła do Pierwszej Komunii Świętej, ukończyła dwie klasy, umiała czytać i pisać. Pradziadek Feliks ukończył czteroletnią szkołę w latach 1918-1922. Była to Narodna Osnova Skola.

Uczyli się pisać i czytać w języku serbsko-chorwackim, uczono cyrylicy i łaciny. Język polski zabroniony był w szkole i urzędach, nie wolno było nawet rozmawiać po polsku. Nauczanie dzieci pisania i czytania po polsku odbywało się po kryjomu przez starszych.

Od 13 kwietnia 1930 do 13 października 1931 pradziadek odbył obowiązkową służbę wojskową w królewskiej armii i otrzymał



Ryc. 159. Pradziadkowie Julia i Feliks Koncycy

stopień kaprała.

Przodkowie naszych pradziadków bardzo dbali o przekaz wiary katolickiej dla swoich dzieci. Uczyli pacierza, katechizmu, pieśni kościelnych i patriotycznych. Moi pradziadkowie pobrali się 22 listopada 1933 roku. W Nowym Maryńcu urodziło im się pięcioro dzieci: Józefa, Helena, Jan, Józef i Antonina.

Najtrudniejszy okres ich życia przypadł na lata II-giej wojny światowej. Wtedy Jugosławia padła ofiarą faszystowskiej agresji. Polakom w tym czasie było bardzo trudno. Musieli wykonywać rozkazy czetników, ustaszy, domobranów w zależności pod których okupacją się znaleźli. Polacy za to, że byli katolikami, byli źle traktowani przez ludność serbską wyznania prawosławnego. Pradziadek prowadził tajne nauczania języka polskiego i rachunków. Odbywało się to w ten sposób: dzieci miały tabliczki i pisaki, zbierała się grupa, przeważnie w lesie i gdzie kto mógł przysiadł, pisał i rachował, pod opieką pradziadka. Żeby nie budzić podejrzeń zapisany tekst na tabliczkach szybko zmazywano. Podczas lekcji w szkole przyszli czetnicy, wydali rozkaz żeby uczniowie złożyli w jedno miejsce swoje torby i poszli do domu, po czym polali naftą i podpalili szkołę, wszystko spłonęło. Skończyła się nauka.

1 grudnia 1943 roku pradziadek wstąpił do 18. Brygady 53. Dywizji partyzantów, którą utworzono w Nowym Martyńcu. Polacy stoczyli wiele walk zakończonych zwycięstwem, byli zorganizowani, odpowiedzialni i odważni. Pierwszy chrzest bojowy przeszli nad rzeką Vrbas, walcząc z ponad trzema tysiącami Niemców i ustaszów. Zdołali się przebić brawurowym atakiem, za który w dniu osiemnastego maja otrzymali sztandar bojowy. Sztandar wręczył polskim partyzantom dowódca 11 Dywizji Wojsk Ludowowyzwoleńczych Jugosławii, Pułkownik Milos Silgejovic. Polacy byli najliczniejszą grupą obcokrajowców walczących w jugosłowiańskiej partyzantce. Partyzanci ochraniali też polskie rodziny przed ustaszami, czetnikami i domobranami, którzy byli

okrutni dla ludności cywilnej.

1 lipca 1945 roku odbył się w Prnjavorze pierwszy zjazd delegatów polskiej ludności, na którym, podjęto uchwałę o powrocie Polaków do Ojczyzny. 1 października 1945 roku Polska delegacja przyjechała do Warszawy z przygotowanym memorandum dla polskiego rządu w sprawie powrotu do ojczyzny. Memorandum zostało przyjęte, a polska delegacja pojechała z Warszawy na Dolny Śląsk do powiatu Bolesławiec, żeby na miejscu zobaczyć, jakie są warunki do osiedlenia się reemigrantów z Jugosławii. W styczniu 1946 roku podpisany został w Belgradzie układ w sprawie przesiedlenia polskiej ludności.

Przesiedleńcy mieli prawo zabrania swoich rzeczy osobistych i wyposażenia domów. Rzemieślnicy mogli zabrać swoje warsztaty pracy.

Po wyjeździe Polaków Serbowie zamieszkali w niektórych domach. Resztę doszczętnie spalili łącznie z zabudowaniami z obawy, żeby Polacy nie mieli do czego wrócić. Serbowie doprowadzili do tego, że tereny uprawne porosły lasami. Spalili kościoły i zdewastowali cmentarze. Nie zostały ślady pomimo że przez pół wieku mieszkało tam blisko dwadzieścia tysięcy Polaków.

Polska Misja Repatriacyjna z siedzibą w Prnjavorze prowadziła działania informacyjne o możliwościach i warunkach repatriacji do polski, załatwiała problemy wynikające z umów. Wynegocjowano, że Polacy nie będą płacić zaległych i bieżących podatków.

Ustalono, że dokumentem na wyjazd będzie deklaracja ze zdjęciem i opisem, a na opłatę dokumentów przeznaczono część pieniędzy z ambasady polskiej w Jugosławii.

Pradziadkowie podjęli decyzję o powrocie do Polski. Zabrali rzeczy osobiste i wyposażenie domu. Znow zostawili swoje domy

Misovita narodna osnovna škola u Lovom Martinu

5 broj razrednice
323. glavnog imenika

PAR 10 PARA 20 PARA 20

KRALJEVINA SRBIJA I SLOVENACEV KRALJEVINA SRBIJA, HRVATA I SLOVENACA KRALJEVINA SRBIJA, HRVATA I SLOVENACA

SVJEDOČANSTVO

Kronski Feliks

rođen 6. aprila 1922. u Lovom Martinu, rimo.

katoličke vjere, učenik 7. godišta, dobiva za 1921-22. školsku godinu

ovo svjedočanstvo:

Vladanje vrlo dobar

Polazak vrlo masljiv

Predmeti	Napredak	Ukupni uspjeh
Nauka o vjeri	<u>vrlo dobar</u>	
Polovna stvarna nastava		
Srpski ili hrvatski jezik	<u>vrlo dobar</u>	
Račun	<u>vrlo dobar</u>	
Zemljepis i povijest	<u>vrlo dobar</u>	
Prirodne nauke	<u>vrlo dobar</u>	
Krasnopis	<u>vrlo dobar</u>	
Geometrija i crtanje	<u>dobar</u>	
Gospodarstvo Kućanstvo	<u>vrlo dobar</u>	
Pjevanje	<u>vrlo dobar</u>	
Gimnastika	<u>vrlo dobar</u>	
Ženski ručni rad		

Učenik je izvršio 7. godište vrlo dobrim uspjehom.

U Lovom Martinu, dne 28. juna 1922.

razredna učiteljica



Ryc. 161. Książeczka wojskowa pradiadka

z dorobkiem życiowym, ale z wielką radością wracali do ojczyzny. Mimo to, że zostawili tam bliskich, którzy tam umarli. 30 kwietnia 1946 roku nasi pradiadkowie ze swoimi dziećmi wrócili transportem do Bolesławca. Przywieźli ze sobą 14 kur, jednego koguta, dwie krowy, świnię, owce, wóz, pług, brony, radło, cepy do omłotów, kufry z pościelą, pierzyny, poduszki, ubrania, obrazy świętych i wiele drobnych rzeczy: garnki, dzieżę do wyrabiania chleba. Podróż była ciężka. Jechali dwa tygodnie pokonując 1500 kilometrów. Kiedy zobaczyli zburzone domy w Bolesławcu nie chcieli wysiadać z pociągu. Na reemigrantów czekały już samochody, które rozwoziły ich do wcześniej przeznaczonych miejscowości.

Mieszkańcy Nowego Martyńca osiedlili się w Gościszowie i Mściszowie, w Milikowie i Nowogrodźcu. 30 sierpnia 1947 roku pradiadkowie dostali dokument „Akt Nadania” i otrzymali



Ryc. 162. Dyplom i medal mojego pradiadka za uczestnictwo w wojnie Narodowowyzwoleńczej Jugosławii

gospodarstwo rolne w Mściszowe o powierzchni 12 hektarów.

Dom mieszkalny wraz ze stajnią pod jednym dachem, oborę dla świń i koni oraz stodołę. Dom był zniszczony, a sprzęty rozszabrowane. Nasi pradziadkowie po trudach życia w Bośni osiedlili się w innej części Polski, niż tam skąd pochodzili ich rodzice. Kolejne lata pracy, wychowania dzieci przeżyli na Dolnym Śląsku. Powojenne zniewolenie było dla pradziadków trudnym doświadczeniem. Pomimo tego, że otrzymali gospodarstwo i zetknęli się z nowościami technicznymi, które ułatwiły im pracę w gospodarstwie, to boleśnie doświadczyło ich zniewolenie polityczne, którego nie znali w Bośni. Wówczas nie jeden raz wspominali wolność w Bośni, której w Polsce nie mieli przez wiele lat.



Ryc. 163. Dekret przesiedleńczy mojego pradziadka



Ryc. 164. Akt nadania własności gospodarstwa rolniczego

Bibliografia:

- Informacje użyte w tekście: źródło własne; wspomnienia rodziny
- Fotografie i dokumenty: źródło własne; zbiór rodzinny

Maja Stupiec
ŻYCIE CODZIENNE MOICH PRADZIADKÓW

Zdjęcia: Archiwum Maja Stupiec

Czas szybko płynie, ludzie odchodzą, więc chciałabym ukazać historię oraz codzienne życie moich dziadków, którzy mieszkali na terenach Jugosławii. Bohaterami są babcia Matyllda, która urodziła się w 1939r. w Starym Martyńcu oraz dziadek Antoni, ur. w 1938r. w miejscowości Rakowiec.

Moi prapradziadkowie ponad 50 lat przed urodzeniem moich dziadków, którzy opowiedzieli mi wszystkie historie, jakie możemy tutaj przeczytać wyjechali do Jugosławii w pogoni za chlebem oraz lepszym życiem. Miejsce to było krajem wielokulturowym jak mówi dziadek, ale nie było w niej zaborców Polski, dlatego właśnie tam Polacy najczęściej wybierali się, aby uwolnić siebie i najbliższych od wojennego koszmaru. Jednak wcale nie było tam tak doskonale jak sobie wyobrażano... „Ludzie harowali jak woły, aby tylko utrzymać siebie i swoje rodziny” – mówił dziadek. Każdy starał się jak najlepiej wykonywać swoją pracę, aby tylko przyniosła ona zysk. Nie było maszyn, które mogłyby zastąpić pracę człowieka, więc wszystko było wykonywane ręcznie. Dużą trudność sprawiało budowanie domów. Jak dziadek sięga pamięcią budowane były tak zwane „koleby”, które na krótko chroniły ich od wiatru bądź deszczu, dlatego zaczęto budować domy. Na początku budynki wytwarzane były z drewna, lecz potem, ludzie sięgali po cegłę bądź kamień, aby zwiększyć bezpieczeństwo przed niekorzystnymi



Ryc. 165. *Moja babcia – Matyllda wraz z dziadkiem Antonim*

warunkami pogodowymi. Bardzo ważne również było posiadanie nawet małego gospodarstwa, by móc wypasać krowy bądź owce. To właśnie był jeden z głównych dochodów rodziny. W przypadku kilkuosobowej rodziny utrzymanie się ze sprzedaży mleka krowiego czy koziego nie wystarczało, dlatego moi pradiadkowie, ale i inni zamieszkujący Jugosławię ludzie uprawiali rolę. Przede wszystkim winorośl, śliwki (z których wytwarzane były śliwowice czy rakije) i kukurydzę. Aby zwiększyć budżet rodziny mężczyźni wyjeżdżali na tydzień do lasów, by pozyskiwać drewno. Przez ten okres mieszkali w kolebach, by spokojnie przespać noc i przechować tam swoje najpotrzebniejsze rzeczy.

W rodzinie wszyscy mieli określone zadania i obowiązki, które każdego dnia trzeba było solidnie i starannie wykonać. Nikt nie marnował całego dnia na leżeniu i leniuchowaniu. Ojciec pracował na roli i to właśnie on wykonywał zawsze najcięższą pracę. Matka dbała o ogólną czystość gospodarstwa, o to by dzieci miały świeży i gorący posiłek, by czuły się kochane, w tym trudnym czasie. Oboje dziadkowie jeszcze wtedy nie chodzili do szkoły, dlatego cały dzień

pomagali rodzicom na miarę swojego wieku i możliwości.

Najbliżsi sąsiedzi moich dziadków najczęściej posługiwali się językiem polskim, gdyż wtedy było bardzo dużo Polaków emigrujących z Polski do Jugosławii. Wiele osób jednak również mówiło językiem chorwackim bądź serbskim. Moi przodkowie posługiwali się też tymi językami, gdyż łatwiej było wtedy porozumiewać się ze społecznością. Ślub Ludwika Kuduka, brata mojego pradziadka – wszyscy zaproszeni goście. Portrety moich pradziadków, czyli rodziców babci Matyldy.

Moi dziadkowie posiadali niewiele odzieży, najczęściej mieli dwa komplety: w dni robocze, czyli od poniedziałku do soboty ubierali się w ubrania „robocze” i na niedziele i święta, czyli dni, w których trzeba się ubrać elegancko. W „zwykły dzień” mężczyźni zakładali roboczą koszulę, która była poniszczona i niezbyt ładna oraz spodnie. Kobiety zaś sukienki lub spódnice, bo w końcu były gospodyniami, lecz kiedy pracowały w polu zakładały tak zwane



Ryc. 166. Ślub Ludwika Kuduka, brata mojego pradziadka – wszyscy zaproszeni goście.



Ryc. 167. Zdjęcie po lewej: Rodzina babci Matyldy; pamiątkowe zdjęcie rodziny w gościnie. Zdjęcie po prawej: Mój dziadek ubrany w odświętny i elegancki strój na rodzinnej biesiadzie.

„zapaski”, czyli fartuszki żeby nie pobrudzić swojego stroju. W niedziele zaś przyodziewali odświętne i eleganckie ubrania, gdyż chodzili na Msze Święte do pobliskich Kościołów.

Zapytałam się dziadków jak było z tradycjami podczas Świąt Bożego Narodzenia, czy Wielkanocy. Odpowiedzieli, że tak jak dziś ludzie licznie chodzili do kościoła. Jadali określoną liczbę potraw na kolacji wigilijnej, a wszystko przygotowali sami, ze swoich własnych plonów i zbiorów z gospodarstwa. Dziadek do dziś wspomina piękne chwile, jak radośnie śpiewali kolędy i wspólnie wyczekiwali narodzin Zbawiciela. Następnie dzielili się opłatkiem i składali sobie życzenia.

Ludzie potrafili również świetnie się bawić. Organizowali zabawy, na których „pograjki”, czyli ludzie, którzy grali na instrumentach umilali czas podczas przyjęcia. Najczęściej grano na harmonijce, kontrabasie i skrzypcach.

Z relacji dziadków wynika, że ludzie mieszkający w Jugosławii byli bardzo uprzejmi i zgodni. Ofiarowali najbliższym sąsiadom ogromną pomoc. Dziadek mówił, że ludzie najczęściej pomagali



Ryc. 168. Dziadek Antoni wraz z kolegami czeka na wesele pod salą, przyjechali rowerami.



Ryc. 169. Wesele Andrzeja i Róży Kotwica, babcia Matylda była wtedy druhną.



Ryc. 170. Praca przy koparce frezowej kolegów mojego dziadka

sobie przy budowie domów.

Podsumowując, życie w Jugosławii było bardzo ciężkie. Kiedy ludzie trafili na te tereny nie mieli zupełnie nic. Na wszystko musieli ciężko zapracować. Sami musieli budować domy i gospodarstwa rolne, nauczyć się całkowicie innego języka oraz przetrwać długą drogę z Polski do Jugosławii (a później odwrotnie). Po II wojnie światowej większość Polaków postanowiła wrócić do Ojczyzny. Podróż trwała nawet kilkanaście tygodni i musiała być bardzo męcząca. Babcia opowiadała mi, że pewnego razu kiedy pociąg stanął na Węgrzech, zauważyła czereśnie i postanowiła je zerwać. Nagle pojazd ruszył i dzięki pomocy obcego człowieka udało jej się cudem dostać z powrotem do wagonu. Pociągi wtedy były bardzo masywne i wolne. Dziadek mówił, że nazywali je “bydlęcymi”, gdyż ciągnęły ze sobą wagony ze zwierzętami.

Dziadkowie postanowili wrócić do Polski w 1946 roku, gdyż w tym czasie w Jugosławii trwały walki serbskich partyzantów:

Ustaszy i Czytników. Obawiali się bowiem, iż staną się obiektem ich ataku. Po powrocie do Polski ludzie osiedlali się w grupach. Nie rozdzielali się na kilka miejscowości tylko starali się być blisko siebie. Moi dziadkowie osiedlili się w małej wsi Parzyce w gminie Nowogrodziec w województwie dolnośląskim. Mieszkają już tu 72 lata i wychowali troje swoich dzieci: Annę, Henryka i Martę - moją mamę.



Ryc. 171. Moja babcia wraz z siostrami (od lewej: babcia Matylda, Rozalia i Antonina)



Ryc. 172. Ślub Katarzyny i Józefa Kotwica, brata dziadka Antoniego



Ryc. 173. Pierwsza Komunia Święta Marysi, siostra dziadka Antoniego córki



Ryc. 174. Wycieczka za młodych lat dziadka Antoniego



Ryc. 175. Babcia Matylda z siostrą Antoniną

Justyna Maksymowicz
HISTORIA SZKOŁY PODSTAWOWEJ
W NOWOGRODZCU

Zdjęcia: Archiwum Justyna Maksymowicz

Powstanie placówki oświatowej w Nowogrodźcu było bardzo ważnym aspektem dla każdego mieszkańca naszej gminy. Pozwalało ono najmłodszym na zdobycie niezbędnej wiedzy w obowiązującym wówczas systemie siedmioklasowym niedaleko miejsca ich zamieszkania. Pierwsze zapiski z kronik szkolnych pochodzą z roku 1952, jednak informacje o jej istnieniu sięgają roku 1946. Dowiadujemy się między innymi kto został pierwszym dyrektorem szkoły podstawowej. Został nim tragicznie zmarły Stanisław Chomontowicz. Do nowo otwartej szkoły początkowo uczęszczało 19 uczniów. W ciągu roku szkolnego liczba ta stopniowo wzrosła do 115. Niestety, nie zachowały się dalsze ślady działalności naszej szkoły w tamtym okresie. Już na początku najstarszej szkolnej kroniki dowiadujemy się, że szkoła nosiła nazwę Szkoły Ogólnokształcącej Stopnia Podstawowego w Nowogrodźcu. Jej budynek znajdował się przy aktualnej ulicy Lubańskiej 40 a, gdzie pracę z uczniami zaczęło sześciu nauczycieli z kierownikiem - Henrykiem Wysockim - na czele.

W kwietniu tego samego roku z naszej szkoły odchodzi jej ówczesny kierownik Henryk Wysocki awansując do Wydziału Oświaty w Bolesławcu. Jego miejsce zajmuje nauczycielka Stanisława Jeż. Do grona pedagogicznego dochodzi nauczyciel Mieczysław Swacha.



Ryc. 176. Budynek przy ulicy Lubańskiej 40 a

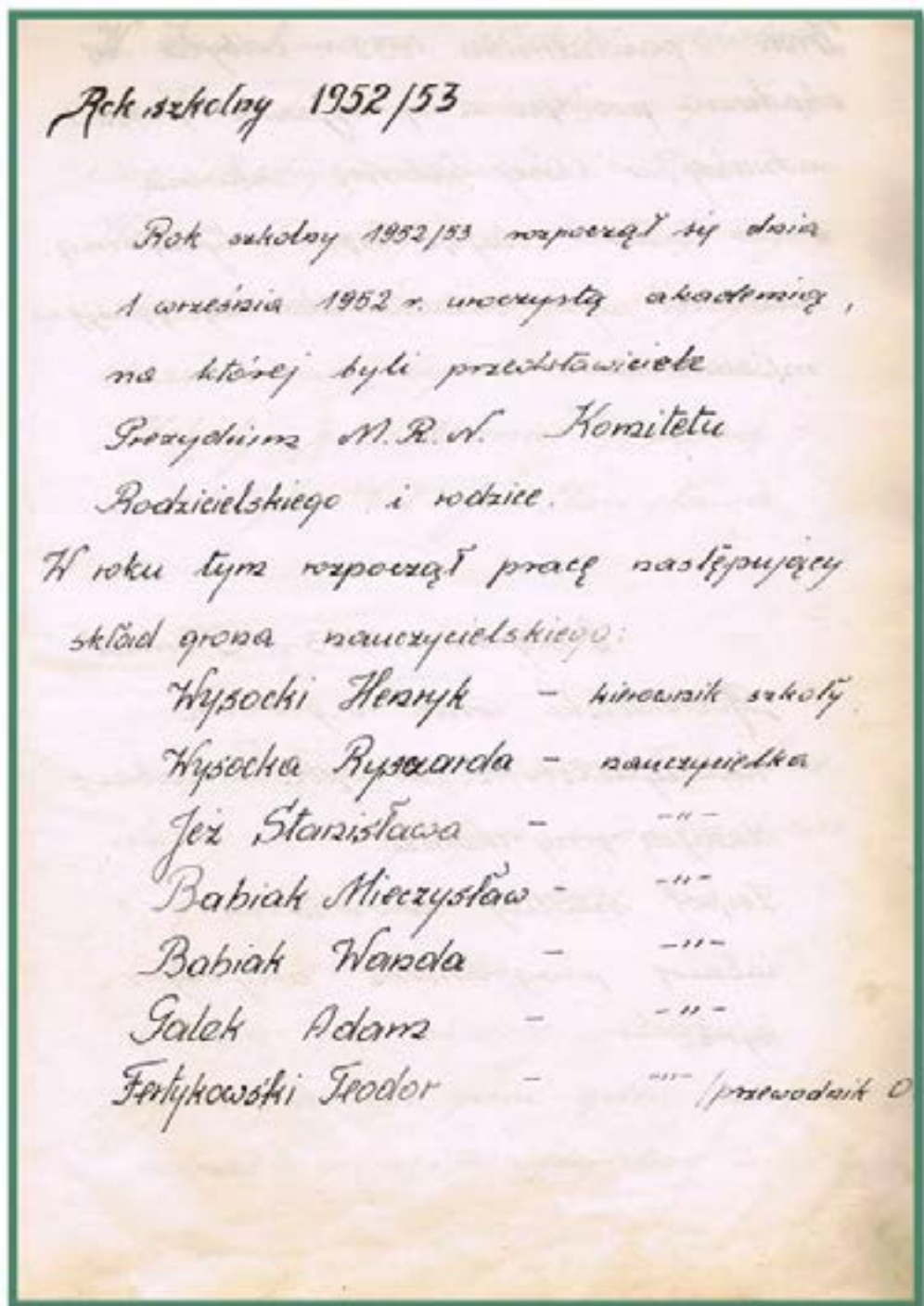
W roku szkolnym 1953/54 grono nauczycielskie rozpoczęło pracę z dniem 17 sierpnia w składzie: Stanisława Jeż (kierownik szkoły), Mieczysław Swacha, Adam Galek, Stefania Marszał, Helena Smoszna, Józef Korzeniowski, Antoni Zagaja, Marian Kalinowski

Młodzież szkolna chcąc uczcić święto 1 maja już w kwietniu podejmowała zobowiązania takie jak: założenie kwiatników wokół szkoły, założenie ogródka biologicznego, zasadzenie 2 ha lasu oraz przygotowanie akademii artystycznej na akademię pierwszomajową.

Przy szkole czynnie działał również zespół pieśni i tańca, który swoimi występami uświetniał akademie szkolne oraz reprezentował szkołę na wielu przeglądach artystycznych. Opiekunem zespołu była Helena Smoszna.

Zajęcia szkolne zostały w dużym stopniu wzbogacone o koła zainteresowań.

W tym roku szkołę ukończyło 23 uczniów, z tego dwunastu



Ryc. 177. Pierwsza strona kroniki szkolnej



Ryc. 178. Budynek pierwszej szkoły przy ulicy Lubańskiej 40 a

udało się do szkół średnich.

W roku szkolnym 1954/55 funkcję kierownika szkoły objął Edward Machel. Pracę rozpoczęło grono nauczycielskie w składzie: Stanisława Jeż, Adam Galek, Helena Smoszna, Stefania Marszał, Stanisława Konieczko, Kazimiera Machel, Gizela Braszko, Antoni Zagaja oraz Zdzisław Brojak.

Ze względu na dużą ilość dzieci otwarto eksponówkę w Milikowie. Pracowali tam Stanisława Konieczko i Galek Adam. W drugim półroczu roku szkolnego szkoła ta została rozbudowana na 6 klas. Do grona nauczycieli pracujących w tym budynku dołączyła Stefania Marszał.

W roku szkolnym 1955/56 pracę rozpoczęło grono nauczycielskie w składzie: Edward Machel (kierownik szkoły) Stanisław Bachry (nauczyciel niekw.), Gizela Braszko (nauczyciel niekw.), Zdzisław Brojak (przewodnik OH), Władysław Igras, Kazimiera Machel, Stefania Skórak, Stanisław Sławski, Helena

Smoszna oraz Stanisława Jeż.

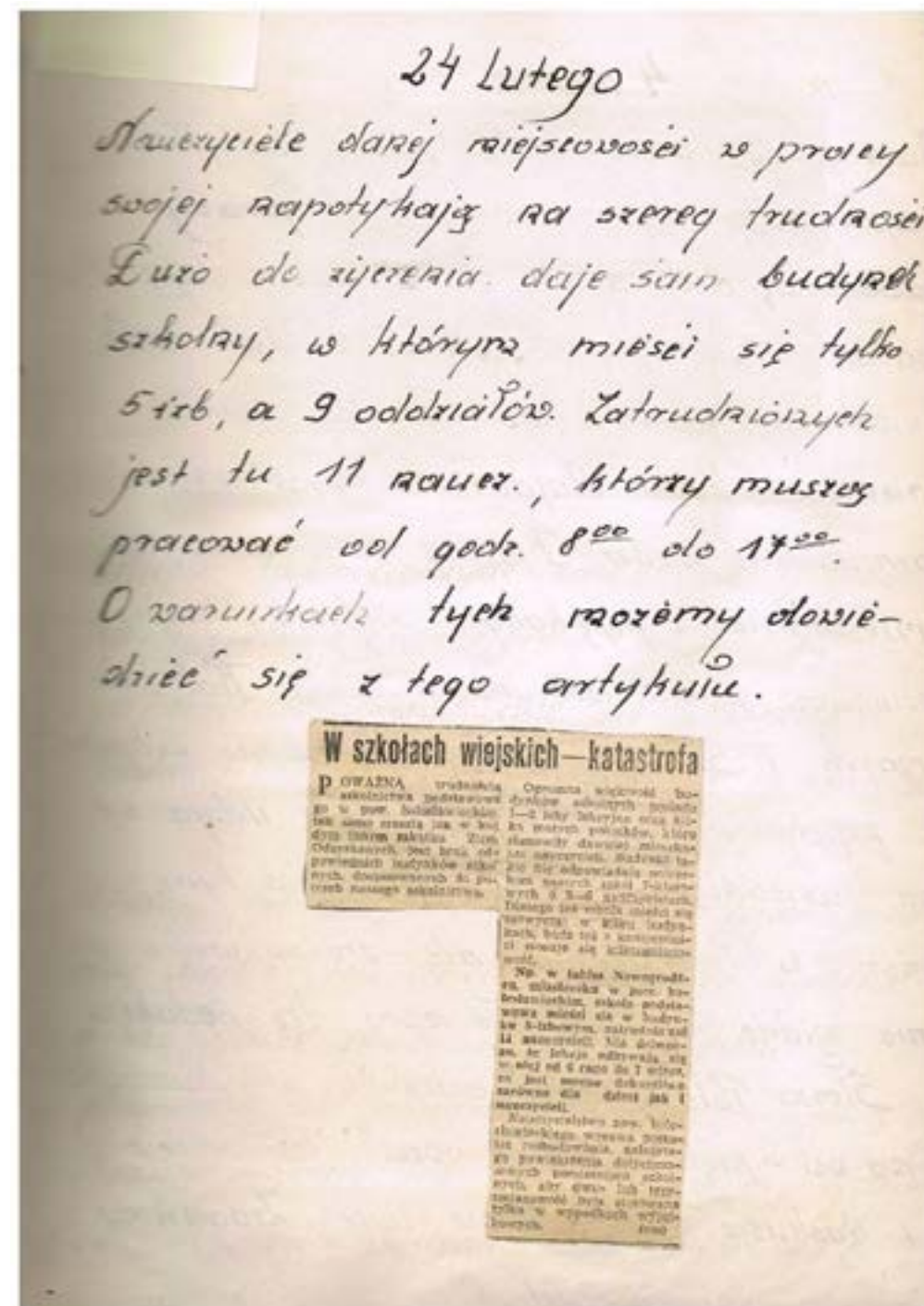
W roku 1956/57 rozpoczęło pracę grono nauczycielskie w składzie: Edward Mache l(kierownik szkoły), Gizela Braszko, Zdzisław Brojak, Edward Ćwiek (nauczyciel niekl.), Władysław Igras, Roman Fedan(przewodnik OH), Stanisława Adamarek, Helena Koba, Stefania Skórniak oraz Kazimiera Machel.

W roku szkolnym 1957/58 pracowało grono nauczycielskie w składzie: Edward Machel (kie-rownik szkoły), Stefania Skórniak (zastępca kierownika), Roman Fedan (drużyn.OHP), Kazimiera Machel (bibliotekarka), Gizela Skalska, Antoni Zagaja, Stanisława Adamarek, Helena Koba, Zdzisław Brojak, Irena Klecha, Karol Klecha.

W tym roku pracę rozpoczęto w eksponówce w Ołdrzychowie.



Ryc. 179. Klasa I a wraz z nauczycielką Heleną Kobą



Ryc. 180. Wpis z kroniki szkolnej o trudnych warunkach nauczania



Ryc. 181. Wiesława Leszczyńska
wraz z wychowawczynią Heleną Koba



Ryc. 182. Warunki higieniczne

Pracowali tam Irena Klecha oraz Karol Klecha.

W roku szkolnym 1958/59 pracę wychowawczo-naukową rozpoczęło grono nauczycielskie w składzie: Edward Machel (kierownik szkoły), Kazimiera Machel (bibliotekarka), Stanisława Adamarek, Helena Brojak, Zdzisław Brojak, Gizela Skalska, Antoni Zagaja, Maria Nawrocka, Elżbieta Oktawiec, Irena Klecha, Bronisława Lukasiewicz.

W roku szkolnym 1959/60 pracę rozpoczęło grono nauczycielskie w składzie: Zdzisław Brojak, Alicja Kaun, Helena Matuszyk, Helena Brojak, Stanisława Adamarek, Bronisława



Ryc. 183. Grono pedagogiczne w pełnym składzie

Antoniszyn, Krystyna Gnatów, Anna Fidler, Gizela Skalska, Kazimiera Machel, Edward Machel, Antoni Zagaja.

Uczniowie szkoły uczyli się przedmiotów takich jak: język polski, język rosyjski, matematyka, historia, biologia, geografia, fizyka, chemia, rysunek, prace ręczne, śpiew, wychowanie fizyczne.

Młodzież klas VII pomagała przy wykopkach, dokarmiała zwierzynę, porządkowała groby na Cmentarzu Żołnierzy Radzieckich, pracowała w bibliotece szkolnej oraz udzielała pierwszej pomocy.

Dzięki trzyletnim staraniom kierownika szkoły Edwarda Machela wybudowano salę gimnastyczną.



Ryc. 184. Praca członków PCK

W roku szkolnym 1960/61 z dniem 29 sierpnia 1960 roku pracę rozpoczęło grono nauczycielskie w składzie: Edward Machel (kierownik szkoły), Kazimiera Machel, Alicja Kaun, Gizela Skalska, Helena Matuszyk, Kazimierz Kalwaj, Bronisława Antoniszyn, Krystyna Gnatów, Anna Fidler.

W ogródku szkolnym poszczególne klasy otrzymały poletka,



Ryc. 185. Archiwum Justyna Maksymowicz

na których uczniowie chętnie pracowali. Opiekunem działki szkolnej był kierownik szkoły Edward Machel.

W roku 1962/63 ze szkoły odchodzi nauczycielka Bronisława Antoniszyn.

W roku szkolnym 1966/67 pracę rozpoczęło grono nauczycielskie w składzie: Edward Machel (kierownik szkoły), Kazimiera Machel, Teofil Skrok, Joanna Skrok, Genowefa Mikulska, Zdzisław Roszykiewicz, Danuta Roszykiewicz, Elżbieta Rączkowska, Krystyna Gnatów, Krystyna Kurykiewicz, Anna

Antoniszyn, Marianna Gołdysz, Marianna Omiatacz, Halina Chrzastek, Ali-cja Kozdrowska, Stanisław Kowalik (nauczyciel SPR-u)

W tym roku rozpoczyna się budowa nowej szkoły.

W roku szkolnym 1967/68 pracę rozpoczęło grono nauczycielskie w składzie: Edward Machel (kierownik szkoły), Genowefa Mikulska (zastępca kierownika), Kazimiera Machel, Elżbieta Rączkowska, Krystyna Gnatów, Anna Antoniszyn, Joanna Skrok, Teofil Skrok, Zdzisław Roszykiewicz, Danuta Roszykiewicz,



Ryc. 186. Pani Kowalczyk i Andruchów Zofia, klasa III b - Olchów

Krystyna Kurykiewicz, Alicja Kozdrowska, Marianna Omiatacz, Elżbieta Szczerbień, Halina Słabicka, Stanisław Kowalik (nauczyciel SPR-u), Marianna Gołdysz.

Dnia 8 marca 1968 roku odbyła się uroczystość otwarcia nowego budynku szkoły.



Ryc. 187. Aktualny wygląd budynku

Obecnie budynek, w którym Szkoła Podstawowa w Nowogrodźcu rozpoczęła swoje istnienie przeznaczony jest na mieszkania dla aktualnych nauczycieli.

Źródła:

- Internet,
- Kroniki szkolne,
- zbiory zdjęć pani Wiesławy Roman oraz pani Kowalczyk,
- zdjęcia własne,
- książka byłego dyrektora szkoły Edwarda Machela na temat oświaty w Nowogrodźcu.

Katarzyna Klimek, Kamil Skrzypacz, Gracjan Barm

DZIEJE SZKOŁY.
BUDYNEK SZKOLNY Z KLASAMI I-III
PRZY ULICY ADAMA ASNYKA

Zdjęcia: Archiwum Maja Stupiec

Chcielibyśmy opisać historię budynku Szkoły Podstawowej im. Bolesława Chrobrego w Nowogrodźcu przy ul. Adama Asnyka 53. Wybraliśmy to umiejscowienie placówki, ze względu na duży dostęp do źródeł informacji z nią związanych. Opowiemy krótko o jej historii widzianej oczami nauczycieli i pani wicedyrektor, pracujących w okresie istnienia tej szkoły.

Wspomnienia pani Marii Michalczuk, wicedyrektor szkoły

W 1999r. do budynku przy ul. Asnyka przeprowadzały się tylko klasy I-III. Odbyło się to w sposób bardzo uroczysty, z przecięciem wstęgi, z udziałem miejscowych władz samorządowych i pani Anny Baśkiewicz z Kuratorium Oświaty i Wychowania w Jeleniej Górze. W starej szkole było dość ciasno, więc przeniesienie klas młodszych do tego budynku rozwiązywało problem.

Rozpoczęliśmy pracę w nowej szkole. Nie wszystkie klasy rozpoczynały pracę na pierwszą zmianę, kilka klas rozpoczynało później - czyli na drugą zmianę. Przez ten okres czasu, kiedy nadzorowałam pracę w kl. I – III, nigdy nie zdarzyło się, aby wszystkie klasy rozpoczynały pracę o godzinie ósmej. Niektóre rozpoczynały zajęcia o 10.45 lub później.



Ryc. 188. Otwarcie nowego budynku szkoły przy ul. Asnyka 53 i nowe sale lekcyjne dla klas I-III, kronika szkolna



W przygotowaniu sal bardzo duży wkład mieli rodzice. Poszczególne oddziały organizowały sobie zespoły rodziców. Otrzymaliśmy nowe ławki i krzesła. Na dole mieliśmy małą salę gimnastyczną. Z czasem



Ryc. 189. Pokój nauczycielski przy ul. Asnyka

przeniósł się tam cały blok kuchenny. Była tam świetlica, a potem stołówka. Mała świetlica była na górze.

Na podwórko dzieci wychodziły tu, gdzie w chwili obecnej odbywają się festyny. Już wtedy współpracowaliśmy ze szkołą w Grossdubrau. Organizowane były różne projekty, dzięki którym dzieci na zmianę odwiedzały się, przysyłały sobie prezenty i korespondowały



Ryc. 190. Dyrektorzy szkół z Grossdubrau i Nowogrodźca. 1999r.

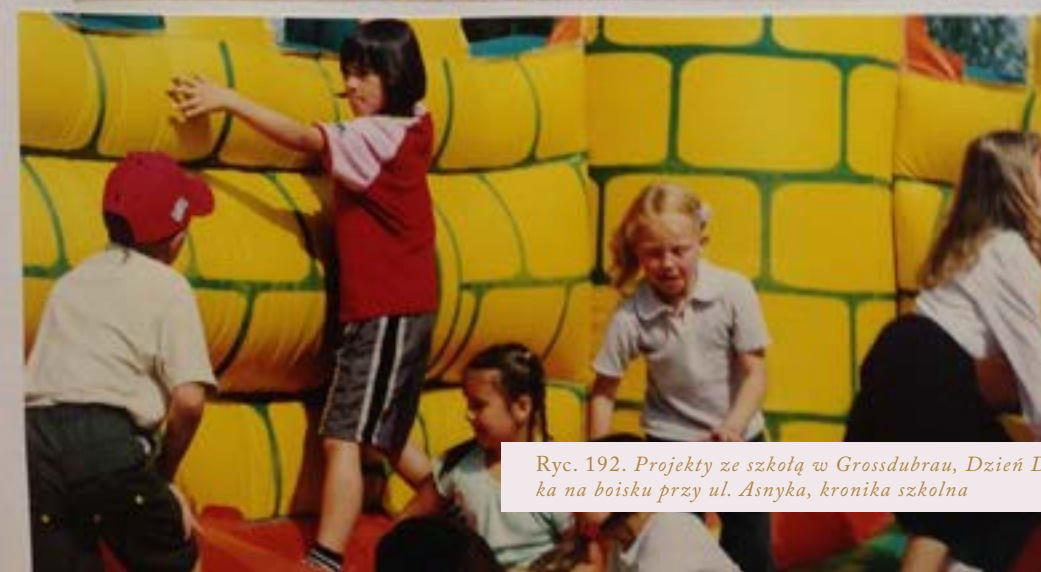


Ryc. 191. Sadzonka wierzb posadzona przez dyr. W. Tomaszewskiego, dyr. J. Rosę i wicedyrektor M. Michalczuk, kronika szkolna



Dzień Dziecka * Dzień Sportu

4 czerwca obchodzono Dzień Dziecka i Dzień Sportu. Klasy I-III przyjęły delegację ze szkoły w Grossdubrau. W ramach integracji rozegrane zostały zawody sportowe, później spędzano czas na wspólnych zabawach.



Ryc. 192. Projekty ze szkołą w Grossdubrau, Dzień Dziecka na boisku przy ul. Asnyka, kronika szkolna

ze sobą. Przy którymś z odwiedzin, dzieci z Niemiec przywiozły ze sobą małą sadzonkę wierzby, którą zasadzono przy szkole, a po przeprowadzce do placówki na ulicy Sienkiewicza, przesadzono ją obok nowego budynku.

Przez przeniesienie klas młodszych do budynku przy ul. A. Asnyka oddzielono dzieci młodsze od starszych, co miało swoje dobre i złe strony. Minusem tego był fakt, że uczniowie nie widywali się ze swoim rodzeństwem, bądź starszymi znajomymi. Z kolei dzięki temu nauczyciele mogli prowadzić lekcje bez dzwonka, przez co wychowawca oceniał, czy dzieci są zmęczone i czy powinny odpocząć. Nauczyciel cały czas przebywał ze swoimi uczniami. Dzieci raz pracowały całą godzinę, a czasami pół godziny. Gdy były zmęczone, wychodziły na korytarz, na boisko, do świetlicy szkolnej lub sali gimnastycznej. W innym przypadku praca trwała w klasie. Jedynym mankamentem był fakt, że niektóre klasy były bardzo małe, a niektóre bardzo duże. Pamiętam, że największą z nich była sala numer 10 na piętrze. Dzieląc klasy należało wziąć pod uwagę wielkość sali. Jedna klasa liczyła 18 dzieci. Pokój nauczycielski był na dole i trzy sale lekcyjne. Na górze było pięć sal lekcyjnych, świetlica i pomieszczenie biblioteki.

W czasie pobytu grupy niemieckiej podczas występu jako dekoracja była gałązka wierzby w wazonie przez nich przywieziona.

Puściła korzenie w wazonie i została posadzona na terenie nowej szkoły. Wcześniej był przywieziony i posadzony dąb, ale został zniszczony. Wierzba rośnie i można ją podziwiać z okien naszej szkolnej biblioteki.

Kilka słów o swojej pracy w Szkole Podstawowej w Nowogrodźcu...

Pracę rozpoczęłam w 1974 roku. Przez 40 lat uczyłam języka polskiego, a przez 29 lat pełniłam funkcję wicedyrektora szkoły. Praca w szkole była moim marzeniem. Obecnie brakuje mi kontaktu z uczniami i nauczycielami. Pracując miałam sukcesy na różnych poziomach w konkursach oraz olimpiadach polonistycznych.

Wspomnieniami podzieliła się z nami pani Maria Michalczuk.

Wspomnienia pani Marii Skrzypacz, nauczycielki edukacji wczesnoszkolnej

Pracę rozpoczęłam w 1969 roku, na emeryturę przesłam w 2004 roku. Początkowo pracowałam w klasach starszych ucząc różnych przedmiotów, a następnie w klasach nauczania początkowego.

Z chwilą wejścia reformy oświatowej w 1999r. zaistniała potrzeba przeprowadzenia klas

I-III do budynku przy ul. A. Asnyka. Tym samym udostępniono drugie piętro budynku szkoły dla potrzeb gimnazjum. Budynek przy ulicy Asnyka trzeba było przygotować, aby 1 września dzieci mogły się uczyć. W czasie wakacji pracownicy szkoły wraz z rodzicami przewozili pomoce naukowe i meble, a część rzeczy zostało zakupionych. W niektórych klasach zostały pomalowane ściany.

Miałam tyle szczęścia, że przydzielono mi największą salę lekcyjną. Rodzice kupili duży dywan, który w chwili obecnej znajduje



Ryc. 193. Wicedyrektor szkoły – Maria Michalczuk

się w bibliotece szkolnej. Dzieci czuły się tam komfortowo. Był to czas, kiedy nie było dzwonka oznajmującego przerwę. Nauczyciel wraz z dziećmi decydował, kiedy będzie przerwa. Mieliśmy do dyspozycji salę gimnastyczną, podwórko i boisko szkolne. Było ciszej i spokojniej. W starym budynku szkoły została moja druga klasa, klasa ósma C, którą prowadziłam od klasy pierwszej. Była to ostatnia ósma klasa przed wprowadzeniem reformy. Uważam, że oddzielenie klas młodszych od starszych było dobrym pomysłem, szczególnie dla klas młodszych. Niektórzy bali się wychodzić na przerwę, bo było za głośno i za tłoczno.



Ryc. 194. *Sprzątanie Ziemi, 1999 r.*



Ryc. 195. *Konkurs przyrodniczy, 2004r.*

W tym czasie realizowane były różne projekty. Jednym z nich był projekt „Żyj z przyrodą w zgodzie.”

Inne akcje to: „Cała Polska czyta dzieciom”, projekt związany ze Świętami Bożego Narodzenia, „Bezpieczeństwa



Ryc. 196. *Dzień Patrona 1999r.*



Ryc. 197. Postacie z bajek 1999r .Kl. III c



Ryc. 198. Laureaci Tygodnia Bajek i Baśni kl.IIIc 2003r.



Ryc. 199. Konkurs recytatorski 1999r.

ruchu drogowego”. Ważnym projektem realizowanym w nauczaniu początkowym był tzw. „Tydzień Baśni i Legend”. W projekt ten zaangażowane były wszystkie klasy.

Była to ciekawa prezentacja wiadomości i umiejętności. Organizowane były:

- konkursy czytelnicze ze znajomości baśni i legend na poziomie klasy i szkoły,
- turnieje baśniowo – sportowe,
- konkurs na najpiękniejsze opowiadanie baśni,
- konkursy plastyczne,
- konkursy ortograficzne,
- prezentacje przygotowanych teatrzyków przez klasy lub świetlicę szkolną. Teatrzyki prezentowane były także dla przedszkolaków, klas starszych i rodziców.

Całości towarzyszyła wystawa pięknie prowadzonych zeszytów i ciekawych prac plastycznych wykonanych różnorodnymi technikami, w tym kukiełek, pacynek przedstawiających postacie z bajek i baśni.

Dużym powodzeniem cieszyły się „Zielone Szkoły”. Były to 10 - dniowe pobyty nad morzem. Pierwszy projekt – wspólny z p. Teresą Rosą w miejscowości Rewal. Następnie z p. Bożeną Flaszą w Łebie oraz z p. Moniką Maciaszek-Zdunek w Pogorzeliczy.

Celem tych wyjazdów między innymi było:

- poznanie krajobrazu nadmorskiego,
- uczenie samodzielności i współpracy w grupie,
- zapoznanie z rodzajami transportu morskiego, zwiedzanie okrętu „Błyskawica”
- poznanie pracy rybaka,
- różnorodności flory i fauny,

- zwiedzanie ośrodka ornitologicznego, Fokarium, Akwarium, Muzeum Wsi Słowińskiej, wydmy,
- przejażdżka tramwajem wodnym z Gdyni na Hel,



Ryc. 200. Teatrzyk dla rodziców 2003r.



Ryc. 201. Inscenizacja bajki Miś Uszatek 2002r., kl. IIc

- zwiedzanie latarni morskiej Stilo.

Za każdym razem wyjeżdżało około 30 uczniów. Niektóre z nich nigdy nie miały możliwości wyjazdu nad morze.

Bardzo ważne były wycieczki krajoznawcze, które organizowałam co najmniej dwie w ciągu roku szkolnego. Wyjeżdżaliśmy też na spektakle teatralne do Jeleniej Góry i Lubania.

Mieliśmy też wspólne projekty ze szkołą w Grossdubrau w Niemczech. Wizyty te były tematycznie różnorodne, np: zwiedzanie miejscowości i okolic, zawody sportowe, uczestnictwo w „Święcie ziemniaka”, gdzie dzieci miały możliwość poznania narzędzi rolniczych używanych wczoraj i dziś i wiele, wiele innych. Następnie dzieci z Niemiec przyjeżdżały z rewizytą. Były wspólne zajęcia lekcyjne, wycieczki krajoznawcze, poznanie lokalnych zakładów pracy, oglądanie wystaw wytworów prac dzieci i przygotowanych teatrzyków.

Również realizowane były przeróżne projekty. Był to między innymi program dotyczący uzależnień „Program 7 kroków”. Dla zespołu samokształceniowego nauczycieli teatrzyk cieni, dla rodziców i uczniów z klas I-III „Jasełka”, czy udział w przeglądzie kolędniczym w Czernej. W okresie ferii zimowych były organizowane



Ryc. 203. Królowa Śniegu. Tydzień Bajek i Baśni

zimowiska dla dzieci spędzających wolny czas w domu.

Wspomnieniami podzieliła się z nami p. Maria Skrzypacz.

Wspomnienia pani Heleny Drąg, nauczycielki edukacji wczesnoszkolnej, przyrody i wych.fiz.

Pracę rozpoczęłam w 1965 roku, na emeryturę przeszedłam w 2008 roku. Przez 43 lata pracy z uczniami starałam się wzbogacić swój warsztat w podnoszeniu wiedzy i umiejętności pedagogicznych. Stworzyłam i zrealizowałam wiele projektów stosując własne innowacyjne rozwiązania. Zostałam członkiem Wojewódzkiej Rady Postępu Pedagogicznego przy Kuratorium Oświaty i Wychowania w Jeleniej Górze /dyplom uznania z 26 stycznia 1987r./. Spełniłam



Ryc. 202. Jasełka - Przegląd kolędniczy w Czernej

się jako nauczyciel, a praca z dziećmi dawała mi satysfakcję. Pracowałam z dziećmi klas I-III, z kl. IV-VIII, później IV-VI ucząc przyrody oraz wychowania fizycznego. W roku szkolnym 2001/20002 rozpoczęłam pracę w zaadaptowanym budynku przy ul. Asnyka, byłam wtedy wychowawcą kl. III a.

Pierwszym projektem w tej szkole był duży projekt p.n. "Żyj z przyrodą w zgodzie", realizowany z udziałem rodziców. Nasze działania:

- Rozmowy z uczniami na temat ekologii,
- Wycieczka do szkółki leśnej w Osieczowie oraz do lasu w Osiecznicy z udziałem rodziców,
- Sprzątanie terenu, zbieranie butelek plastikowych, puszek itp.,
- Obserwacja budek lęgowych i żeremi,
- Spotkanie z leśniczym,
- Plastyczny konkurs ekologiczny,
- Przygotowanie materiałów (papier, tektura, butelki plastikowe, worki foliowe) i wykonanie strojów ekologicznych z pomocą rodziców,



Ryc. 204. Konkurs Sprzątanie Świata



Już po raz ósmy w Polsce, w dniach 21-23-IX-01, ruszyła kampania "Sprzątanie świata". W tym roku motywem przewodnim akcji jest likwidowanie dzikich wysypisk. Rolą jej uczestników jest skłonienie władz gminnych do uporządkowania terenu oraz wspieranie w zapobieganiu ponownemu zaśmieceniu.



W naszej szkole patronat nad akcją objęło szkolne koło PCK. Grafiki wskazały tereny do uporządkowania. Sprzątanie przebiegało sprawnie. Zebrano więcej śmieci niż poprzednim razem.



Ryc. 205. Akcja „Sprzątanie świata” 2001r., kronika szkolna

Na znak p. Heleny Drag uczniowie ruszyli do walki ze śmieciami.



Zmierzający konkursu kl Vd



Impreza zakończyła się

Ryc. 206. Konkurs mody ekologicznej 2002r., kronika szkolna

- Pokaz mody ekologicznej „Żyj z przyrodą w zgodzie” przy muzyce z ciekawą narracją dla uczniów, nauczycieli i rodziców,
- Wystawa (podsumowanie projektu).

W następnych latach projekt ten realizowany był w innej formie w kl. IV-VI. Był to montaż słowno-muzyczny.

Drugi projekt związany jest ze Świętami Bożego Narodzenia.

- Przydział ról i praca nad odpowiednią interpretacją tekstów, nauka pastorałek,
- Wystawienie „Jasełek” dla uczniów i rodziców przy ul. Asnyka,



22.01.02r. VII Gminny Przegląd Programów Bożonarodzeniowych w Czernej

W tym roku w przeglądzie wzięło udział tylko 6 zespołów. Były to grupy teatralno-wokalne i wokalne. SPrezentowała grupa „H.Drag z przedstawieniem pt. „Nigila w autobusie”. Zespół został wyróżniony nagrodą pieniężną i dyplomem Programu podobał się publiczności i jury.



Ryc. 207. Przegląd Programów Bożonarodzeniowych w Czernej 2002r., kronika szkolna

- Prezentacja dla nauczycieli przy ul. Sienkiewicza,
- Występ w kościele.

Projekt ten realizowałam z kl. III a.

W następnych latach z tą samą klasą przygotowaliśmy montaż słowno – muzyczne. W projekcie pomagała mi p. Janina Kotwica, akompaniując uczniom na gitarze.

Ciekawym projektem był projekt „Cała Polska czyta dzieciom”.

- Wybór wierszy Jana Brzechwy i Juliana Tuwima,
 - Przygotowanie do recytacji,
 - Prezentacja wierszy i inscenizacji dla kolegów ze szkoły,
 - Uroczyste spotkanie z przedszkolakami i wspólne zabawy.
- Projekt realizowany wspólnie z p. Janiną Kotwicą.

Wszystko zaczęło się od tego, że 28 lat temu prowadząc lekcje w-fu najczęściej na korytarzu szkolnym, szukałam sposobów na ciekawe prowadzenie zajęć. Zauważyłam, że przy muzyce uczniowie wykonują ćwiczenia lepiej i chętniej. Tak powstał projekt „Taniec jako nowoczesna forma gimnastyki”. Moja inwencja twórcza i ciekawe pomysły sprawiły, że prezentowaliśmy dobry poziom. Dzięki ciekawym i efektywnym strojom (projektowanych i szytych najczęściej przeze mnie), występując na scenach, wyglądaliśmy bardzo dobrze. Organizowałam imprezy środowiskowe, a moje zespoły występowały w wielu przeglądach, konkursach i prezentacjach.

- Przygotowanie i organizacja „Szkolnych Konkursów Tanecznych”,
- Organizacja wyborów „Małej Miss”,
- Występy na uroczystościach szkolnych,
- Udział w imprezach środowiskowych,
- Udział w Mini Listach Przebojów organizowanych przez p. Antoninę Zakrzewską,

- Występy w czasie Finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w Lubaniu i Nowogrodźcu,
- Udział w Dolnośląskich Przeglądach Zespołów Artystycznych Dzieci i Młodzieży Szkolnej,
- Udział w Przeglądach Zespołów Tanecznych w Bolesławcu,
- Udział w Przeglądzie Tańca Współczesnego w Bolesławcu,
- Występ zespołu tanecznego we Wrocławiu,
- Występy zespołu tanecznego i mini listy w Grossdubrau w Niemczech,



Ryc. 208. Występ taneczny uczennic SP Nowogrodziec Dni Bolesławca w 2001r.



Ryc. 209. VIII finał WOŚP w Nowogrodźcu



Ryc. 210. Występ taneczny - Dni Nowogrodźca 2003 r.



Ryc. 212. Mini Lista Przebojów Bolesławiec



Ryc. 211. Przegląd Tańca Współczesnego 2004r.



Ryc. 213. Występ okolicznościowy we Wrocławiu



Ryc. 214. *Mini Lista Przebojów*



Ryc. 216. *Przegląd Zespołów Artystycznych, Bolesławiec*



Ryc. 215. *Mini Lista Przebojów w Bolesławcu*



Ryc. 217. *Przegląd Zespołów Tanecznych, Bolesławiec 2003r.*



Ryc. 218. Występ na szkolnym apelu



Ryc. 220. występ zespołu tanecznego na uroczystym apelu z okazji Dnia Patrona



Ryc. 219. występ w Przeglądzie Zespołów Tanecznych, Bolesławiec 2003 r.



Ryc. 220. Występ Zespołów Tanecznych, Dni Lubania



Ryc. 222. występ w Przeglądzie Zespołów Tanecznych, Bolesławiec 2003 r.

- Występy zespołu tanecznego na uroczystościach lokalnych związanych z wejściem Polski do Unii Europejskiej w Bolesławcu i Nowogrodźcu,
- Pomoc w organizacji VII Przeglądu Kultury Młodzieży Szkolnej „Jesteśmy stąd” w Jeleniej Górze.

Wspomnieniami podzieliła się z nami pani Helena Drąg.

Bibliografia:

1. Kroniki szkolne
2. Przeprowadzone wywiady z nauczycielami:
 - panią Marią Michalczuk
 - panią Marią Skrzypacz
 - panią Heleną Drąg
3. Zdjęcia pochodzą z prywatnych zbiorów wyżej wymienionych nauczycieli oraz z kronik szkolnych.



Ryc. 221. występ taneczny w szkole w Grossdubrau

Oliwia Szczepańska
WSPÓŁCZESNA HISTORIA SZKOŁY
- ROK SZKOLNY 2017/2018

Zdjęcia: Archiwum - zasoby szkolne

Wrzesień 2017.

Koniec wakacji, spania do południa, luźnych spotkań ze znajomymi, a przede wszystkim koniec czasu bez obowiązków. Tym razem rozpoczęcie roku szkolnego było inne niż poprzednio. Choć wszystkich uczniów tradycyjnie o 9.00 przywitał hymn szkoły napisany przez byłą nauczycielkę muzyki, tak ogarniający nas niepokój wzbudzał jedynie kolejne wątpliwości. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać.

Reforma szkolnictwa zaskoczyła wszystkich. Nikt nie był przygotowany na takie zmiany i nie za bardzo wyobrażano sobie powrót do szkół, jaką znali nasi rodzice i dziadkowie. Ośmioklasowy system nauczania brzmiał dla nas odległe, a teraz na własnych oczach zaobserwowaliśmy powrót do tradycji z XX wieku. Ciężko było przywyknąć do myśli, że wkrótce całkowicie znikną gimnazja, a kolejne pokolenia będą je znać jedynie z opowieści. 4 września uczniowie Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Nowogrodźcu zostali włączeni do Szkoły Podstawowej im. Bolesława Chrobrego jako oddziały gimnazjalne. To nie były już dwie szkoły a jedna, która liczyła łącznie 678 uczniów.

Pierwszy miesiąc w szkole okazał się zadziwiająco spokojny. Starsi uczniowie, którzy spodziewali się hałasu na przerwach

spowodowanego młodszymi kolegami, bez większych problemów ich przywitali. Nie było tak źle. Z pomocą dyżurujących nauczycieli obyło się bez zbędnych kłótni i krzyków. Już w pierwszym tygodniu zbudowano pozytywny i sprzyjający się uczeniu klimat. W tym miesiącu odbyły się również wybory do samorządu uczniowskiego, które miało na celu tworzenie warunków do rozwoju samodzielności i samorządności uczniów poprzez wyrabianie poczucia odpowiedzialności za podjęte zadania oraz przygotowanie do świadomego i odpowiedzialnego uczestnictwa w życiu społecznym.

Dla stworzenia silnej więzi między uczniami i pogłębienia integracji szkolnej społeczności zorganizowano tematyczny dzień - dzień koszuli w kratę. Chętni mogli 27.09 przyjść ubrani w kraciastą koszulę i zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Duże zainteresowanie jedynie zmotywowało pręźnie działającą radę samorządu do inicjowania kolejnych spotkań.



Ryc. 223. Dzień koszuli w kratę

Dla wszystkich chłopaków z okazji ich święta przygotowano karaoke w wykonaniu dziewcząt. Zabawę zorganizowano, aby wyzwolić inicjatywę uczniów i pokazać, że pamiętamy o naszych kolegach. Tym akcentem zakończyliśmy wrzesień. Chyba najbardziej niepewny i przełomowy miesiąc w całym roku szkolnym. Wiedząc już mniej więcej jak będzie funkcjonować szkoła, grono pedagogiczne i uczniowie mogli szerzej spojrzeć na wspólną przyszłość.

Październik rozpoczął się nadzwyczaj ładną pogodą. Początek jesieni rozpieszczał nas wysokimi temperaturami i sprzyjającą aurą. Uczniowie w końcu przyzwyczaili się do szkolnej rutyny, która miała trwać jeszcze osiem długich miesięcy. Nauka stała się czymś codziennym, a wczesne wstawanie nie było tak trudne jak przedtem. Dni zdawały się być takie same. Szare, pozbawione zabawy i przepełnione obowiązkami, jednak nie do końca...

14 października w dzień edukacji narodowej przygotowano dla nauczycieli niespodziankę. Samorząd w podziękę za wsparcie, cierpliwość i troskę wykonał "Drzewo Życia". Oprócz tego chcąc kształtować zdrowy i bezpieczny tryb życia oraz propagując zachowania prozdrowotne pojawiło się dla nauczycieli specjalne stoisko z owocami, gdzie mogli się dowolnie częstować.

Cztery dni później obchodziliśmy kolejny dzień tematyczny. Tym razem uczniowie nie musieli przebierać się do szkoły, bo zachęcano do przyjsia w piżamie i szlafroku. Ci mniej odważni również mogli świętować, przynosząc ze sobą maskotki.

Skoro rozpoczął się nowy rok szkolny to należy oficjalnie powitać pierwszaków. Ślubowanie klas pierwszych odbyło się 24 października. 61 uczniów uroczystie ślubowało godnie reprezentować szkołę i przestrzegać jej regulaminu. W apelu uczestniczył Burmistrz Gminy i Miasta Nowogrodziec – Robert Relich. Po odśpiewaniu hymnu państwowego i szkolnego nowi uczniowie pokazali zdobyte umiejętności, m.in. wykazali się znajomością symboli oraz zasad kulturalnego zachowania się. Między zadaniami były puszczane piosenki, które pozwoliły wykazać się umiejętnościami muzycznymi. Po zabawie nastąpił moment uroczystego ślubowania. Dzieci otrzymały akty pasowania, legitymacje i upominki, a następnie udali się do klas na wspólny poczęstunek.

Jak co roku pod czujnym okiem nauczycieli młodzież przygotowała uroczysty apel z okazji święta niepodległości. Dbanie o świadomość narodową i pielęgnowanie tradycji zawsze były ważne w naszej szkole. Wspominanie bolesnej historii traktowaliśmy jako zobowiązanie wobec tych co polegli za wolną ojczyznę.

6 października rozpoczął się trzytygodniowy lunch time. Na parterze można było znaleźć stoisko z m.in. kanapkami, pizzę, zapiekanki, ciasta, sałatki i napoje. Osoby zajmujące się kawiarenką miały możliwość rozwijania przedsiębiorczości i innowacyjności. Przykładowe zdjęcia sprzedawanej żywności można znaleźć na stronie samorządu, gdzie promują działalność szkoły za pośrednictwem Internetu.

Wraz ze wzrostem popularności postaci typowego Polaka nasza szkoła postanowiła podążać za trendami i ogłosiła dzień



Ryc. 224. *Dzień śpiocha*

dresa. 8 listopada uczniowie postawili na wygodę i ubrali ulubione bluzy i dresowe spodnie. Właśnie za takie akcje ceniliśmy szkołę. Pomimo wszystko zawsze znalazł się ktoś, kto zawsze podarowywał nam chwilę radości i wytchnienia. Nie trzymano się sztywno zasad, tylko brano pod uwagę przede wszystkim dobro uczniów.

Trzy pierwsze miesiące szkoły minęły bardzo szybko. Nim zdążyliśmy się zorientować wystawiono proponowane oceny, a trzecioklasiści napisali próbny egzamin, który był zapowiedzią tego prawdziwego w kwietniu. Z niecierpliwością oczekiwaliśmy świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Podczas tych kilku wolnych dni mieliśmy spędzić czas wspólnie z rodziną świętując narodziny Jezusa i z radością przywitać nowy rok. Jednak jeszcze na początku grudnia odbył się jarmark bożonarodzeniowy i zbiórka żywności w ramach akcji „Świąteczna Paczka”. Samorząd uczniowski zachęcał uczniów do świadomej pracy na rzecz innych i rozwijał u nas podstawy tolerancji i szacunku. Poprzez udział w przedsięwzięciach charytatywnych wzrosła nasza empatia. Widząc uśmiechy na twarzach potrzebujących, wiedzieliśmy, że to co robimy jest dobre i należy to kontynuować.

Nie mogło również zabraknąć organizowanego co roku pod patronem Amnesty International „Maratonu Pisanie Listów”. Z 8 na 9 grudnia stu uczniów uczestniczyło w akcji, która uczyła dbałości o siebie i troski o innych, akceptowania siebie i tolerancji. Tym razem hasłem przewodnim było „Wartości – kompasem naszego życia!”. Spotkaliśmy się po 20.00 i rozpoczęliśmy wieczór od obejrzenia krótkich filmików prezentujących ogólny cel akcji, uratowanych osób, a także postaci, w których obronie mieliśmy pisać. Przez pierwsze kilka godzin pisaliśmy listy do przywódców i rządów krajów naruszających podstawowe prawa człowieka. Łącznie udało się napisać ich 521. Kolejną częścią była gra terenowa „Empatia”. Jedna z drużyn musiała wykonywać zadania, a inne wspólnie śpiewały karaoke. Następnie odbył się nocny bieg. Mając przy

sobie jedynie latarki biegaliśmy po ciemnej szkole w poszukiwaniu karteczek. Było jeszcze wiele innych zabaw, a na koniec nauczyciele puścili film. Mieliśmy możliwość przyjmowania odpowiedzialności za siebie i innych, przy czym wzrosła nasza umiejętność pracy w zespole i komunikacji interpersonalnej. Realizacja projektów szkolnych promujących twórcze myślenie upowszechniła prawa człowieka i promowała właściwe normy i wartości.

W styczniu nie działo się za wiele. Świąteczna i sylwestrowa atmosfera powoli zniknęła z naszego pola widzenia. Wycofywała się powoli, by znowu powrócić do nas na nowy rok. Nie odbyły się żadne wycieczki, ani ważne wydarzenia oprócz święta Trzech Króli. Nie wiadomo czy było to zwykłe lenistwo spowodowane odskocznią od szkoły czy może celowy zabieg, który miał nas zachęcić do nauki i jak najlepszych wyników na pierwszy semestr.



Ryc. 225. Maraton pisanie listów

Luty przywitał nas przymrozkami i ujemnymi temperaturami. Początek drugiego semestru. W umysłach uczniów po raz kolejny narodziła się myśl, żeby zacząć systematyczną naukę i wreszcie



Ryc. 226. zabawa karnawałowa dla klas I-III

osiągnąć wysokie wyniki. Jednak w niektórych przypadkach tak szybko jak się ten pomysł pojawił, tak szybko zniknął. Na szczęście dzieciaków nie opuszczał dobry humor. 7 lutego odbył się doroczny karnawał dla klas 1-3. Młodszy uczniowie mogli spełnić swoje marzenia i choć na jeden dzień zostać księżniczką czy dzielnym wojownikiem. Cała akcja miała związek z aktywnymi przerwami. Raz w miesiącu organizowano niespodziankę na wesoło. Przedstawiciele samorządu podczas długiej przerwy zachęcali młodszych kolegów do tańca i zabaw.

W marcu po raz pierwszy tego roku poculiśmy smak wiosny. Śnieg już całkowicie zniknął z naszego krajobrazu i zakwitły pierwsze kwiaty. 22 marca w ramach pierwszego dnia wiosny wybraliśmy się na wycieczkę. Około 300 uczniów zebrało się rano pod szkołą i 6 autokarami wybrało się do kina, biorąc tym samym udział w nietypowej lekcji wychowawczej i lekcji języka polskiego.

Seans w dobry sposób poruszał problemy z jakimi może zmagać się każdy. Taki wyjazd nie tylko był dniem wolnym od nauki, ale też ważną lekcją. Po wyjściu z sali kinowej każdemu nasuwał się jeden wniosek "zbyt szybka ocena drugiego człowieka, tylko na podstawie jego wyglądu, może prowadzić do wielu trudnych i nieprzyjemnych sytuacji."

Kwiecień od początku był nerwowy. Rozpoczął się zwyczajnie, ale z każdym kolejnym dniem dla trzecioklasistów z oddziałów gimnazjalnych robiło się coraz trudniej. Nieuniknione, do którego przygotowaliśmy się przez ostatnie trzy lata nauki, było zadziwiająco blisko. Nauczyciele już we wrześniu mówili, że czas szybko mija i nim się obejrzymy wylądujemy na auli w galowych strojach w rękach trzymając dwa czarne długopisy. 18,19 i 20



Ryc. 227. klasa III a Gimnazjum z wychowawcą Mirosławem Zborowskim

my, trzecioklasiści, pisaliśmy egzaminy gimnazjalne. Niepewni i zdezorientowani przystąpiliśmy do testów, które w znacznym stopniu zadecydują do jakiej szkoły ponadgimnazjalnej się dostaniemy. Choć ciężko było zebrać myśli, zrobiliśmy to. Trzy lata przygotowań i wreszcie ta wielka chwila nadeszła.

Potrzebowaliśmy kilka dni, żeby całkowicie dojść do siebie po egzaminach. Maj przeznaczaliśmy głównie na wyciszenie się. Wśród uczniów coraz bardziej udzielała się wakacyjna atmosfera. Jeszcze tylko kilka tygodni i będziemy mogli pożegnać się ze szkołą. W tym roku wypada 70 rocznica założenia szkoły i 50-lecie nadania imienia jej patrona Bolesława Chrobrego. Z tego powodu zorganizowano uroczyste wydarzenie. Najpierw odbyła się msza w nowogrodzieckim kościele. Brali w niej udział uczniowie, nauczyciele, personel, poczty sztandarowe i ważne dla naszego miasta osoby. Następnie wróciliśmy do szkoły, gdzie pokazano tablicę pamiątkową z okazji tych ważnych rocznic. Po apelu zostaliśmy zaproszeni na poczęstunek, gdzie każdy mógł według własnego uznania skosztować różnych przysmaków. W ciągu całego dnia poznaliśmy nieopowiedzianą wcześniej historię. Po raz pierwszy tak otwarcie przedstawiono dzieje naszej placówki bazując na kronice i zdjęciach z tamtych lat. To niesamowite uczucie przenieść się kilkadziesiąt lat w przeszłość i zobaczyć tamtych nauczycieli i uczniów, którzy już dawno stali się dorośli. To było jak podróż w czasie. Jakby czas się zatrzymał, a tamta rzeczywistość wciąż żyła.

Czerwiec.

Ostatni miesiąc. Ostatnie 22 dni chodzenia do szkoły. Ostatnie 145 godzin lekcyjnych. Tak, właśnie czekamy na ostatni szkolny dzwonek. Czerwiec minął szybko, bardzo szybko. Patrząc teraz na ostatnie dziesięć miesięcy jakie spędziliśmy w budynku przy ulicy

Sienkiewicza 8, jest to jedynie przelotna chwila. Ten jeden rok to zaledwie kawałek w całej historii szkoły. Byli przed nami i będą po nas. Trzecioklasiści zostają absolwentami i rozchodzą się w swoje własne strony. Być może już więcej się nie spotkają, a jedynym co będzie ich łączyć to właśnie wspomnienia ze szkolnych lat. Młodszy jeszcze zostaną rok, dwa. Jednak i oni kiedyś ukończą edukację stając się historią. A budynek pozostanie. Może zmieni kolor ścian, wymieni okna i zdobędzie lepsze wyposażenie do klas. Co będzie dalej? Szkoła już we wrześniu powita kolejny 71 rocznik. Czas leci dalej. Chociaż nie, zdjęcia potrafią go zatrzymać i uchwycić co najpiękniejsze w danej chwili.

ZAKOŃCZENIE

Artur Gałęski
ZAKOŃCZENIE

Zdjęcia: Archiwum Artur Gałęski

Archiwum Rodzinne Ziem Zachodnich, to próba spojrzenia na losy rodzin, które po 1945 roku przybyły na polskie tereny dawnych Niemiec.

Przez lata ziemie te były nazywane „dzikim zachodem”. Musiało upłynąć wiele, wiele lat, aby pokolenia już urodzone na tych ziemiach mówiły „u nas”, identyfikując się z wszystkim, co dla dziadków i często rodziców było tylko poniemieckie.

Poniemieckie były nie tylko domy, stare szafy, talerze, kryształowe kieliszki, sztucce czy płyty gramofonowe. Te ostatnie, znam to z własnego doświadczenia jeszcze w latach 70- tych służyły niekiedy dzieciakom do puszczenia tzw. latających talerzy z okien na strychu.

Słuchać się ich nie dało, bo trzeszczały i wydawały obcy niemiecki odgłos.....

Wszystko, no właściwie niemal wszystko zdaje się przemawiało, wręcz krzyczało po niemiecku.

Po deszczu na budynkach użyteczności publicznej, dworcach jak z za mgły wyłaniały się niemieckie nazwy urzędów czy nazwy miast.

Dla mnie tą wyłaniającą się po deszczu nazwą była nazwa miasta, które niby było, ale bez jego dawnych mieszkańców Naugard. Nazwa obca, ale na dworcu kolejowym, który był, odkąd pamiętam zawsze taki sam – Nowogard.

Kiedyś nie zastanawiałem się nad tym, co to miasto czy ziemie znaczyły dla poprzednich mieszkańców. One teraz są po prostu nasze. Filozofia dziecka jest prostsza.....

Pamiętam opowieści babci, która czasem opowiadała o przyjeździe na te ziemie, o palących się jeszcze, gdzieś niegdzie budynkach, o jakichś ludziach którzy musieli wyjechać.

Jeszcze mniej mówiła o tym, dlaczego, tu przyjechała rodzina. Zawsze była to enigmatyczna, przerywana opowieść, jakieś strzępy informacji.

Powody tej porwanej relacji zrozumiałem po latach. Najogólniej można by rzec, takie były czasy.

Jeszcze mniej opowiadał dziadek. No, była wojna, strzelali....

Czasem w rękę wpadały mi jakieś stare fotografie, medale, listy.

Pewnego razu wpadły mi w ręce listy i zdjęcia z Argentyny.....

No właśnie! Czytałem jakieś listy, jakaś kobieta z Buenos Aires pozdrawia mojego dziadka i pisze synu, synowo.

Kompletnie mnie замуrowało i pobiegłem spytać babcię, co to jest?

I wtedy babcia opowiedziała mi historię mojej rodziny, która wydała mi się nieprawdopodobna.

Dziadek już wówczas nie żył. Dowiedziałem się wtedy, że dziadek Antoni (zdjęcie okładka), był na wojnie z bolszewikami i dostał ziemię jako osadnik wojskowy na Kresach koło Brześcia nad Bugiem. Na początku lat trzydziestych XX wieku cała rodzina wyemigrowała do Brazylii i mieszkała w Rio de Janeiro.

W 1938 roku dziadek z babcią wrócili do Polski i zamieszkali w Warcie koło Łodzi. Prababcia Antonina i brat dziadka z Brazylii przenieśli się do Argentyny i zamieszkali w Buenos Aires. Rodzina rozdzielona została na zawsze i tylko listy pozostały. Po wojnie dziadek z babcią i dziećmi dotarli na Pomorze Zachodnie.

To tylko mały wycinek z historii jednej, mojej rodziny. Rodziny jakich wiele, które los rzuciła na Ziemię Zachodnie.

Książka, którą oddajemy w Państwa ręce jest próbą zobrazowania losów polskich rodzin osiadłych na Ziemiach Zachodnich po 1945 roku i napisana jest przez prawnuków osadników.

LOGOTYPY